SKŁADNICA
KSIĘGARSKA

WSPOMNIENIA O WARSZAWIE

IGNACY BALINSKI

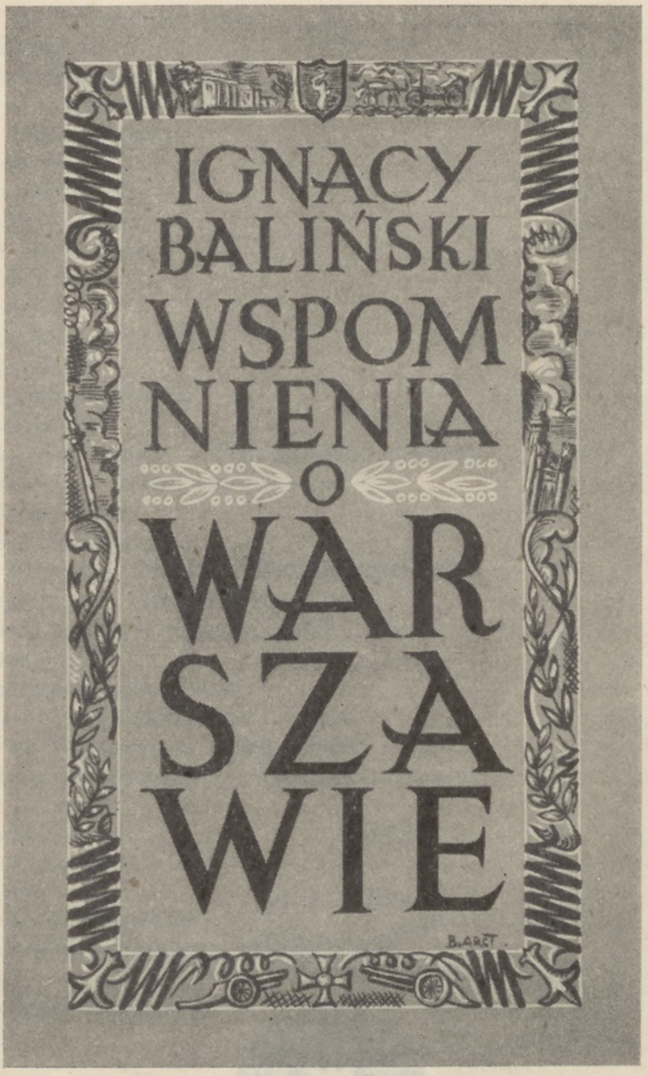
WSPOMNIENIA O WARSZAWIE

IGNACY BALIŃSKI

WSPOMNIENIA O WARSZAWIE



IGNACY BALIŃSKI



SKŁADNICA KSIĘGARSKA
EDINBURGH

Pierwsze wydanie, marzec 1946.

Okładka projektu B. Arcta

SKŁADNICA KSIĘGARSKA

EDINBURGH
1946

SPIS RZECZY

PRZEDMOWA

Matka Muz dziewięciu, Mnemozyne, lotną stopą wędrując po świecie, znalazła się kiedyś w nowogródzkiej stronie. Stanęła nad Świtezią i patrzyła długo, długo, na Płużyn ciemny bór, na gładką, jak szyba lodu, powierzchnię jeziora. Noc była jasna, i dwa świeciły księżyce: jeden na niebie, drugi na wodzie. Słowiki śpiewały. Bogini pamięci, skandując rytm ballad i romansów, oderwała się z trudem od widoku Świtezi i poszła przed siebie, tam, "gdzie się kończą gaje; w prawo łóz gęsty zarostek, w lewo się piękna dolina podaje, przodem rzeczułka i mostek. Tuż stara cerkiew, w niej puszczyk i sowy, obok, dzwonnicy zrąb zgniły, a za dzwonnicą chróśniak malinowy, a w tym chróśniaku mogiły"...

Poszła dalej matka Muz dziewięciu, Mnemozyne. Niedaleko Ruty skaleczyła sobie stopę o cierń. Uśmiechnęła się i rzekła "To lubię". Stanąwszy u kurhanka Maryli, zmówiła za dusze w czyśćcu bolejące trzy "Zdrowaś Maryja" i pociągnęła przed siebie, szepcząc w innym rytmie wiersz gorący, burzliwy, wiersz niezapomniany:

Noc była najpiękniejsza! Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze,
Cała ziemia kroplistą połyskała rosą.
Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu;
Z tej strony chmura gruba napędzała lawy,
A z tamtej strony księżyc przezierał bladawy,
Gwiazdy toną w błękicie po nocnym obiegu.
Spojrzę... jak raz nade mną świeci gwiazdka wschodnia;
O, znam ją odtąd dobrze, witamy się co dnia!
Spojrzę na dół...na szpaler...patrz, tam, przy altanie...

Lecz to był inny ogród, inny szpaler, inna altana. Niemniej Mnemozyne szła przez ten ogród, przez ten szpaler, po rosie, w noc najpiękniejszą. Psy, spuszczone z łańcucha, przybiegły do niej i łasić się poczęły. Pogłaskała je, u progu już będąc. Nacisnęła klamkę tak cicho, by nie zbudził się nikt we dworze. Przez okna wdzierał się do pokojów księżyc, i w jego blasku bogini błądziła zamyślona po obszernym domostwie. Spali wszyscy. Spała i niańka przy dziecku w kołysce. Mnemozyne schyliła się nad kołyską i ucałowała dziecko w czoło, po czym oddaliła się bezszelestnie.

Dziecko zbudziło się na chwilę ale nie płakało. W tej chwili spadł na to dziecko wielki, wspaniały dar. Dar pamięci rzeczy dobrych i złych. Przede wszystkim dobrych. Takich, których obraz utrwala się w sercu i w głowie na zawsze. Na zawsze.

Autor tych wspomnień o rzeczach dobrych, Ignacy Baliński, urodził się 31 lipca 1862 r. w Reginowie, ziemi Nowogródzkiej. Rok 1862! Manifestacje warszawskie w przededniu powstania styczniowego, nabożeństwa " za dusze Adama, Juliusza i Zygmunta", żałoba narodowa; trumny wnoszone do sal, gdzie odbywały się nieliczne bale, wybijanie szyb w karetach, którymi jechały strojne panie i panowie, zamach na Wielopolskiego, czarne pierścionki, czerwona krew, plamiąca jezdnię Krakowskiego Przedmieścia. Branka już w drodze. Minie pół roku niespełna, i odezwą się pierwsze strzały powstania.

Gdy Baliński zacznie chodzić do szkoły w Warszawie, jej bruk jeszcze tętni echem dziwnym i przejmującym. To gra, strącony z okien pałacu Zamoyskich, fortepian Chopina. Miasto jest barwy szarej i czarnej, grottgerowskie na wskróś. W Łazienkach...Nie, Ignacy Baliński nie mógł słyszeć mowy Mikołaja I, który rzekł do deputacji polskiej: " Si vous vous obstinez dans vos rêves utopiques d'étre une nation à part, d'avoir une Pologne indépendante, vous attirerez sur vous de terribles malheurs. Je viens de construire la citadelle d'Alexandre, et je vous déclare qu'au moindre mouvement je ferai bombarder la ville. Je détruirai Varsovie, et certainement ce n'est pas moi qui la rebâtirai ".

Tej mowy, w, pałacu łazienkowskim wygłoszonej, nie mógł słyszeć autor, ale gdy przybył do Warszawy, olbrzymia, upiorna cytadela, zbudowana na przestrzeni dwustu pięćdziesięciu hektarów, sterczała nad miastem, duszącym się w żelaznym pierścieniu fortyfikacji, poza których pasem nie wolno było ani budować domów ani nawet sadzić drzew.

Nie mógł słyszeć i mowy następnej, której echo obiło się o marmurowe ściany siedziby " Polski ostatniego Augusta". Nie mógł słyszeć słynnych słów Aleksandra II, który rzekł do Polaków: " Point de rêveries, Messieurs! ".

Sądzę jednak, że Baliński nie tylko mógł ale słyszał na własne uszy trzecią z historycznych mów, związanych z pałacem łazienkowskim. Na myśli mam przemówienie nuncjusza papieskiego, Monsignora Rattiego, późniejszego papieża, Piusa XI, który, jeszcze jako dziekan korpusu dyplomatycznego, złożył w tej samej sali życzenia Prezydentowi odrodzonej Polski. Było to w r. 1920. Baliński piastował naówczas godność prezesa rady miejskiej Warszawy, tej Warszawy, która sztucznie tłumiona w rozwoju, zdołała już od lat dziesięciu rozerwać dławiący ją pierścień forytyfikacji rosyjskich i odetchnęła, rozprężyła się szeroko, na przestrzeni dwunastu tysięcy hektarów, podczas gdy do niedawna jeszcze, bo niemal do r. 1916, musiała zadowolić się jedną szóstą tego obszaru.

Gdy mały Baliński przyjechał do Warszawy, liczyła ona mniej niż pół miliona mieszkańców. Gdy z niej wyjeżdżał na tułaczkę powrześniową, miała mieszkańców milion trzysta tysięcy. Rozpostarta szeroko, wciągnęła w swą orbitę trzydziestokilometrowy pas "regionu stołecznego". Była stolicą, której Lesseps, twórca kanału sueskiego, słusznie prorokował

przyszłość wspaniałą, jako miastu leżącemu w centrum, w samym sercu Europy.

Dopalał się, dogorywał romantyzm. Trzej wieszcze pomarli. Gdy Baliński ma lat dziesięć, już grzmieć poczyna Świętochowski, już słynny jego artykuł " My i wy " oznajmia koniec romantyzmu i początek nowej ery. W tym samym roku zapomniana dziś komedia społeczna Narzymskiego, " Pozytywni ", przedstawia jeden z ostatnich fragmentów walki starych z młodymi. Gdy Baliński ma lat dwadzieścia, w przytułku św. Kazimierza w Paryżu umiera Norwid, nie tyle mający " klaskaniem obrzękłe prawice", ile obrzęk, wywołany głodem. Norwid, uczepiony jedną ale szczerozłotą nitką o twórczość romantyczną Słowackiego i Chopina, sam przecież, torując drogę Wyspiańskiemu, wydał walkę poezji i jej wszechwładzy. Z poezją wojują nawet lirycy współcześni. Asnyk—tak niedawno jeszcze członek najczerwieńszego z czerwonych Rządu Narodowego, rządu, który wprowadził na pieczęć orła bez korony, ten Asnyk, którego, równie jak Narzymskiego, Traugutt wypędził i pozbawił władzy—pisze o przeszłości romantycznej jak o mrzonkach :

Daremne żale—próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.
. . . .
Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe. . .
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę !

Poeta liryczny, Asnyk, jest duchowym twórcą i prezesem Towarzystwa Szkoły Ludowej. Kraszewski, dołożywszy sporo własnego grosza do daru, który od narodu w dniu swego jubileuszu (1879) otrzymał, zakłada " Macierz Polską". Oświata, postęp, higiena, podniesienie stanu gospodarczego Polski, rozwój nauk przyrodniczych i technicznych, trzeźwość w polityce, surowy osąd przeszłości, więc t. zw. " szkoła krakowska", więc przede wszystkim Bobrzyński i jego historia Polski, czyli " historia upadku"—oto duch czasu, w którym rośnie Baliński. Poezja poszła do lamusa. Powieść króluje, służąc nie Muzom, ale pracy organicznej, pracy od podstaw.

Baliński, swym wrażliwym, muzykalnym uchem wsłuchany w ostatnie akordy romantyzmu, w echo rozbitego na bruku fortepianu Chopina, wpatrzony w rysunki Grottgera, zostaje—tak przynajmniej sądzę—romantykiem. Jest romantykiem w swych poezjach, w swych krytykach literackich i teatralnych, a głównie w życiu, bogatym, długim i oby jak najdłuższym.

Życie to obejmuje olbrzymi okres czasu. Pierwsze strzały powstania styczniowego—rewolucja 1905 roku—rok 1918:

Zahuczał grzmot. Skrzypnęły wrota...
— Młodzieńcze, skądże ci ochota
Przed burzą w nocy biec za wrota?

Wołają za nim: "Synu!...Bracie!...
Czy ci w ojcowej ciasno chacie?
Ostawaj doma! Synu!... Bracie!".
Odkrzyknął w biegu zawołany:
" Cóż, że ojcowe w chacie ściany,
Kiedy dach cudzy tłoczy ściany?

" Nielża mi wracać za wierzeje,
Bo za tą burzą zorza dnieje,
Bo za tą chmurą dzień jaśnieje!

" Wici gromami ślą błękity...
Czy żyw powrócę, czy zabity,
Jam żołnierz Rzeczypospolitej!".

Autor tego wiersza, Ignacy Baliński, był świadkiem odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Warszawie w r. 1898. Rosjanie pozwolili na tę uroczystość, pod warunkiem, że odbędzie się ona w milczeniu. Młodzieży nie wolno było wyjść tego dnia na miasto, lecz i tak zebrały się tłumy nieprzeliczone. Policja i kozacy czekali w pogotowiu. Pod pomnikiem stał najwiekszy polski prozaik, Henryk Sienkiewicz, i... milczał. Nie pojmie tego żaden Europejczyk: w milczeniu, w śmiertelnej ciszy odsłonięto pomnik poety, który kochał cały naród, chciał go dźwignąć, uszczęśliwić, chciał nim cały świat zadziwić! Gdy ludzie milczeli z musu, bruk Warszawy skandował "Pana Tadeusza" i "Improwizację" i "Widzenie ks. Piotra".

Baliński widział, jak stawiano sobór na pl. Saskim, i widział rozbiórkę tej obrzydliwej budowli. Patrzył na zburzenie cytadeli. On, krytyk teatralny, który oglądał najświetniejszych aktorów w repertuarze mniej niż przeciętnym, dożył przedstawienia "Nie-boskiej komedii" w teatrze im. Bogusławskiego. On, w dniu, gdy trumna ze zwłokami Słowackiego Wisłą przybyła do Warszawy, był w teatrze Polskim na pośmiertnej prapremierze "Samuela Zborowskiego". Pamiętając z opowiadań ludzi starszych zamknięcie Szkoły Głównej, kształcił się sam w uniwersytecie warszawskim pod ręką rosyjską, ale synów swych kształcił już w uczelniach polskich.

Widział, jak Warszawa rosła, jak zrzucała z siebie dawny szyld rosyjski, by powoli, powoli stawać się miastem pięknym, stolicą praw-

dziwą państwa. Spod ziemi wyrosły zabytki dawnych wieków, przydeptane butem rosyjskim, na ziemi mnożyły się gmachy publiczne, bloki domów robotniczych, parki, zieleńce, pomniki. Wisła, dotąd spychana przez Rosjan na plan najdalszy, połączyła się znowu z miastem, ona z rzek wiernych najwierniejsza, związana z Warszawą na śmierć i życie. W niej odbił się obraz miasta-stolicy Ducha :

" Pewnego dnia,—pisze Słowacki,—gdy kry na Wiśle popękały a mosty były zerwane, pokazało się ludowi warszawskiemu na drugiej stronie Wisły cudowne zjawienie : Ojczyzna niby, przez sto lat nie widziana, a w Anioła przemieniona tęsknotą ludu, a słońcem przez Boga ukoronowana, stanęła nad wodą i wyciągnęła ku ludowi swojemu swe matczyne ramiona, prosząc, aby ją wzięli syneczkowie wierni i przenieśli przez Wisłę i postawili w stolicy Ducha"...

Dziś, Baliński, autor tej gawędy serdecznej, patrzy jak żołnierze polscy, syneczkowie wierni, idąc przez tyle, tyle obcych rzek, niosą na swych barkach Ojczyznę, by ją postawić w Warszawie, która, jedna jedyna pośród tylu stolic świata, jest prawdziwą stolicą Ducha.

Zapominamy, powoli zapominamy, konturów dalekiej ojczyzny. Zapominamy nawet, jak się szło do własnego domu. Jeżeli, jeżeli uda się nam zrekonstruować drogę i w wyobraźni przecież dobrnąć do bramy, ogarnia nas uczucie niepokoju na myśl, czy dzwonić czy pukać czy zawołać głośno. Wielu z nas przerabia małe ćwiczenia, takie, które dzieciom szkolnym zadaje nauczyciel. A zatem : narysuj plan twego miasta. Albo : narysuj drogę, którą z domu idziesz do szkoły. Narysuj plan twego domu. Próbujemy rysować w noc bezsenną, i nie zawsze się nam udaje. Zniechęceni, chwytamy jakąś jakby gąbkę i jednym ruchem zmazujemy cały, nieudolnie nakreślony obraz.

Baliński jest w tych rzeczach nieomylny. Jego geografia Warszawy jest naprawdę geografią serdeczną, bo on palcem serdecznym wodzi po ulicach, po placach, po ogrodach, mówiąc : " To było tak a tak ! ". W tej drobiazgowości jest jakieś szaleństwo, ale w tym szaleństwie jest metoda. Z kresek, z najdrobniejszych linijek powstaje całość, na którą składa się mnóstwo rzeczy, albo jak mówi Wyspiański, nie rzeczy, ale " rzeczek " małych a przewymownych.

Nie jestem warszawiakiem, byłem w niej poraz pierwszy w życiu, mając lat z górą dwadzieścia, nigdy nie mieszkałem w Warszawie dłużej nad kilka miesięcy. Jestem krakowiakiem, krakowiakiem zakutym. Nie wiem, jakim cudem spadł na mnie zaszczyt pisania przedmowy do książki, która komentarza nie potrzebuje wcale. Ona, ta książka o dawnej i wcale nie tak dawnej Warszawie, ma dykcję nieskazitelną, język niepokalanie czysty, rysunek precyzyjny, benedyktyński, treść prostą.

Krakowiakiem jestem. Kraków kochałem zawsze, na Warszawę patrzyłem początkowo zezem krakowskim, krytycznie, trzeźwo, niemal niechętnie. Potem zacząłem ją powoli lubić. Była inna niż Kraków. Ile razy przyjeżdżałem do Warszawy, tyle razy, złożywszy rzeczy w

Bristolu, szedłem zaraz nad Wisłę, w dół, ul Karową. To był rytuał nieodmienny. Szedłem sam i mówiłem do siebie, że muszę zobaczyć Wisłę. Była dla mnie czymś najpiękniejszym w Warszawie. Stałem długo nad wodą, potem zaś szedłem pomiędzy ludzi. Była inna, niż pod Wawelem. Byli inni, zupełnie inni, niż my, krakowiacy.

Ale i Warszawa była inna niż Kraków. Bardziej bezpośrednia, przystępna każdej inicjatywie, lżejsza, nie skrępowana tradycją, nie mówiąca na każdym kroku, jak mój Kraków: " Pst! Ciszej!". Kraków zwykł chadzać na codzień polonezem nieustannym wzdłuż Plant. Para w prawo, para w lewo... Warszawa nie szła ale biegła w trzewikach, raczej w trzewiczkach, w pantofelkach na wysokich obcasach. Mistrze, majstry nad majstrami, robili te trzewiczki! Czy była piękna? Nie wiem, ale mogła o sobie powiedzieć: " Je ne sais ce que j'ai, mais j'ai quelque chose qui plaît". Przybysz, patrząc na nią, mówił najpierw: "Ona ma coś", następnie zaś, wpadając w warszawski sposób mówienia, zwykł zmieniać " coś" na " cóś". Tak, ona ma cóś! Cóś interesującego, żywego, cóś, co się podobać musi, cóś, co zniewala, cóś, co ktoś lub któś zapamięta. I ten któś już bedzie musiał wrócić do Warszawy, już będzie chciał zobaczyć jeszcze raz to " cóś".

Tak było do 1 września 1939 r. W tym dniu, wczas rano, " cóś" ustąpiło miejsca czemuś, co wzrusza głęboko, co napełnia dumą, podziwem, co zatyka oddech w piersiach. I to nowe coś rosło, wznosiło się w naszych oczach, szło coraz wyżej, aż wreszcie małe kółko wśród tylu innych kółek i kółeczek na mapie zaczęło, ono jedno, wyrażać całą Polskę. Przez lat tyle w ciągu wojny.dzisiejszej, mówiąc " Warszawa", myśleliśmy " Polska". Stała się synonimem, skrótem doskonałym całości, obejmującym i granice Polski i wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia. Warszawa była i jest całym narodem. Wymawiając jej imię, przyciskamy do serca wszystko, co tam pozostało, i wszystkich, którzy tam żyją i walczą. Ona zamyka w sobie, w swej nazwie, pełnię absolutną tego, cośmy utracili, za czym tęsknimy, do czego wrócić chcemy.

Ona jest biała i czerwona, jak nasz sztandar, ona jest jak, nasz hymn, lotna i nieśmiertelna. Jest jak piorun na niebie w noc burzliwą a długą. Jak słońce, które musi zabłysnąć.

Wypełniała nam życie na wygnaniu przez wiele lat, kondensując się szczególnie w myśli naszej podczas sierpnia i września 1944 r. Kurczyło się nam serce kurczem bolesnym, w miarę jak upadała ulica po ulicy, dom po domu, piętro po piętrze, piwnica po piwnicy. Gdy stało się rzeczą jasną, że pomoc nie nadejdzie, zamarliśmy w oczekiwaniu końca.

Baliński mówi o Warszawie innej, o tej, która jeszcze była wzbierającym na nowo cichym źródłem olbrzymiej a ukrytej przed okiem naszym energii potencjalnej. Mówi on o Warszawie, stojącej nie na koturnie reduty Ordona czy Starzyńskiego czy Bora. Jego książka, to szkatułka, do której klucz ma w swym ręku bogini pamięci, matka Muz dziewięciu, Mnemozyna. Baliński dostał od niej ten klucz, otworzył wieko szkatułki,

i oto buchnęła woń rzeczy dobrych, pięknych, dawnych a wiecznie żywych. Szkatułka ta nie jest puszką Pandory, choć na dnie, głęboko, głęboko ukryta, kwitnie i pachnie nadzieja. Baliński nie jest lekkomyślnym Epimeteuszem! Przeciwnie, podnosi wieko skrzyni, która nie zawiera żadnych nieszczęść, smutków, bólów. Tam jest samo dobro.

Szkatułka? A może to nie szkatułka, ale jakaś przejażdżka warszawską dorożką "na gumach", w Aleje, w wieczór wiosenny? Na stopień wskoczył chłopak, gavroche bosonogi, i krzyknął nam w samo ucho " Kurjer Wieczo"... O, teraz jest i drugi: wciska przemocą bukiet fiołków, mówiąc, że " dziedzic " kupi dla pani. Że tej pani będzie do twarzy z fiołkami, że one pachną. Że są tanie jak barszcz. Że nie należy targować się. Złotówka wszystkiego...

Pachną, pachną naprawdę. Rozmarza nas ta woń. Jesteśmy w Warszawie.

Baliński prowadzi nas za rękę. Koneser niebywały. O, tu dostaniesz chleba! Takiego, że mu żaden chleb w świecie nie dorówna. Jak pachnie ten chleb? Jak trzeszczy jego skórka! " Trzeszczy "? Włosi mówią o chlebie: " Il pane canta"; chleb, powszedni, chleb za ileś tam groszy, którym nas karmi Baliński, ten chleb naprawdę śpiewa.

W tej książce jest poezja rzeczy pozornie poziomych, do niedawna dostępnych i tanich, stanowiących jednak razem całość, którą moglibyśmy określić mianem raju utraconego. Mój Boże, ten chleb, ta bułka za grosz to nie proza. Myślimy o tym chlebie, a do oczu napływają nam łzy. Może dlatego, że zbyt długo jemy chleb cudzy.

A wszystko " tam " było własne, najwłaśniejsze! Książka Balińskiego to podszewka Prusa, zwłaszcza " Lalki". To realia tej powieści. To cała Warszawa, choć opowiada o niej ktoś z pewnej bardzo konkretnej sfery. Ktoś zamożny, poeta, krytyk, prawnik, człowiek wykształcony, bywały w świecie, dygnitarz, profesor, kurator wielu instytucji, członek i założyciel rozmaitych stowarzyszeń, senator, sędzia Sądu Najwyższego, dyplomata, komandor Legii Honorowej.

Ale czytelnik, który chciałby doszukać się dziury w całym i uczynić autorowi zarzut, że np. za mało uwzględniona została rewolucja 1905 roku, uderzyłby kulą w płot. W tej książce idzie o coś innego. To tak, jakby Kitowiczowi postawiono zarzut, że zbyt mało miejsca poświęcił naradom sekretnym u króla w przededniu konstytucji 3 maja; poza tym w swym cyklu wspomnień autor obejmuje zasadniczo okres do r. 1900.

Książka Balińskiego, podobnie jak pamiętniki ks. Kitowicza, to jakby encyklopedia, ale encyklopedia bardzo specjalna. Dla znawców, dla smakoszów, dla ludzi zakochanych w Warszawie. Kraków miał swoją " Bibliotekę Towarzystwa Miłośników Krakowa", dochodzącą chyba do dwustu tomików. Warszawa miała, oczywiście, Gomulickich czy Kraushárów czy Or–Otów, ale miała wiele zaległości, które Baliński odrabia ryczałtem, w gawędzie szerokiej, rozlewnej, dając obrazy drobiazgowo dokładne, à la portrecista Warszawy, Canaletto, słońcem Canaletta

naświetlone. To nie ponure w swej oszczędności a genialne " Who's Who" Petersburga, w którym Mickiewicz, posługując się dwoma wierszami, zawarł właściwie wszystko, cały przewodnik w zaiste przerażającym skrócie :

Napis: " Tu stroje damskie "— *dalej:* " Nóty" ;
Tam robią " Dzieciom zabawki "—*tam:* " Knuty".

Baliński nie był nigdy w Petersburgu, jak nie był w ogóle w Rosji, nie był po za Dźwiną i Dnieprem. Ojciec w testamencie zakazał mu przekroczyć kiedykolwiek granice cesarstwa. Baliński, to Polak i Europejczyk prawdziwy, do szpiku kości, człowiek kultury zachodniej, jak miastem Zachodu jest Warszawa, po której oprowadza nas, od frontu i przez tylne schody, haftując jej konterfekt staromodny, vieux jeu, a przecież majstersztyk realizmu, dokładny do absurdu, który graniczy z artyzmem. Jest to właściwie sztuka dla sztuki, Warszawa dla Warszawy, en face, z obu profilów, trois quarts, z góry, od dołu. Fotografia, pożółkły dagerotyp, sylwetka, jak się nam początkowo zdaje, później widzimy natomiast, że to wszystko, ci ludzie, te domy, sklepy, jadłodajnie, dorożki, tramwaje, że cały ten obraz jest filmem i to filmem dźwiękowym a zsynchronizowanym przedziwnie z naszą tęsknotą.

Film? Może jednak nie tylko dźwiękowy, mówiony, rozśpiewany, ale taki, który atakuje wszystkie zmysły od razu. Warszawa pachnie w tym filmie i pobudza nasze pragnienie. Po prostu chcemy się napić bodaj wody w ogrodzie Saskim. Odzywa się nagle głód, jakbyśmy, czytając którąś stronę, równocześnie przeglądali kartę potraw. Chcielibyśmy kupić sobie trzewiki u szewca warszawskiego, u krawca warszawskiego się ubrać, u fryzjera ostrzyc się, u Lourse'a napić się kawy, zjeść pączek u Semadeniego, patrząc równocześnie na sławnych aktorów, na literatów, na dziennikarzy. Chcielibyśmy postawić na jakiegoś konia ze stajni a takiej, wieczorem zaś pójść na operę czy do teatru Małego lub na koncert do Filharmonii. A późnym wieczorem wracać przez Marszałkowską, przez Nowy Świat czy Krakowskie Przedmieście.

Powtarzam, jest to utajona poezja i romantyzm rzeczy drobnych, pozornie prozaicznych. One, te wszystkie drobiazgi, zaopatrzone w pedantyczny indeks, wraz z wszystkimi ludźmi, z domami i ulicami, składają się na obraz miasta, które było, którego w tej chwili nie ma, a które być musi. Musi !

Autor rzuca tę książkę tak jak się rzuca bumerang. Zatacza ona łuk wspaniały i wraca, wraca, prosto w serca nasze. A życie autora niech także zatoczy łuk wspaniały, niech wróci tam, skąd wyszło : do Polski.

Do Polski wolnej, niepodległej i całej.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

WSTĘP

Wspomnienia te nie są ani autobiografią ani historią Warszawy z pewnego okresu; nie są nawet pamiętnikiem. Naturalnie, zawierają wiele szczegółów z mego życia, gdyż główny tok tych wspomnień musi być równoległy do jego biegu, ale nie trzyma się go ściśle. Pamięć nasuwa mi wspomnienia falami, a te fale bywają kapryśne, nie uległe woli, nieobliczalne. Skacze więc i ona, zostawia luki, cofa się, rzuca na bok, nasuwa nie wiadomo dlaczego — drobnostki i drobiazgi, a pomija sprawy ważniejsze; oświetla rzeczy bardzo dawne a zaciera późniejsze. Pióro moje podąża za nią, tworząc rodzaj mozaiki z różnorodnych kamyków, gdzie może niekiedy trafi się pośród żwiru jakiś kamyczek bardziej błyszczący. Pragnąłbym, żeby owa mozaika — i to jest moją ambicją — mogła w przyszłości stać się, zwłaszcza dla wnuków i prawnuków ówczesnych mieszkańców Warszawy, pewnym, choćby nieudolnym, zobrazowaniem warunków ich zewnętrznego, codziennego bytu wraz z objawami ich życia wewnętrznego.

Przez pierwsze lata uchodźczego pobytu w gościnnej Anglii — przekroczyłem granicę państwa polskiego przez Mereczankę pod Oranami dn. 19 września 1939 r. — za ciężko mi było myśleć o przeszłości. Potem to się zmieniło, zagłębianie się w przeszłość zaczęło mi sprawiać ulgę. Zdawało mi się — i teraz mi się zdaje — jak gdybym coś wskrzeszał w świadomości swojej i innych. I zdaje mi się, że gdy wymieniam obok wielu ludzi wybitnych, także wielu ludzi zwykłych, lecz tworzących, każdy w swym zasięgu, wspólną, nieśmiertelną duszę narodu, to jakbym ich ożywiał i z nimi obcował.

Nie miałem też nigdy ani zamiaru ani podstawy do pisania tego co nazywają historią lub choćby szkicem historycznym; w tym zakresie mamy wielu autorytatywnych badaczy przeszłości, historyków, publicystów i polityków. Moją ambicją jest nakreślić obraz życia obyczajowego ówczesnej Warszawy i jego przeobrażeń, nakreślić tak jak mi je pamięć podaje, takim jakim ono było, a może — jak mi się wydawało, że było.

Proszę więc najusilniej łaskawych czytelników, żeby nie przykładali do tych luźnych wspomnień miary należnej szkicom historycznym. Pisząc je, opieram się jedynie na pamięci, a mieszkając na prowincji i rzadko zaglądając do Londynu na niektóre posiedzenia Komisji Prac Ustawodawczych, na które zaczął mnie powoływać b. minister sprawiedliwości, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, Wacław Komarnicki, nie mam możności sprawdzenia tego czy innego szczegółu w bibliotekach.

Chciejcie mi także wybaczyć, Drodzy Czytelnicy, wszelkie luki, niedokładności i nieścisłości; owszem, jestem niezmiernie zadowolony, że już w ciągu ogłaszania tych wspomnień w " Wiadomościach Polskich " i w " Dzienniku Polskim i Żołnierza " otrzymywałem wiele dodatkowych informacji, uzupełnień i sprostowań. Jeżeli będą się pojawiały i po wyjściu tej książki, będzie to dla mnie cennym dowodem, iż wspomnienia moje zasłużyły w pewnej mierze na uwagę. Nie pomijałem tu i ówdzie ówczesnych anegdot i dowcipów, gdyż one również charakteryzują swoją epokę, a w Polsce " dobry żart był zawsze tynfa wart ".

OD ALFY DO OMEGI MEGO ŻYWOTA

W ciągu kilkudziesięciu lat mego życia ludzkość przeszła tak szybki, powiem — piorunujący okres przemian, jakiego chyba dotąd w dziejach nie było. Odkrycia i wynalazki naukowe oraz ich zastosowania techniczne przeobrażały niemal z roku na rok warunki życia i obcowania między ludźmi, a obok tego — w związku z nagłym niepomiernym wzrostem ludności na świecie — zmieniały się błyskawicznie warunki gospodarcze, społeczne i polityczne oraz poglądy na nie.

Kiedy się urodziłem, na terenie Polski pod zaborem rosyjskim była tylko jedna kolej żelazna Warszawsko - Wiedeńska i Bydgoska. Przeglądając kiedyś w Jaszunach przy kominku w pokoju, gdzie niegdyś nagle zasłabł i umarł Jan Śniadecki, z moją żoną i z moją siostrzenicą Hanią Balińską, później Sołtanową, kalendarze historyka Michała Balińskiego, płaskie i duże, z pustą stronicą przy każdym miesiącu do robienia notatek (" raptularzyki "), przeczytaliśmy na stronicy czerwcowej 1862 r. taką jego adnotację : " Wczoraj Kocio (syn Konstanty) ze Stefunią (synową z domu Kostrowicką) i Julka (córka, o której Juliusz Słowacki wspomina w listach do pani Michałowej, siostry Ludwiki Śniadeckiej) odbyli pierwszą próbną wycieczkę nową koleją żelazną z Wilna do Landwarowa. Wrócili zachwyceni ". A na następnej stronicy lipcowej figuruje : " Otrzymałem wiadomość o urodzeniu się w Reginowie 19/31 lipca synowcowi memu Józefowi ze Smogór i żonie jego Józefie z Jundziłłów syna. Na chrzcie św. dano mu imię dziada i pradziada Ignacy. Rodzicami chrzestnymi byli babka Zofia z Połubińskich Jundziłłowa i stryjeczny brat matki Ignacy Jundziłł z Rudni ".

Ale między Jaszunami o 30 km od Wilna a Reginowem, położonym na skraju błot pińskich, odległość wynosiła przeszło 250 km i trzeba ją było odbywać piaszczystym gościńcem własnymi lub pocztowymi końmi na Lidę i Słonim. To już była prawdziwa podróż. Kolej Terespolską (Warszawa — Brześć) zbudowano dopiero w r. 1865, Brzesko - Moskiewską w r. 1872, Wilno — Baranowicze — Równe oraz Baranowicze — Białystok (t. zw. koleje poleskie) — dopiero w r. 1884. Szosa była tylko

jedna : Brześć — Bobrujsk — Mohylów, dobrze mi znana, bo szła tuż obok odległego od Reginowa o 12 km dworu ciotki mojej Teresy Jundziłłowej, Hrudopola, gdzie długo przebywałem. Poczta przychodziła tylko dwa razy na tydzień. Przywiezienie depeszy przez osobnego posłańca budziło sensację. " Gazeta Warszawska " z krótką wiadomością o upadku Sedanu (2 września 1870 r.), przy której czytaniu pierwszy raz zobaczyłem łzy w oczach mego ojca, nadeszła niemal w tydzień po wydaniu numeru ; dziś taka wiadomość dotarłaby do najodleglejszych zakątków świata w ciągu kilku sekund.

Za paradne oświetlenie wnętrz uchodziły kosztowne lampy na oliwie, które w dodatku często się psuły. Najwięcej używano świec łojowych, a do obcinania knotu przy każdym lichtarzu leżały szczypce z małą skrzyneczką ; w szykownych domach były one ze srebra. Świece stearynowe i woskowe należało oszczędzać, bo kosztowały dość drogo. To też z radością powitano naftę, najprzód kaganki bez szkieł a potem prawdziwe lampy i lampki, coraz bardziej doskonalone. Lampki naftowe w ciągu kilku lat wyparły z chat wiejskich łuczywa na drewnianych obsadach.

Ulepszono także budowę pieców kaflowych. Sam jeszsze pamiętam w kilku staroświeckich dworach duże paleniska w środku domu, zwane " hrubami," gdzie wsuwano ogromne kłody do ogrzania całego domu (pierwotne ogrzewanie centralne). Piece z " juszkami ", t. j. z otworami górnymi na zewnątrz, które trzeba było w porę otwierać i zamykać, żeby zachować ciepło i uniknąć czadu, zastąpiono piecami t. zw. hermetycznymi, bez porównania praktyczniejszymi, zwłaszcza do węgla. Oświetlenie gazowe wprowadzono około r. 1866 lecz tylko w Warszawie i w Wilnie, w innych miastach znacznie później. Pamiętam, jak byłem olśniony, zobaczywszy pierwszy raz płonące latarnie gazowe na pl. Katedralnym w Wilnie. Proszę to wszystko porównać z rowerami, samochodami, samolotami, telefonami z drutem i bez drutu, zdumiewającym zastosowaniem elektryczności, z promieniami, przenikającymi wszelkie powłoki, z radiem i t. d. oraz z wszystkimi innymi dziwami, które spadły w ciągu dwóch pokoleń ku szczęściu i nieszczęściu ludzkości!

Dla nas Polaków spod zaboru rosyjskiego i pruskiego zaczęła się wtedy coraz radykalniejsza i bezwzględniejsza faza rusyfikacii i germanizacji. Opustoszało w moich stronach rodzinnych lub zostało zamieszkanych przez obcych mnóstwo dworów, zaścianków i wiosek. Nie było rodziny bez krewnego na Syberii, nie wszyscy zaś z nich dożyli możności powrotu do kraju.

W odezwie swej młodzieńczej " Do starszego pokolenia " pisałem :

Chcecie wy wiedzieć dzisiejszej młodzieży
Pierwsze wspomnienie, co w pamięci leży,
To pierwsze mgliste, dziecinne wspomnienie,
Co się w umyśle jak przez sen majaczy :
— Izba kamienna, szara . . . to więzienie,
Wewnątrz cień jakiś miga . . . Co to znaczy?

To ojciec! Pragnie rozwalić więzienie . . .
Patrzcie, jak bije w szalonej rozpaczy
Pięściami, piersią, głową o kamienie!
Uderza w ściany — chce by pękły ściany,
Lecz ściany stoją, tylko głowa pęka . . .
Tam znowu postać jakiejś zatroskanej
Kobiety . . . łamie ręce, płacze, klęka,
To matka: ona modli się do Boga.
Modli się głośno, lecz za tym łoskotem
Ach! czy jej modlitw głos dochodzi Boga! . . .

Po raz pierwszy wystąpiłem " patriotycznie " w piątym roku życia. Opowiadali mi to kilkakrotnie rodzice i niańka Paładzia, a później sam przeczytałem w zachowanym przez ojca numerze " Wilenskawo Wiestnika ". Owej zimy zamieszkał u nas w oficynie komisarz do spraw włościańskich z rodziną, a miał kilkoro drobnych dzieci, z którymi się bawiłem. Raz wychodząc od nich, odepchnąłem służącą, która mnie chciała ubrać, ze słowami :

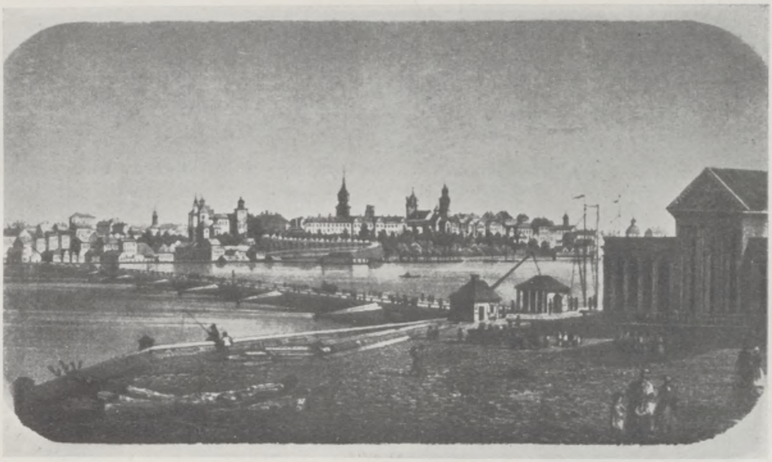
— Nie chcę, bo ty ruska!

Rzecz doszła do tej wileńskiej gazety ze zjadliwą uwagą o nastroju wśród " polskich pomieszczików ". Zjechał do nas na śledztwo pułkownik żandarmerii Łosiew, na szczęście człowiek wyjątkowo porządny. Gdy zobaczył przestępcę, który wkroczył trochę po kaczemu, bo miał podobno t. zw. " angielską chorobę ", zaśmiał się i machnął ręką.

Uwłaszczenie włościan, a szczególnie zniesienie pańszczyzny, powikłało na razie prowadzenie gospodarstw ze względu na konieczność zdobywania gotówki na opłacenie robotnika. Chociaż nikt zasadniczo na tę reformę nie narzekał, przeciwnie, obywatelstwo polskie gub. wileńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej jeszcze w r. 1817, kiedy posiadało samorząd, złożyło carowi Aleksandrowi I petycję z uchwałą o konieczności tej reformy, — co oburzyło dworianstwo " rosyjskie ", — jednak wielu mniej umiejętnych i sprawnych oraz zadłużonych ziemian znalazło się w trudnym położeniu materialnym. Warunki gospodarcze poprawiły się dzięki założeniu Banku Ziemskiego Wileńskiego, dostarczającego racjonalnego kredytu, i podniesieniu się cen na zboże i las po wojnie tureckiej 1877/8 r.

Podatki były na ogół niewielkie, znacznie mniejsze niż w Królestwie, ale obywatele ziemscy " pochodzenia polskiego " w dziewięciu t. zw. " guberniach zachodnich " od czasów Murawiewa aż do 1905 r. musieli opłacać t. zw. *kontrybucję* mniej więcej po półtora miliona rubli od gubernii, którą rozkładano na poszczególne majątki według ich urzędowego oszacowania. Lecz gdy pewien majątek przechodził w ręce nie polskie, — a w inne aż do r. 1905 przejść nie mógł, — wysokość kontrybucji na gubernię nie zmniejszała się, ale w większej proporcji rozkładała się na pozostałe w rękach polskich majątki.

Najtrudniejszą sprawą dla rodziców stała się wówczas sprawa kształ-



Panorama dawnej Warszawy od strony Pragi.



Widok dawnej Pragi z tarasu zamkowego.



Zamek od strony Wisły.



Dawny Dworzec Warszawsko-Wiedeński.

cenia dzieci, zwłaszcza synów; ukończenie choćby kilku klas gimnazjalnych było konieczne dla wielu zawodów — np. do wstąpienia do seminarium duchownego i szkół farmaceutycznych oraz skrócenia przymusowej służby wojskowej z sześciu lat do trzech, nie mówiąc już o dostępie do uniwersytetów i wyższych uczelni, gdzie wymagano matury. Dla córek wystarczało wychowanie prywatne, i mało która znała język rosyjski, najwyżej tyle ile trzeba było do zaadresowania koperty, chociaż żeby otrzymać urzędowe prawo do nauczania, trzeba było także ukończyć rządowe gimnazjum żeńskie lub co najmniej zdać jakiś egzamin w tym języku. Po powstaniu 1830/1 r. skasowano wiele szkół średnich, otwartych przez uniwersytet wileński, lecz w pozostałych wykładało jeszcze dużo dawnych nauczycieli; aż do r. 1863 miały one charakter półpolski.

Opowiadał mi najbliższy sąsiad Smogór, Józef Wierzbowicz, daleki nasz krewny, jak mówiono na Litwie " dziesiąta woda po kisielu ", który ukończył gimnazjum wileńskie w r. 1860, zdarzenie wskazujące, jaką wagę Rosjanie przywiązywali do " czynu " (rangi). W ostatniej, siódmej klasie — ósmą klasę w gimnazjach klasycznych dodał minister oświaty Tołstoj w r. 1871 — literaturę rosyjską wykładał jakiś przyzwoity Moskal, którego nazwiska nie pamiętam. Otrzymał on wówczas " czyn " rzeczywistego radcy stanu, odpowiadający generałowi brygady w wojsku, z prawem do tytułu ekscelencji. Wielki amator poezji, spacerował po klasie, deklamując z patosem słynną odę Dierżawina " Bóg ". Spostrzgłszy nagle śpiącego w ostatniej ławce Wierzbowicza, wykrzyknął:

— Jak to Wierzbowicz, ty śpisz, kiedy rzeczywisty radca stanu deklamuje!

Nie oburzyło go ani zlekceważenie poezji i jej tematu, ani niedbalstwo ucznia, lecz zlekceważenie " czynu ". Zdarzenie to zacytował w swoich wspomnieniach Edward Pawłowicz, nowogrodzianin, który potem emigrował do Krakowa. Nadesłał on nam w r. 1897 — do książki zbiorowej " Stulecie ", którą pod redakcją Jana Karłowicza, etnografa, ojca nieodżałowanej pamięci muzyka Mieczysława, Zygmunta Glogera i moją, wydaliśmy w r. 1898 ku czci Adama Mickiewicza — szkic historyczny o cudownym obrazie Matki Boskiej nowogródzkiej z niegdyś unickiej cerkwi bazyliańskiej, wymienionym w pierwszych wierszach " Pana Tadeusza ". W tymże " Stuleciu " ogłosiłem po raz pierwszy znajdujące się w bibliotece jaszuńskiej listy Słowackiego do jego siostry przyrodniej Aleksandry Bécu, opisujące szczegółowo pobyt poety w Warszawie, oraz rozdział nigdzie nie drukowanej powieści filarety Jana Czeczota.

Siostra p. Janowej Karłowiczowej, Sulistrowskiej z domu, Adela była żoną najmłodszego wnuka Jędrzeja Śniadeckiego, Kazimierza. Jan Karłowicz w oficynie swego domu na pl. Dąbrowskiego (obok wielkiej kamienicy Szlenkiera, ojca Wandy, profesorowej Ignacowej Chrzanowskiej, i siostry jej Zofii, fundatorki wspaniałego szpitala dla dzieci, którą to kamienicę nabyła potem ambasada włoska) urządził obszerną pracownię z księgozbiorem.

Córki, jeżeli środki na to pozwalały, posyłano często na naukę do klasztorów sercanek, niepokalanek i urszulanek w Galicji. Moja siostra Katarzyna dokończyła wykształcenia w klasztorze wizytek wileńskich w Wersalu. Wypędzone przez Murawiewa w r. 1863, musiały one przenieść się do Francji, skąd znowu w r. 1900 po skasowaniu zakonów przez ministra Combes'a znalazły przytułek w Jaśle, a wróciły do fundowanego jeszcze przez królową Marię Kazimierę swego dawnego klasztoru i kościoła w Wilnie aż w r. 1920.

Tą pierwszą przymusową przeprowadzką kierowała ówczesna przełożona, matka Kazimiera Balińska, siostra mego ojca, przy głównym współudziale sióstr zakonnych: Marii Czapskiej, córki właścicielki Łużek pod Dzisną, szanowanej powszechnie matrony Fabianny Czapskiej i kuzynki swej Rozalii Hornowskiej, córki gen. Hornowskiego i Róży z Houwaltów, siostry mojej babki Elżbiety. W ósmym dziesiątku lat ub. w. istniał w Paryżu instytut z wyższym kursem pedagogicznym dla Polek, któremu udzielił pomieszczenia w swym Hôtel Lambert ks. Władysław Czartoryski, główną zaś opiekunką była Maria Zamoyska, późniejsza założycielka zakładu w Kuźnicach pod Zakopanem. Jedna z wychowanek tego instytutu, kuzynka moja przez matkę, Marię z domu Balińską, Zofia Garbowska, założyła w Warszawie wraz z Haliną Gepnerówną, która zdobyła dyplom rządowy, ośmioklasową szkołę z pensjonatem. Hôtel Lambert z dwoma pokojami, zajmowanymi niegdyś przez Woltera w czasie jego stosunku z panią du Châtelet, zwiedziłem szczegółowo za bytnością w Paryżu, gdy jako prezes komitetu przyjęcia marszałka Ferdinanda Focha w Warszawie (w następnym roku 1924) wręczałem marszałkowi jego portret na koniu pędzla Wojciecha Kossaka, wspólnie z Kossakiem, ks. Adamem Czartoryskim i moim synem Janem. Po śniadaniu u marszałka w jego apartamencie na rue Grenelle, podejmował go ks. Czartoryski u siebie. Oprócz głównego gościa był ówczesny nasz poseł Maurycy Zamoyski, kuzyn gospodarza ks. Orłéans-Braganza, Kossak i ja z moim synem. Po obiedzie stary kredencarz (sommelier) postawił z namaszczeniem na stole dwie butelki wina Oporto z zapasu nabytego wraz z pałacem jeszcze przez starego księcia Adama w r. 1841 czy 1842.

LATA DZIECIĘCE

Mickiewicz nazwał swe dzieciństwo "sielskim, anielskim". Śmiało mógłbym swoje nazwać tak samo. Przede wszystkim — las! Czy w ojcowskich Smogórach, czy u stryja w Jaszunach, czy w Reginowie, Hrudopolu i Sienieżycach rodziny mojej matki, jeżeli nie z trzech to przynajmniej z dwóch stron otaczał dwory las, i to jaki las! — najczęściej z masztowych sosen, rzadziej ze świerków i drzew liściastych. Tak przywykłem wówczas widzieć na wsi las na horyzoncie, że dzisiaj jeszcze

krajobraz wiejski bez większego lasu wydaje mi się okaleczały. W myślistwie jednak z racji krótkiego wzroku nie zagustowałem, chociaż dostałem dość wcześnie od ojca fuzyjkę jednorurkę pistonówkę, z której z tryumfem dobiłem raz leżącego już wspaniałego łosia. Tu przypomnę, że pistonówki nabijało się przez lufę przy pomocy pakuł i stempla a nie od tyłu gotowymi nabojami.

Najulubieńszym moim sportem była jazda konna. Poczciwe klaczki, niby moje własne, Siwa i Aldona, zrzucały mnie często. W późniejszych czasach podczas wakacji, z ciotecznymi braćmi, Stanisławem i Kazimierzem Jundziłłami, przejeździliśmy konno i " o słońcu i o miesiącu " różnymi gościńcami i drogami przestrzenie od Nieświeża aż pod Wilno w jednym kierunku a poza Kosów i Słonim w drugim. W paru okolicach jechało się po jakie sześćdziesiąt kilometrów nieprzerwanie głuchym lasem, przecinanym tylko gdzieniegdzie niezarosłymi jeszcze " duktami," które Murawiew kazał wyrąbywać w celu wykrywania obozowisk powstańców. Ostatni raz dosiadłem konia w Jaszunach w r. 1934.

Ulubioną też rozrywką naszą i jak sądzę, wszystkich dzieci — bo i moi synowie i wnuki za nią przepadali — była zwózka żyta z poletków, gdzie stało ono w dziesięciosnopowych kopach, do gumna. Na pole jechało się pustymi " karami " (wóz drabiniasty) pełnym kłusem z możliwie największym turkotem, a z powrotem już powoli, siedząc na naładowanym wozie w rowku, utworzonym przez ciężki drąg, przyciskający snopy. Drąg ten — nie wiadomo dlaczego — nazywano rublem. Zima miała również swe swoiste przyjemności, połączone ze śniegiem i lodem, chociaż narty nie były jeszcze znane. Najnudniej wlokła się późna jesień i Wielki Post, i wtedy trzeba było najwięcej się uczyć. Wczesną jesień urozmaicały wyprawy w głąb lasu po rydze i brusnice (borówki) oraz pieczenie kartofli w polu. Z gier towarzyskich " bieganych " najwięcej lubiliśmy ślepą babkę, kotka myszkę oraz " à la guerre ", a z umysłowych ze składaniem fantów — ekiwoki, przysłowia i " tak i nie ".

Rodzice moi, jak to robiono w wielu domach, połączyli dla nauki mnie i moją siostrę z synem i córką Stanisława Lipskiego i Pauliny z Jundziłłów, siostry mojej matki, Ignacym i Zofią. Stanisław Lipski ze Stabinowa (o trzy mile od Słonima) był dwukrotnie zesłany do wschodniej Rosji, raz w r. 1849 jako jeden z oficerów, którzy nie chcieli wystąpić przeciw Węgrom, drugi raz w r. 1863 jako podejrzany o pomaganie powstańcom. Wszystko czworo, nawet po śmierci w r. 1872 ciotki Pauliny, uczyliśmy się w domu moich rodziców z tymi samymi nauczycielkami — Niemką i Szwajcarką bardzo wykształconą, która oprócz francuskiego uczyła nas wszystkich przedmiotów, z wyjątkiem religii i polskiego, także po francusku. Były jeszcze w robocie mitologia i historia powszechna odwiecznego Lamé Fleury i podręczniki z okresu ministra oświaty Duruy z czasów Napoleona III, które w dziedzinie historii i geografii zawierały daleko więcej danych o Polsce niż późniejsze z czasów Berta. Religii, języka i historii polskiej oraz muzyki uczyła nas moja matka, trzymając

się początkowo "Pielgrzyma w Dobromilu" a później podręczników Aleksandra Zdanowicza i Michała Balińskiego. Dla przygotowania nas do pierwszej spowiedzi przyjechał na kilka dni ze Słonima były misjonarz ks. Konstanty Majewski, następnie rektor kościoła pomisjonarskiego w Wilnie. Pierwszej komunii udzielił nam ostatni gwardian bernardynów słonimskich Błażewicz, kapelan zostawionych przez rząd na wymarcie sióstr bernardynek w Słonimie.

W muzyce z powodu trudności w czytaniu nut nie byłem nigdy biegły i w Warszawie zarzuciłem jej naukę. Wszelako grałem już walce Brahmsa, jakiś "Le désir" Kramera, z którego byłem bardzo dumny, bo trzeba w nim było przekładać prawą rękę na stronę basową, i na cztery ręce z siostrą potpourri z opery Thomasa "Mignon". Matka nie uważała abym był godny próbowania Fryderyka Chopina, ale lubiłem go słuchać, granego przez matkę lub przez kuzynów Augusta i Jana Jundziłłów, amatorów wysokiej klasy, uczni Antona Rubinsteina, jak nieco później Henryk Skirmuntt z Mołodowa, brat ambasadora londyńskiego Konstantego, autor opery "Pan Wołodyjowski." Fragmenty z "Halki" i pieśni z sześciu bodaj śpiewników Stanisława Moniuszki nuciliśmy w różnych wolnych chwilach, a w uroczyste rocznice śpiewaliśmy chórem "Boże, coś Polskę," "Jeszcze Polska nie zginęła" i "Za Niemen".

Siostra moja była wcale niezłą amatorką. Po powrocie z Wersalu brała jeszcze lekcje w Warszawie od uczenicy Aleksandra Michałowskiego p. Marii Siegenfeldtówny, po której w następnym pokoleniu zyskała wziętość p. Maria Smitzówna; ona to pierwsza odkryła prawdziwy talent muzyczny u syna mego Stanisława. Po jakimś czasie wstąpiła do zakonu sióstr sakramentek na Nowym Mieście.

W języki francuski i niemiecki wprawiano nas bardzo usilnie; w poniedziałki, środy i piątki do godz. 7 wieczór można było między sobą rozmawiać tylko po francusku, a w trzy dni pozostałe tylko po niemiecku. Niedziele i święta nie podlegały tej regule. Mieliśmy doskonały dwutygodnik paryski "Magasin d'Education", w którym przez ćwierć wieku drukował swe słynne powieści Jules Verne, oraz niemiecki "Gartenlaube". Główną dostarczycielką książek francuskich była wujenka Stefania z Twardowskich Jundziłłowa, żona brata mojej matki Tadeusza, zmarłego na suchoty w r. 1874 w Pizie. Dzięki niej dorywałem się do różnych romansów francuskich z tygodnika "Journal pour Tous", z których pierwszy przeczytany, "Les compagnons du silence" Févala, pamiętam dokładnie do dnia dzisiejszego. Ale od niej też mieliśmy rzeczy bardziej wartościowe, przekłady z Dickensa ("Oliver Twist", "Magazyn starożytności") a nawet studiowaną przeze mnie ciekawą książkę Juliana Klaczki o Bismarcku i Gorczakowie p. t. "Les deux chanceliers".

Pierwsze książki polskie, które sam przeczytałem, były: "Wiązanka Helenki" Klementyny z Tańskich Hoffmanowej i "Dzień grzecznego Władzia" Jana Chęcińskiego, wieloletniego reżysera Teatru Rozmaitości. Syn jego, także Jan, doskonały pedagog, przygotowywał do szkół najstar-

szego syna mego Józefa, sekretarza poselstwa naszego w Rydze w okresie rokowań traktatowych, który zginął potem w katastrofie samochodowej pod Garwolinem, podobnie jak dwaj ministrowie spraw zagranicznych, z którymi miewał często do czynienia : łotewski Meierovics i nasz Aleksander Skrzyński. Z Józiem uczyli się razem Staś Pilawitz, syn mego kolegi gimnazjalnego, bankiera Henryka Pilawitza, i Antoś Budny, syn przyjaciół naszych, Kazimierza, adwokata i radcy prawnego wielu rodzin i instytucji, i Marii z Chażyńskich, działaczki narodowej i społecznej. Stryjeczni bracia Kazimierza, Józef i Nikodem, należeli do rzędu najlepszych gospodarzy w Lubelszczyźnie. Młodszych moich synów przygotowała do szkół Zofia Kierznowska; prowadziła on także doskonały pensjonat dla chłopców uczęszczających do szkół warszawskich.

Otrzymywaliśmy na wsi " Przyjaciela Dzieci," redagowanego przez Jana Kantego Gregorowicza (" Wieczory Rodzinne " zaczęły wychodzić dopiero w r. 1881); ojciec prenumerował "Gazetę Warszawską", " Kronikę Rodzinną " i " Bibliotekę Warszawską," a matka i ciotki " Bluszcz " Marii Ilnickiej, z modami oraz dodatkami powieściowymi przeważnie przekładów sentymentalnych ówczesnych powieści autorek angielskich z pierwszej doby wiktoriańskiej. Jedna z nich — pamiętam, bo długo o niej rozmawiano — p.t. " Romans w romansie " wzbudziła wielkie zainteresowanie w t. zw. garderobie.

Po nieśmiertelnym " Robinsonie Cruzoe " w wybornym układzie Władysława Ludwika Anczyca, najwięcej mnie pociągnął Fenimor Cooper w przekładzie Feliksa Wrotnowskiego, szczególnie " Szpieg " i " Ostatni Mohikanie". Nad śmiercią Kory i Unkasa płakałem. Inne powieści o zachodnioindyjskich czerwonoskórych, Mayne Reida, Marryata i Aimarda, poznałem dopiero w Warszawie.

Z powieści, oprócz czytanej głośno " Szwedzi w Polsce ", zajęła mnie niezmiernie drukowana w odcinkach " Gazety Warszawskiej ", które mój ojciec układał starannie i zszywał do rozpożyczania, " Zemsta Czokołdowa " Józefa Ignacego Kraszewskiego. Pierwszy wiersz polski poważny, po wierszykach dziecinnych, odczytał nam mój ojciec z wybornych wypisów poznańskich Hipolita Cegielskiego. Był to wiersz Antoniego Goreckiego " Śmierć zdrajcy ojczyzny ".

Głównym dniem popisu uczącej się w naszym domu dziatwy był św. Józef, dzień imienin obojga rodziców. Występowaliśmy ze wszystkimi naszymi umiejętnościami — na piśmie i na fortepianie. Na ostatni św. Józef w r. 1873 przed wyjazdem do szkół deklamowałem " Alpuharę " z " Wallenroda ", jakąś balladę niemiecką Uhlanda i " La mort de Jeanne d' Arc " pani Amable Tastu. Poprzedniego roku odegraliśmy kilka scen z " Atalii " Rasyna. Przeglądając papiery i pamiątki mego ojca po jego śmierci, ze wzruszeniem w osobnej szufladzie komody znalazłem te wszystkie nasze wypracowania i listy z lat dziecięcych i późniejsze ze szkół. Umieściłem je wraz wielu innymi jeszcze dawniejszymi listami w staroświeckim ciężkim biurku dziadka, które ze Smogór odesłałem z

częścią mebli nie do Warszawy lecz do Sieneżyc. Zginęło tam podczas najścia sąsiadów w r. 1920. ale co prawda okazuje się, iż byłoby zginęło tak samo, gdyby stało w Warszawie.

Najtrudniej szło z nauką rosyjskiego. Mój ojciec wpadł na myśl sprowadzania dwa razy na tydzień z odległej o 6 km wioski, nauczyciela szkółki elementarnej, nazywanego " nastawnikiem." Był to dość wykształcony b. seminarzysta prawosławny, któremu zarzucano, że zbyt lubił zaglądać do kieliszka. Kiriłł Iwanowicz Troickij przyjeżdżał regularnie do mnie i do Lipskiego kałamaszką, żeby, jak mówił, cytując słowa z " Borisa Godunowa " Puszkina, " obòich Ignàtjew knìżnomu iskùsstwu wrazumlàt ". Podobno te odwiedziny podziałały na niego tak dodatnio, że przestał pić i został urzędnikiem powiatowym. Bardzo był zadowolony, żeśmy dobrze zdali egzamimy wstępne. Łaciny, ile potrzeba było do drugiej klasy, poduczył nas podczas wakacji kuzyn August Jundziłł, kochany muzyk Gucio, który przeniesiony z Rygi do Warszawy, otrzymał był właśnie złoty medal w gimnazjum III, a niestety, utracił brata młodszego Tadeusza, ucznia siódmej klasy, który w tym samym roku 1873 nazajutrz po przyjeździe na wakacje utonął, kąpiąc się w Szczarze pod Reginowem. W kilka lat później August wpadł w nieuleczalną melancholię.

Rodzice postanowili oddać nas do szkół w Warszawie. Nie wiem dlaczego, jeszcze wówczas wśród wielu ziemian na kresach panowała nieufność do szkół warszawskich i " pustego " życia warszawskiego. Dopiero później przekonali się, jak się mylili. Powiadali, że " koroniarze ", to blagierzy i fanfaroni. Może wpłynęło na ten pogląd postępowanie Leona Pusłowskiego, dziedzica Mereczowszczyzny, który po skończeniu gimnazjum III w Warszawie zaczął niemiłosiernie puszczać pieniądze, dając zły przykład mniej bogatym młodym ludziom. Wielu więc posyłało swoich synów do szkół niemieckich w Mitawie i Rydze. W Mitawie np. byli Czesław Jankowski, poeta i publicysta, i Jan Gnatowski, który został następnie księdzem, a podejrzany dla rządu rosyjskiego, osiadł we Lwowie i wrócił do Warszawy dopiero w r. 1915; tu został do końca życia w r. 1925 — rektorem kościoła św. Ducha na ul. Freta po ks. Zygmuncie Chełmickim. Był on współredaktorem tygodnika " Wiara " i pod pseudonimem Jana Łady wydał kilka udatnych powieści; jedną, której nie zdołał, zdaje się, już wydrukować z dziejów Lwowa w w. XVI, dał mi do przeczytania w rękopisie.

Najwięcej jednak chłopców wysyłano do Rygi, dokąd przybywali ci liczni wygnańcy, którym przed ostateczną zupełną amnestią nie wolno było jeszcze wracać do stron rodzinnych.

Wkrótce też zaczęło przyjeżdżać i z Litwy i z Korony wielu młodych ludzi do stojącej na wysokim poziomie ryskiej politechniki miejskiej z kilku wydziałami, m. in. i rolniczym. Utworzyła się w Rydze liczna kolonia polska, i powstały dwie polskie korporacje studenckie na wzór niemieckich: " Arkonia " a wkrótce potem " Welecja." Pierwszym prezesem " Arkonii " był Dymitr Daszkiewicz z wołkowyskiego, którego

matka Teresa była siostrą Wiktora Jundziłła, emigranta do Szwajcarii w r. 1831. Druga jego siostra, zdaje się Konstancja, wyszła za mąż za Aleksandra Chodźkę, kolegę Mickiewicza z Wilna, a później następcę jego na katedrze literatur słowiańskich w Sorbonie. Miałem zaszczyt odwiedzenia go za pierwszym pobytem w Paryżu we własnym jego domu, z ogródkiem zaprojektowanym przez słynnego Lenotre'a przy ulicy Neuve de-Petits Champs. Na pierwszym piętrze mieszkały studentki medycyny, przeważnie Szkotki, o których staruszek, nie lubiący uczonych kobiet, mówił, że mają nerwy jak postronki. Spotkałem raz u niego poetę Bohdana Zaleskiego z wielką siwą brodą.

Po Daszkiewiczu drugim z kolei prezesem " Arkonii " został Aleksander de Rosset, inżynier, z którym zaprzyjaźniłem się znacznie już później w Warszawie. Należał do t. zw. Koła Mieszczańskiego w pierwszej radzie miejskiej i w pierwszym sejmie. Odznaczał się dowcipem i ciętością. Jednego z radnych miejskich, nieznośnego nudziarza, o długiej, wymokłej fizjognomii, nazywał " śniętym sandaczem ". O pewnym ówczesnym mężu stanu orzekł : " Jaka to szkoda, że nie ma on trzech oczu, bo jednym widzi przeszłość, drugim — przyszłość, ale żadnym — teraźniejszości ". Był żonaty z p. Ziutą Benisławską z Inflant, z jej zaś stryjeczną siostrą Eugenią — Antoni Donimirski z Warmii, późniejszy kolega mój ze " Słowa " warszawskiego. Córka Donimirskiego, Taida Dzieduszycka-Choińska z Jabłonowa w Małopolsce Wschodniej, może się poszczycić, że poznała Warszawę i wszystkie trzy dawne zabory — rosyjski, pruski i austriacki, a później — nie dobrowolnie — Uzbekstan. Jedna z Benisławskich wyszła w XIX w. za Anglika dr. Morrisona, po którym spadek windykują dotąd Benisławscy.

Z korporantów " Welecji " znałem, prócz jednego z jej prezesów Stanisława Brzezińskiego, w ostatnich czasach prezesa Tow. Sztuk Pięknych i kolegę mego z zarządu Ligi Obrony Czci, Tomasza Przesmyckiego, jednego z braci poety Zenona Przesmyckiego (Miriama), i inż. Stefana Włodarkiewicza. Ten wraz z Janem Siekluckim, bratem Anny, żony redaktora Józefa Wolffa, secundo voto doktorowej Boralowej, powzięli zamiar alkalizowania wybornej wody krynicznej w Oblęgorku Henryka Sienkiewicza, w celu wyparcia kaukaskiego " Narzan " i czesko-niemieckiego " Giesshübler ", p.n. wody stołowej " Ursus ". Obleliśmy obficie zawarcie odpowiedniego kontraktu w salonach Stowarzyszenia Techników oczywiście szampanem, nie wodą mineralną, lecz okazało się, że przewóz butelek z Kielc do Oblęgorka po gliniastej i wyboistej drodze w tę i w tamtą stronę był ryzykowny, bo niemal połowa butelek tłukła się przy najstaranniejszym opakowaniu; wypadło zatem tego przedsiębiorstwa zaniechać.

Ostatecznie rodzice i wuj Lipski zdecydowali się na wybór Warszawy, i przez to losy moje związały się na całe życie aż do lipca 1939 r. z losami tego miasta, a zżyć się z Warszawą — to ją pokochać, pokochać wszystkie jej gmachy, kościoły, domy, wszystkie jej ulice, zaułki i zakątki, to pokochać

jej macierzyńskie serce dla przybyszów ze wszystkich stron i ze wszystkich miast, połączone z iście stołeczną wielkodusznością i wspaniałomyślnością.

Wstęp niniejszy pisałem we wrześniu 1944 r. po ukończeniu pierwszego cyklu wspomnień o charakterze ogólniejszym, pisałem go przygnębiony wieściami o straszliwych przejściach mieszkańców Warszawy, jej ludności i jej armii i o zniszczeniu wszystkich niemal budynków. Pomimo najgłębszego podziwu dla bohaterskiego miasta, pomimo zrozumienia całej wagi politycznej tego bohaterstwa — ciężko będzie odboleć stratę i mękę tylu ofiar, trudno będzie odbudować ze zgliszcz i ruin nową Warszawę, która nie będzie już mogła być zewnętrznie taką samą, choć duszą będzie zawsze tą samą!

Zacząłem pisać swe wspomnienia latem 1942 r. w zacisznym wiejskim ustroniu Truckett's Hall (West Suffolk), gdzie umieścił nas zaraz po przyjeździe przyjaciel i kolega mego syna Jana z zarządu Międzynarodowej Konfederacji Studentów (C.I.E.), Yvison Stevenson MacAdam. Jemu, jego żonie p. Caroline z domu Corbett z Portland (Oregon) znad brzegów Pacyfiku, oraz obecnemu ministrowi oświaty RichardowiA ustenowi Butler, także koledze syna z zarządu C.I.E., i jego żonie p. Sydney z domu Courtauld, zawdzięczamy szybkie ochłonięcie po nerwowym wstrząsie i łatwiejsze urządzenie się, jako pierwszych uchodźców. A zewsząd dokoła otoczyła nas życzliwa atmosfera mieszkańców wszystkich sfer, z państwem Weller-Poley z Boxted Hall, właścicieli Truckett's Hall, i sąsiadki panny Doris Pleydel Bouverie na czele. Potem przenieśliśmy się do miasta Sudbury (Suffolk), gdzie roztoczył nad nami swą opiekę proboszcz parafii katolickiej Sudbury ks. R. Gerard Moir, wielki przyjaciel Polski i Polaków. Umieścił on w kościele jeszcze wr. 1939 kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej obok posągu Matki Boskiej z Sudbury, bardzo czczonej od w. XIV, który odnalazł w jakiejś skrytce i na nowo postawił w zbudowanym około 1872 r. kościele, już oczywiście nie tym, gdzie pierwotnie stała. Wiele też zawdzięczamy Sir Alfredowi Zimmernowi, profesorowi z Oxfordu, i jego żonie pani Lucie z domu Hirsch, którzy dwukrotnie odwiedzali Warszawę.

Wreszcie poczuwam się do miłego obowiązku wyrażenia najżywszej wdzięczności najprzód p. Mieczysławowi Grydzewskiemu, który zachęcił mnie do kreślenia mych wspomnień i doglądał ich druku w "Wiadomościach Polskich", a następnie p. Mieczysławowi Szererowi, który po zamknięciu "Wiadomości" w dalszym ciągu umieszczał je w "Dzienniku Polskim i Żołnierza". Dzięki temu i dzięki życzliwej publicznej ocenie przez prezesa Zygmunta Nowakowskiego, poczułem się ośmielony do pisania tej książki w dalszym ciągu, z ufnością że będzie miała pewną wartość dla przyszłych moich rodaków jako pamiątka o dawnej, jakże już dawnej, ukochanej naszej Warszawie.

Croft House, Sudbury, Suffolk.
29 *września* 1944.

PIERWSZE WRAŻENIA — PRZYJAZD

W słoneczny dzień sierpniowy 1873 r. w towarzystwie ojca oraz brata ciotecznego Lipskiego (my dwaj jako aspiranci do szkół) wysiadłem po dwunastogodzinnej podróży koleją na dworcu Terespolskim, zwanym później Brzeskim, na Pradze. Z tego samego dworca rankiem dn. 6 lipca 1939 r. wyjeżdżałem z Warszawy prawdopodobnie po raz ostatni, bo wątpię, czy mi starczy życia na powrót do Kraju.

Sam budynek stacyjny i rozkład głównych sal pasażerskich i bagażowych prawie się przez ten czas nie zmienił (nie mówię naturalnie o całym jego otoczeniu).

Wyjechaliśmy z Reginowa nad Szczarą późnym wieczorem,—pobłogosławieni przez moją matkę (matka Lipskiego już nie żyła) i babunię Jundziłłową u drzwi tej samej kaplicy w ogrodzie, gdzie byłem ochrzczony, ale po powstaniu skasowanej przez władze rosyjskie i opieczętowanej, — do Domanowa, najbliższej stacji kolejowej, leżącej na pograniczu powiatów słonimskiego i nowogródzkiego, o 6 mil na zachód od Baranowicz, które wtedy były jeszcze lichą, leśną wioszczyną.

Pierwszy wyjazd z domu, od rodziców, do dalekiego miasta, do obcych ludzi i twardej szkoły, bywa zawsze dla dziecka ciężkim przejściem. Smutek rozstania powiększały żałosne spojrzenia, rzucane na nas przez furmana Jana, nauczyciela konnej jazdy, oraz nieocenionego opiekuna i towarzysza od wszystkiego, Wincentego Zawadzkiego, kucharza, myśliwego i pasiecznika w jednej osobie. Umarł on w podeszłym wieku u nas w Smogórach na Wileńszczyźnie, ubolewając zawsze, że wolę książki niż polowanie, i spodziewając się, że przynajmniej jeden z moich synów będzie myśliwym.

Z drugiej strony pocieszała nas nieco na wyjezdnem perspektywa pierwszej w życiu jazdy koleją żelazną, najprzód dopiero przed rokiem otwartą koleją Moskiewsko-Brzeską do Brześcia, a dalej Terespolską do Warszawy, ale już innym pociągiem, bo w Brześciu te dwie koleje tylko stykały się z sobą i trzeba było prócz przesiadania się, kupować znowu bilety, wydostawać i ekspediować bagaż na nowo.

W Brześciu uderzyły nas od razu nader mile zewnętrzne różnice pod względem narodowym. Nie dość, że z pewną dumą zdawaliśmy sobie sprawę, iż niebawem po przejechaniu mostu na Bugu staniemy się jakby starsi o 12 dni, znalazłszy się w obrębie kalendarza nowego stylu, zwanego w naszych stronach kalendarzem polskim, ale już na samym dworcu kasjerzy, konduktorzy i funkcjonariusze kolejowi byli inaczej umundurowani i mówili po polsku. Nawet główny szwajcar, pokaźnej tuszy pan Lebiedziński, ogłaszał po potrójnym dzwonku odejście pociągów w stronę Warszawy po polsku (" do Białej, Siedlec, Warszawy ") a w przeciwną stronę po rosyjsku (" na Mìnsk, Smolènsk, Moskwù ").

Liczono też potocznie na złote polskie i grosze, nie na ruble i kopiejki,

a szare dziesięciogroszówki z orzełkiem były w powszechnym użyciu. Dziesięciogroszówki te, zwane dziesiątkami, jako dogodniejsze od ciężkich miedzianych pięciokopiejkówek rosyjskich, krążyły jeszcze przez lat kilkanaście aż do Dźwiny i Dniepru. Wycofano je z obiegu po skasowaniu Banku Polskiego około r. 1885, a jednocześnie wydano zakaz liczenia w urzędach i we wszelkich tranzakcjach na złote i grosze. Zakaz ten m. in. miał ten skutek, że w nowym wydaniu bajek Stanisława Jachowicza jakiś gorliwy cenzor żądał, aby w wierszyku, zaczynającym się od słów:

Dała mi złotówkę mama,
Bym zobaczył panorama . . .

zamiast "złotówki" "stojało piętnaście kopiejek". Ledwie go przekonano, że to jest wiersz "historyczny," a nie współczesny.

DOROŻKI I TRAMWAJE

Na dworcu w Warszawie, otrzymawszy z rąk "stójkowego" (tak nazywano policjantów) blaszkę z numerem, udaliśmy się za niosącym bagaże tragarzem do właściwej dorożki, których liczny szereg stał na placu.

Wszystkie dorożki wówczas były dwukonne, szerokie i bardzo wygodne. Nazywano je "dryndami", a dorożkarzy — "dryndziarzami". Pogardliwe miano "sałata" przyjęło się znacznie później w stosunku do dosyć lichych i często obszarpanych jednokonek, które z czasem stały się najliczniejsze.

Dorożkarze nosili liberię koloru piaskowego, z blaszką z numerem na plecach, i czapkę w kształcie rogatywki, a konie miały uprząż krakowską, zimą przy sankach — z brzękadłami. Później kolor liberii zmieniono na ciemnogranatowy a używania uprzęży krakowskiej zakazano.

Cena kursu w obrębie rogatek miejskich wynosiła 40 gr a na dworce kolejowe — 60 gr, z dodatkiem za większy kufer i napiwek za szybką jazdę. Przy wjeździe przez rogatki do miasta — cmentarz powązkowski był już za rogatkami — długo jeszcze płacono na rzecz miasta "rogatkowe", rachowane od konia i dlatego nazywane potocznie "kopytkowem".

Dorożkarze warszawscy odznaczali się wówczas fantazją i humorem.

Z rozpowszechnieniem się jednokonek i tramwajów, dorożki parokonne stały się coraz mniej liczne, lecz zyskały na jakości pojazdów i koni. Nosiły też najniższe numery a jeżdżenie dorożką na gumach, gdy się ukazały, należało do szyku. August Potocki z Jabłonny, zwany popularnie "Guciem", ówczesny "arbiter elegantiarum" złotej młodzieży, trzymał stale taką parokonkę z nr 1.

Co prawda dorożkarze ówcześni — choć drobnymi dawkami — zarabiali dostatecznie, bo obok powozów prywatnych (z herbami lub monogramami na drzwiczkach) i wynajmowanych w bardzo licznych t. zw. remizach, dorożki były jedynym tańszym środkiem komunikacji. Tylko

między pl. Trzech Krzyży i Zamkowym krążyły z rzadka żółte omnibusy, zwane "kanarkami", z karetą i z tylną podłużną kondvgnacją, na 12 osób; bilet kosztował 10 gr bez względu na odległość. Między dworcami Wiedeńskim a Petersburskim, do przewożenia raczej towarów niż ludzi, chodził Marszałkowską, Królewską, Krakowskim i dalej granatowy wagon, nazywany "ropuchą," ale tak nieregularnie, że nikt na niego nie liczył.

Tramwaje właściwe, naturalnie konne, zaprowadziło dopiero w r. 1881 prywatne przedsiębiorstwo belgijskie.

Nie mogę powiedzieć, aby wjazd na Pragę mnie zachwycił. Pierwsza ulica, słusznie zwana Wołową, przypominała mi nieco rynek Sienny przy ul. Zawalnej w Wilnie, była tylko znacznie od niego szersza i dłuższa. Cały jej środek, ogrodzony barierami, wyglądał jak podeschły, błotnisty majdan, gdyż był miejscem postoju i cotygodniowego w piątki targu na woły, przypędzane głównie z kresów południowo-wschodnich.

Domy były na ogół niskie, co najwyżej jednopiętrowe i brzydkie. Nie spostrzegłem żadnego większego budynku. Jedyny wówczas kościół katolicki na Pradze znajdował się w stronie Targówka, bo kościół św. Floriana wzniesiono dopiero koło r. 1900. Kościołek kalwiński, mały, okrągły, niski, koło którego przejeżdżaliśmy, był bardzo skromny; wielką świątynię ze strzelistą wieżą na Lesznie zbudowano około r. 1880. Tylko z dala wśród drzew widać było kopułę i kopułki okazałego soboru prawosławnego przy dworcu Petersburskim.

Dopiero zawróciwszy na szeroką i otwartą ul. Zygmuntowską (wówczas Aleksandrowską) w stronę mostu Kierbedzia, zobaczyłem mieniącą się w słońcu wspaniałą wstęgę Wisły ("Ho, ho, niech się schowa Wilia i Niemen" — pomyślałem) i na jej wysokim brzegu malowniczą i ujmującą panoramę Warszawy, stanowiącą bodaj największe piękno naszej stolicy.

Widok ujrzanej po raz pierwszy, zwłaszcza w młodym wieku, miejscowości inkrustuje się w pamięci najtrwalej. Ta panorama Warszawy od strony Pragi w szaro-niebieskawej mgle, zwieszającej się stale nad miastem, dla mnie, krótkowidza, niczym się prawie nie różniła od tej, którą w lipcu 1939 r. oglądałem po raz ostatni, zjeżdżając z mostu Poniatowskiego. Po prawej stronie mostu Kierbedzia przybyła jedna wieżyca (kościoła św. Augustyna), a po lewej — już daleko poza wylotem ul. Bednarskiej — na nieprzerwanej dawniej zieleni skłonu szarzały gęściej budynki, jak również nad samym brzegiem rzeki, ongi prawie pustym.

Sam most Kierbedzia przedstawiał się wtedy nawet lepiej niż teraz, bo nie był miejscami zniekształcony przez dość nieudatne reperacje szkód, sprawionych przez odchodzące w r. 1915 wojska rosyjskie.

Dla pamięci notuję, że w swoim czasie podnieśliśmy w zarządzie miejskim sprawę zwrotu kosztów reperacji i stałego utrzymywania tego mostu, z tytułu, że był to most państwowy a nie miejski, jak Poniatowskiego, i że nie było formalnego dekretu o przekazaniu go gminie miejskiej.

Nie wiem, jak się skończyła ta sprawa; być może, magistrat ustąpił rządowi, tak jak ustąpił pod budowę Banku Gospodarstwa Krajowego wspaniale zadrzewiony skwer na rogu Nowego Światu i al. Jerozolimskich, chociaż władze petersburskie — pomimo istniejącego z dawna sporu o ten skwer między ministerstwem komunikacji a miastem — pozostawiły go w użytkowaniu ludności.

Na Wiśle poczciwe łysiny mielizn świeciły jak i teraz w tej porze lata, ale ani z jednej ani z drugiej strony nie przecinały widoku jej nurtu pasma jakiegokolwiek mostu.

Z rzadka przesuwały się łodzie i łódki. Oprócz przystani po stronie warszawskiej, gdzie dymił niewielki statek z dużym bębnem po środku, zauważyłem od strony Pragi kilka obszernych kąpielisk, okolonych drewnianymi kajutami, i jedną większą ozdobną przystań. Była to przystań rosyjsko-niemieckiego yacht-clubu.

Pierwsze polskie Tow. Wioślarskie powstało dopiero około r. 1885, z prezesem, znanym chirurgiem, dr. Władysławem Stankiewiczem, na czele. Jeden z następnych prezesów, Władysław Branicki z Wilanowa, przy parcelacji i zabudowywaniu swych placów między ul. Smolną i ogrodem zwanym Foksal, ofiarował Towarzystwu pod zimową siedzibę dla zebrań i życia klubowego parcelę od nowej ul. Foksal, która w tym czasie dopiero zyskała wylot na Nowy Świat.

ULICE—PLACE—DOMY

Nareszcie wyjechaliśmy na Nowy Zjazd do właściwej Warszawy. Ojciec mój ze smutnym westchnieniem wskazał nam na zamek królewski, pod którego tarasem ćwiczył się oddział jazdy czerkieskiej. Przyznam się, że większe wrażenie zrobił na mnie pomnik Zygmunta III, może dlatego że była to pierwsza widziana w życiu tak wspaniała kolumna, i z posągiem króla, naszego polskiego króla. Stała ona nieco bliżej wylotu Podwala niż obecnie. Poza tym obudowanie pl. Zamkowego prawie się nie zmieniło, a fasada kamienicy między Krakowskim Przedmieściem a Senatorską była identyczna z obecną. Po lewej stronie Nowego Zjazdu stał tylko jeden wielki gmach, sięgający poziomu ulicy; były to t.zw. Akcyjne Łazienki Parowe, jeden z bardzo nielicznych podówczas zakładów kąpielowych.

Krakowskie Przedmieście, tonące w słońcu, szerokie, z rozległym zieleńcem pośrodku, przedstawiało się imponująco. Raził tylko nas, wieśniaków, i oszołamiał turkot licznych wozów i powozów.

Bruk, chociaż na głównej ulicy, nie był zbyt równy i składał się przeważnie z " kocich łbów," a trzeba pamiętać, że koła były okute żelazem, bo o obręczach gumowych jeszcze nikomu się nie śniło. Przy spotkaniu choćby jednego wozu z pustymi beczkami trzeba było istotnie zatykać sobie uszy.

Lewa strona Krakowskiego nic się prawie nie zmieniła. Przybyły: dwie kamienice za Bednarską, hotel Bristol, na miejscu dawnego pałacu Tarnowskich, i ciężka brama murowana przed uniwersytetem, do którego wejście, dawniej zagrodzone żelaznymi sztachetami z żelazną bramą, znajdowało się przy samym ogrodzie uniwersyteckim.

Naturalnie nie było pomnika Mickiewicza (odsłonięty 24 grudnia 1898 r.), ale przed pałacem Namiestnikowskim stał pomnik Paskiewicza, księcia warszawskiego.

Pomnik Mikołaja Kopernika otaczały krzewy, fasada zaś pałacu Staszica była taka sama, jak teraz, bośmy w r. 1924 znieśli rusyfikacyjne ozdoby w stylu kolorowych ręczników jarosławskich, zainicjowane w dziewiątym dziesiątku lat ub.w. przez osławionego kuratora warszawskiego okręgu naukowego Apuchtina.

Jednak placyk przed Kopernikiem wyglądał estetyczniej wtedy, niż w ostatnich czasach, gdyż między ul. Oboźną i Aleksandrią wznosił się staroświecki barokowy pałac Karasia. Zburzony przed samym wybuchem wojny 1914 r., zostawił po sobie pusty plac, dotąd ku stałemu zmartwieniu ojców miasta nie zabudowany, istotnie bowiem, otwierając widok na dalsze szczytowe ściany, szpecił tą luką jeden z głównych punktów linii reprezentacyjnej Zamek–Belweder.

Wszystkie inne pałace i budynki po tej stronie, nawet odwieczny zajazd "Dziekanka" z wklęsłą bramą, wyglądały jak teraz.

Prawa strona Krakowskiego Przedmieścia również zmieniła się niewiele. Tylko wąskie parookienne kamienice podrosły o dwa czy trzy piętra, i sklepy zastąpiły wszystkie parterowe mieszkania. Nie było jeszcze ul. Nowomiodowej, i ruch pieszych, chcących uniknąć ciasnej i niewygodnej ul. Koziej, by dostać się na Miodową, kierował się przez dom przechodni Reslera, którego drugi front wychodził na Senatorską. Wzdłuż ul. Trębackiej aż do hotelu Rzymskiego na Nowosenatorskiej (ul. Focha) ciągnął się szereg odrapanych oficyn i brudnych dziedzińców, zwany Starą Pocztą, skąd jeszcze przez dwa lata wyjeżdżały z głośnym trąbieniem dyliżanse pocztowe ("kurierki"), po czym wszystkie biura pocztowe z kontyngentem koni i środków przewozowych przeniesiono na pl. Warecki (od dn. 5 maja 1921 r. pl. Napoleona) naprzeciwko starego szpitala Dzieciątka Jezus. Hotel Europejski był tylko w trzech czwartych obudowany.

Między boczną oficyną pałacu Krasińskich i klasztorem ojców misjonarzy, zajętym już na gimnazjum rządowe, istniał tylko początek ul. Berga (dziś Traugutta), nazwanej tak na cześć ówczesnego, a ostatniego namiestnika carskiego. Dalsze tereny, sięgające niemal Mazowieckiej i Świętokrzyskiej, po cmentarzu i ogrodzie misjonarzy św. Krzyża, rząd przeznaczył na parcelację i rozprzedaż, i dlatego nazywano je długo Księżą Krzywdą. W czasie mego przyjazdu stała na jednej z parceli szopa, szumnie nazwana Teatr Rappo, z osobliwościami zoologicznymi, jak cielę o dwóch głowach i t.p., które zresztą nas dzieci bardzo intereso-

wały, a później przez kilka lat w miejscu, gdzie dziś jest ślepa ul. Dowcip — drewniany cyrk Salomońskiego.

Właśnie z bramy gimnazjum wysypała się garstka uczni w mundurkach, prawdopodobnie przybyłych wcześniej w celu zdania poprawek powakacyjnych. Pożeraliśmy ich oczami jako przyszłych towarzvszy. Mundurki były z sukna koloru jasnogranatowego, długie, do stanu, z dziewięciu srebrnymi guzikami i stojącym kołnierzem z galonem. Czapki miały kształt " kepi " liceistów i żołnierzy francuskich z czasów Napoleona III. Kolor jasnogranatowy ze srebrem był wówczas urzędowym kolorem ministerstwa oświaty, i nauczyciele gimnazjalni obowiązani byli zawsze nosić na lekcjach tego koloru fraki ze srebrnymi guzikami. Palta miały krój i szary kolor szyneli oficerskich.

STROJE I OBYCZAJE

Ruch na chodniku Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Światu wydał się nam bardzo duży, ale tylko po stronie prawej, licząc od pl. Zamkowego, bo lewa strona była mało uczęszczana.

Stroje damskie co prawda nie bardzo nas wtedy zajmowały, ale zauważyliśmy że chociaż bez krynolin, suknie były szerokie i długie. Unosiły je damy " z gracją " jedną urękawicznioną ręką, tak że widać było pół stopy, a w drugiej trzymały parasolkę. Kapelusze kształtu talerza z kwiatami, przykrytego spuszczającą się dość nisko woalką, przypominały spodki z ciastkami, osłonięte muślinem przed muchami. Opalenizna u kobiet była jeszcze przez długi czas unikana i niemodna. Śmieliśmy się nieraz, że na wsi podrastającym panienkom zalecano wychodzić nawet do ogrodu w rękawiczkach i z parasolkami lub w szerokich słomkowych pasterkach. Szczególnie pilnowały tego kochane, zacne ciocie, tak zawsze pobłażliwe dla siostrzeńców a wymagające dla siostrzenic.

Mężczyźni w mieście nosili powszechnie cylindry, tylko latem kapelusze słomkowe. Melony zaczynały dopiero wchodzić w modę. Żaden szanujący się gentleman nie mógł składać wizyt inaczej niż w zapiętym tużurku i z trzymanym w ręce cylindrem. Gdy podawano herbatę, musiał go stawiać pod krzesłem, ponieważ zaś nie wypadało zdejmować glansowanych rękawiczek, trzymanie filiżanki wymagało istotnej zręczności.

Czarne " inekspymable " (umyślnie używam tej nazwy, bo wówczas nazwy " majtki " lub " spodnie " nie godziło się wymieniać w towarzystwie, jak słowa " koszula " w Anglii za królowej Wiktorii) noszono tylko w garniturach frakowych albo w ubraniu żałobnym; musiały być one zawsze jaśniejsze od tużurka, żakietu czy bonżurki, t.j. kurtki z rozchodzącymi się ukośnie połami. Nie wypadało także chodzić po ulicy w tużurku bez palta nawet w letnie upały, stąd powstała moda lekkich jasnych palt, zwanych " sakami " (sac-paletots). Obuwie z gumami po bokach nazywano " kamaszami ".

Ale ówczesne postaci męskie nie tyle różniły się od dzisiejszych ubraniem ile zarostem twarzy. Zarostu nie nosili tylko księża i aktorzy. Nie wolno go było także nosić służbie, podającej do stołu, zwłaszcza garsonom restauracyjnym. Wąsy mieli wszyscy, przeważnie w stylu polskim; płeć piękna, odwrotnie niż obecnie, podzielała zdanie Franciszka Dionizego Kniaźnina: " Ozdobo twarzy, wąsy pokrętne"... Każdy młodzieniec z dumą pieścił i hodował pierwszy meszek pod nosem; był on jednak zabroniony uczniom szkół średnich, zarówno jak pince-nez, stojące kołnierzyki i chodzenie z laską; powiedzenie o kimś, że ma mleko pod nosem albo że jest żółtodzióbem, uchodziło ze wyraz lekceważenia. Znaczny procent mężczyzn miał brody — pełne na szpic lub w kształcie łopaty, albo hiszpanki — wąskie przy golonych policzkach.

Wielu nosiło jeszcze, za przykładem trzech panujących wówczas cesarzy, sute, rozchodzące się w obie strony bokobrody, przedzielone wygolonym paskiem na podbródku. Mówili mi później niektórzy badacze tych spraw, którzy nazywali siebie "fryzologami," że owe bokobrody i pełne brody najlepiej ukrywały najtrudniejsze do zamaskowania oznaki nadchodzącej starości, a mianowicie opuszczanie się boków dolnej szczęki, wskutek zwiotczenia mięśni, oraz zmarszczki na szyi.

Twierdzili, że ta okoliczność wpłynęła na niepomierną wysokość i sztywność kołnierzy przy mundurach i podchodzących pod samą brodę halsztuchów z " vatermörderami " przy ubraniach cywilnych. Osobiście widziałem tylko trzech staruszków, noszących takie klasyczne halsztuchy, filaretów wileńskich: Antoniego Edwarda Odyńca, Onufrego Pietraszkiewicza i Benedykta Turskiego.

Ciż sami mężowie palili także fajki na bardzo długich cybuchach; palili czasem i cygara, ale gardzili papierosami.

Tymczasem papierosy wchodziły coraz bardziej w użycie. W Warszawie w owym czasie najpopularniejsze i najlepsze były papierosy fabryki " Laferme," finansowanej przez Leopolda Kronenberga. Mieściła się ona w dużym budynku na rogu ul. Złotej i Marszałkowskiej, gdzie dziś restauracja "Pod Bukietem." Wyrabiała także cygara, a jeden z ich gatunków, po 2 grosze sztuka, nazywano dla jego woni " Los Infectados ". Zażywanie tabaki, które za czasów mego dzieciństwa było praktykowane przez wiele starszych pań, zanikało całkowicie. Natomiast młodsza płeć żeńska zaczynała, choć nieśmiało, palić papierosy, ale przez długi czas nigdy ani na ulicy ani w miejscu publicznym, nawet w ogólnej sali restauracyjnej. Panna, ćmiąca papierosy, uchodziła za emancypantkę.

KREWNI I PRZYJACIELE

Nareszcie, minąwszy cukiernię Bliklego, istniejącą dotąd w tym samym miejscu i pod tą samą firmą, dorożka nasza zawróciła drobnym truch-

cikiem na ul. Chmielną. Chociaż na samym rogu nie było jeszcze domu, tylko mur, ale zaraz dalej aż do rogów Szpitalnej i Brackiej wznosił się z obu stron szereg porządnych, przeważnie dwupiętrowych kamienic, mających rozległe, niezabudowane dziedzińce.

Ulica ta, stojąca od strony południowej w cieniu, wydała mi się ciasnym i ciemnym korytarzem i popsuła pierwsze wrażenie wspaniałości Warszawy.

Zajechaliśmy do domu nr 8 (później 14), gdzie na II piętrze miała mieszkanie stryjenka ojca mego, Michałowa Balińska, córka Jędrzeja Śniadeckiego, która po owdowieniu tylko na lato jeździła do Jaszun pod Wilnem, a stale mieszkała w Warszawie z córkami: niezamężną Julią i zamężną Marią Garbowską, której dzieci uczyły się w Warszawie Jeden z jej synów, dr Józef Garbowski, był później pierwszym specjalistą w zakresie wchodzącego w modę masażu leczniczego, po przeprowadzeniu studiów w Amsterdamie u słynnego Metzgera.

Tu wspomnę, że babka Michałowa (zmarła w r. 1880) nawet z podrastającymi wnukami nigdy nie rozmawiała o siostrze swej Ludwice i rzadko o Słowackim. Raz mi pokazała brzozę, którą Słowacki zasadził w parku jaszuńskim.

Ten odcinek ul. Chmielnej był wówczas gęsto zamieszkały przez licznych ziemian z Litwy (według dawnej nomenklatury), zesłanych po powstaniu 1863 r. do Rosji europejskiej lub na Syberię, co najczęściej łączyło się z konfiskatą majątków.

Pozwolono im po kilku latach osiadać w Rydze i Mitawie, później w Warszawie, a dopiero od r. 1874 w stronach rodzinnych, jeśli mieli tam punkt oparcia.

W tym samym domu, co babka, mieszkał Turski, ożeniony z Mackiewiczówną, kuzynką trzech sióstr Mackiewiczówien, małżonek trzech pisarzy z Wileńszczyzny: Odyńca, Ignacego Chodźki i Juliana Korsaka. Naprzeciwko pod nr 9 miała mieszkanie jedna z sióstr mojej matki, Teresa z Jundziłłów Jundziłłowa, zesłana do gub. penzeńskiej za to, że w lasach majątku jej nieletnich synów Hrudopolu schroniła się po zwycięskiej potyczce pod Mołowidami (broń Boże, nie pod Miłowodami, jak przezwali tę miejscowość Rosjanie) partia powstańców, której jednym z dowódców był Franciszek Jundziłł.

Pod tymże nr 9 mieszkała kuzynka mego ojca, Maria z Hornowskich Kostrowicka, z dziećmi, zesłana jako wiceprezeska Tow. Wincentego a Paulo w Wilnie, wspomagającego ruch narodowy, do gub. woroneżskiej, z konfiskatą majątku Rzesza pod Wilnem. Jednocześnie zesłano trzy siostry mojej babki, Teklę, Julię i Emilię Houwaltówny; później osiadły one w Warszawie.

Obok posiadał kamienicę z dużym ogrodem kuzyn mojej matki Jan Jundziłł z Iwacewicz pod Kossowem, kolega Kraszewskiego z gimnazjum świsłockiego, zamiłowany w książkach. Opowiadał mi nieraz, nazywając mnie Żegotą (" Ignacy od " ignis ", a " ignis " (ogień) się podżega "), o

przyjacielu swoim, zupełnie dziś zapomnianym powieściopisarzu Placydzie Jankowskim, księdzu unickim, który nie wyrzekł się unii i zamieszkał prywatnie w Żyrowicach pod Słonimem, wydając u Zawadzkiego w Wilnie powieści pod pseudonimem John of Dycalp, był bowiem zapalonym anglofilem. Synowa Jana Jundziłła i jedyny wnuk Antoni, prezes Związku Ziemian Kresowych, zginęli jesienią czy zimą 1939 r., nie zdoławszy schronić się przed najazdem bolszewickim.

Na tejże ulicy mieszkali podówczas Kazimierzostwo Szetkiewiczowie z trockiego (ona Mineykówna z domu) z dwiema podrastającymi córkami. Maria wyszła za mąż za Sienkiewicza a Jadwiga za profesoraWszechnicy Jagiellońskiej Edmunda Janczewskiego. W willi jej przy ul. Wolskiej nr 16 w Krakowie, gdzie nas wracających z żoną z Karlsbadu zatrzymała półtora miesiąca wojna, we wrześniu 1914 r. widziałem się po raz ostatni z Sienkiewiczem.

Wymienię jeszcze rodziny Łappów, Medekszów, wymienię i Ludomira Pruszyńskiego, którego zapamiętałem jako gorliwego propagatora łączności Polaków z zachodnimi i południowymi Słowianami. Tegoż roku jesienią zamieszkała obok babki Balińskiej wujenka moja Stefania Jundziłłowa, córka Józefa Twardowskiego, rektora uniwersytetu wileńskiego, wdowa po jedynym bracie mojej matki, Tadeuszu, z dwoma synami, przeniesionymi ze szkół ryskich do warszawskich. Ojciec mój był ich opiekunem, a z nimi samymi łączyły mnie przez całe życie najbliższe stosunki, jak z braćmi rodzonymi, bo brata nie miałem, tylko jedną siostrę, za Stanisławem Balińskin z Jaszun, potem za Władysławem Brochockim z Możejkowa w pow. lidzkim.

Wreszcie na tej samej ulicy mieszkał wtedy Odyniec, zanim przeniósł się do kamienicy Zamoyskich na pl. Zielonym (później Dąbrowskiego). Po śmierci zięcia swego, dr. Stanisława Chomętowskiego, zamieszkał z córką przy końcu ul. Marszałkowskiej i tam umarł. W tymże domu, który w r. 1938 zburzono pod nową ulicę, łączącą Marszałkowską z Polną, zamieszkałem wkrótce po ślubie z panną Marią Chomętowską, i tu przyszło na świat pięciu moich synów. Dopiero w r. 1913 przenieśliśmy się na ul. Wiejską nr 11 naprzeciwko wjazdu do Frascati, które wówczas tonęło w zieloności. Mieszkanie to, jak doszło do mojej wiadomości, doszczętnie obrabowano wkrótce po zajęciu Warszawy. " Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy " — słusznie mówi poeta, ale trudno nie żałować książek, starych druków, pierwszych wydań, rękopisów, listów i pamiątek zbieranych przez kilka pokoleń w kilku rodzinach, a ratowanych już w wielu ciężkich przejściach. Na szczęście syn mój Stanisław ocalił w porę tekę z listami Mickiewicza do Odyńca.

Niektóre z posiadanych rękopisów, dokumentów i listów miałem już po wakacjach 1939 r. oddać Edwardowi Krasińskiemu do jego biblioteki, a m.in. — rękopis powieści obyczajowej dziada jego, Adama Krasińskiego z Radziejowic, danej mi przez Sienkiewicza do ewentualnego wydrukowania w odcinku " Słowa ", ale bardzo słabej.

C

Do muzeum wileńskiego przeznaczyłem rękopis powieści Czeczota z r. 1827 i spisany przez niego zbiór pieśni ludowych, dwa sonety Tomasza Zana, bodaj nigdy nie drukowane, kilka listów Władysława Syrokomli i Ignacego Domeyki z Chili.

Wielki kałamarz hebanowy w kształcie świątyni ze srebrnymi statuetkami, ofiarowany Odyńcowi w 77-ą rocznicę jego urodzin, oddałem już do założonego w r. 1937 muzeum Mickiewicza w Nowogródku, w domu należącym niegdyś do jego ojca, w którym przez ostatnie lat dwadzieścia pięć mieszkała bardzo dzielna i zasłużona działaczka spoteczna panna Maria Wierzbowska ze swoją siostrą Idalią Kraszewską.

Co się teraz z tym wszystkim stało i gdzie się podziało? Nec locus ubi Troja fuit . . .

KANALIZACJA I STRÓŻE

Z kolonijką z ul. Chmielnej powstańców z kresów (nazywano ich wtedy: z Litwy) zapoznałem się nieco później. W dniu pierwszym przyjazdu do Warszawy, rozpakowawszy się i wypiwszy herbatę, która dzięki twardej studziennej wodzie nie bardzo nam smakowała (za to serdelki i " kajzerki " były wyborne), wyszliśmy na miasto, żeby przejść się trochę i przewietrzyć. Właściwie trudno mówić o przewietrzeniu się, bo po upalnym dniu panowała wielka duchota, a i czystość powietrza pozostawiała wiele do życzenia. Szliśmy Bracką, al. Jerozolimskimi i Nowym Światem.

Oświetlenie ulic, już gazowe z ramienia Tow. Dessauskiego, wydało się nam bardzo jasne, chociaż t.zw. koszulek auerowskich jeszcze nie znano i płomień był chybotliwy. We wnętrzach obok świec zaczynano palić lampy naftowe, lecz z prostymi a nie kolistymi knotami.

Ale w owym czasie najwięcej raziły przyjezdnych i dokuczały mieszkańcom rynsztoki, brak dobrej wody oraz kanalizacji ogólnej i domowej.

Rynsztoki z mostkami przed bramami, już z natury swego przeznaczenia niezbyt woniejące, były w tym czasie posypywane szarym proszkiem karbolowym, który miał strzec od rozszerzania się cholery. A właśnie mówiono już o paru wypadkach tej choroby na owej nieszczęsnej ul. Karmelickiej, która aż do ostatnich czasów stała najgorzej pod względem sanitarnym.

Na ulicach równoległych do Wisły rynsztoki były stosunkowo nieduże, ale na prostopadłych — głębokie i szerokie. Na Lesznie np., na Królewskiej i Książęcej wyglądały niemal jakby dawne fosy forteczne. Po nich spływały do Wisły wody deszczowe, występując niekiedy ponad poziom ulicy. Pamiętam sam, jak raz po długiej, niezmiernie gwałtownej ulewie, ul. Widok wyglądała niby kanał wenecki. Opowiadano z zadowoleniem wśród młodzieży szkolnej, jak pewien student, zauważywszy po takiej ulewie młodą panienkę, stojącą na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej i

wahającą się, czy ma przejść przez zalaną ulicę do ogrodu Saskiego, chwycił ją wpół i przeniósł, a gdy ona — obrażona — wymawiała mu taką poufałość, ze słowami: " Najmocniej przepraszam, myślałem, że pani chce przejść ", chwycił ją znowu wpół i odniósł na dawne miejsce.

Ale rynsztoki miewały i swe świetne chwile, jako specjalnie iluminowane w wieczory dworskich dni galowych. A galówek tych było przynajmniej dziesięć rocznie: imieniny i urodziny cesarza, cesarzowej, następcy i następczyni tronu, rocznice wstąpienia na tron i koronacji. Każdy właściciel domu obowiązany był w te dni nie tylko wywieszać flagi rządowe, ale wieczorem umieszczać z obu stron wzdłuż swego rynsztoku szklanki czy też miseczki z olejem i zapalonym knotem. Iluminacja gazowa fasad domów rządowych była dość efektowna.

Z wodą działo się gorzej. Wskutek coraz gęstszego zabudowywania i zaludniania się miasta, dziedzińcowa woda studzienna stawała się gorsza. Istniały trzy studnie publiczne, słynne z czystości i świeżości wody: w ogrodzie Saskim (studnia emerytów), gdzie wychowanki Tow. Dobroczynności rozlewały wodę za drobną opłatą, " Okrąglak " przy wejściu do parku Łazienkowskiego od ogrodu Botanicznego i " Gruba Kaśka " na Tłomackiem.

Istniały już wodociągi z Wisły, ale sięgały tylko dziedzińców, i to nie wszystkich domów, a woda wobec niedoskonałości filtrów była mętnawa, w okresach zaś przyboru rzeki wprost zmieszana z piaskiem.

Lecz najbardziej dotkliwy był brak kanalizacji. Większość płci męskiej musiała latem czy zimą zbiegać dla załatwienia swych potrzeb do osobnych budyneczków, stojących zwykle w głębi dziedzińca nad jamą " biologiczną ". W samych mieszkaniach i na schodach kuchennych istniały różne sionki i zakamarki, odpowiadające swym przeznaczeniem dyskretnym gabinetom przy salach królewskich na Wawelu z napisami: " Nihil sine causa (Nic bez powodu) ". Kryły się w nich rozmaite urządzenia, które trzeba było wynosić do ogólnego zbiornika na dziedzińcu. Opróżnianie takiego zbiornika odbywało się od czasu do czasu nocą przez specjalną brygadę miejską za pomocą aparatów, zwanych aparatami Bergera, przypominających kształtem wielkie armaty. Trzeba było nawet w największe upały szczelnie zamykać okna podczas tej operacji opróżniania i wywożenia.

Taki stan rzeczy, stający się coraz bardziej uciążliwy i szkodliwy dla szybko wzrastającego w ludność i domy miasta, a obecnie będący wprost nie do pomyślenia, wykazuje, jakim istotnym dobroczyńcą dla Warszawy — i to jedynym bodaj wśród wszystkich Moskali — był późniejszy prezydent miasta, generał-inżynier Starinkiewicz, który około r. 1880 nie tylko potrafił z wielkim trudem wyjednać w Petersburgu zezwolenie na urządzenie dobrych wodociągów i kanalizacji, ale przy udziale najznakomitszego w tej dziedzinie robót angielskiego inż. Lindleya, doskonale tej rzeczy dokonał i umiejętnie sfinansował przez wypuszczenie 4%-owej pożyczki kanalizacyjnej, która się w ostatnich dopiero latach kończyła

amortyzować. Tow. Kredytowe Miejskie, założone w r. 1871 czy 1872, ułatwiło właścicielom skanalizowanie swoich nieruchomości, udzielając stowarzyszonym specjalnej dodatkowej pożyczki.

Słusznie w swoim czasie postanowiliśmy zachować w sali posiedzeń magistratu portret Starinkiewicza, człowieka który w dodatku był tak skrupulatny, że gdy jakaś maszyna do odgarniania piasku w rzece (draga), niebacznie kupiona za granicą, okazała się wadliwa, z własnych funduszów pokrył jej koszt, wynoszący około 20.000 rb.

W życiu gospodarczym każdego lokatora grał wówczas wielką rolę stróż domu, jako główny motor fizyczny, który wnosił i wynosił po schodach wodę, drwa, węgiel i w ogóle cięższe przedmioty. Było to dla niego źródłem dochodu, większym bodaj od zwyczajowych obowiązkowych dziesiątek za otwieranie bramy po godz. 10.30 wiecz. i honorowanie przez lokatorów życzeń noworocznych.

Nie słyszałem, aby grali oni rolę wywiadowców dla policji, i bardzo późno zawiadamiali o czasowych przyjezdnych, którzy musieli wykupywać na rzecz miasta t.zw. " kartę pobytu ", kosztującą — zdaje mi się — złp 4 kwartalnie.

Naturalnie, wypytywani przez rewirowych zwłaszcza o liczniejsze u lokatorów zebrania, informowali, ale powściągliwie i ostrożnie, a na ich życzliwych opiniach opierały się nieraz t.zw. świadectwa o " błagonadiożnosti ", których w wielu wypadkach wymagano. Nie mogłem pojąć, dlaczego w ostatnich czasach uznano miano " dozorca " za bardziej honorowe niż " stróż ".

PIERWSZA NOC W STOLICY

Nadeszła nareszcie pierwsza noc moja, spędzona w Warszawie. Nie zapomniałem jej dotąd.

Wróciwszy ze spaceru i położywszy się spać, poczułem się w tym dusznym i hałaśliwym mieście strasznie nieszczęśliwy.

Gdybym był śmiał, prosiłbym ojca, żeby zabrał mnie z sobą z powrotem na wieś. Gorzko płacząc, nieprędko zasnąłem. Nie przypuszczałem wtedy, że będę później tak ściśle związany z losami i z dziejami Warszawy. Nie śniło mi się, że tu mnie spotka najszczęśliwszy dzień w życiu, gdy we wtorek dn. 12 listopada 1918 r., jako pierwszy prezes rady miejskiej z wyborów, mogłem ogłosić na ratuszu :

— Stolica Polski jest wolna, wolna od wszelkich okupantów : ruskich, pruskich czy rakuskich.

Ale nie śniło mi się także, iż po takim dniu będę u schyłku życia pisał swoje wspomnienia jako przymusowy uchodźca, z dala od Kraju.

I przypomina mi się końcowa strofa z poemaciku Syrokomli " Szkolne czasy Dęboroga " :

Nie wrócić lat — dziś inny świat,
Już marzyć dość jak dziecię . . .
O, mgliste sny minionych dni!
Po co nadlatujecie? . . .
Czegóż ci żal? ubiegłych fal,
Chmur przeszłorocznych z nieba? . . .
Rzuć stare sny, oszczędzaj łzy,
Bo ich na jutro trzeba!

Gdybyż to mogły być jedynie łzy radości.

ROZROST WARSZAWY

Szybki rozrost i rozwój Warszawy przypadł na okres moich szkolnych czasów, gimnazjalnych i uniwersyteckich, który zajął mi — z dłuższą przerwą na pobyt we Francji i Algerze — 13 lat (1873–1886).

Jeżeli w r. 1874 liczono podobno niecałe 250.000 mieszkańców, to już dokonany w r. 1884 po raz pierwszy ścisły jednodniowy spis ludności wykazał przeszło 435.000, i to w tych samych granicach sprzed r. 1830, bo przyłączenie do miasta szerokiego pierścienia gmin podmiejskich nastąpiło dopiero w czasie okupacji niemieckiej podczas pierwszej wojny światowej.

Wielu nas, studentów, brało udział w tym spisie w charakterze ochotników do rozdawania i odbierania formularzy. Była to kłopotliwa a niekiedy zabawna praca z powodu dużej liczby analfabetów, za których trzeba było wypisywać wskazane w formularzu dane i przełamywać wielokrotnie niechęć do zeznań, zwłaszcza gdy chodziło o wiek przedstawicielek płci, nie zasługującej często na miano ani pięknej ani słabej.

Rozrost miasta posunął się najbardziej w kierunku południowym ku Mokotowowi, poza al. Jerozolimskie, a jednocześnie zaczęło się przenoszenie się tam zamożniejszej części ludności, nie mającej interesów handlowych i przemysłowych i nie uczęszczającej do biur rządowych i sądów, skoncentrowanych przeważnie między placami Zamkowym, Krasińskich, Bankowym i Teatralnym.

Ta cała część Warszawy, położona na północ od al. Jerozolimskich, była już gęsto zabudowana i staranniej utrzymana niż południowa. Przez pierwszy rok szkolny (1873–1874) mieszkałem na t.zw. stancji uczniowskiej przy ul. Mariańskiej, łączącej Twardą i Pańską, w pobliżu pl. Grzybowskiego z otwartym, ale jeszcze nie wykończonym, kościołem Wszystkich Świętych, oraz ul. Bagno ze słynnym targiem wszelakich rupieci, zwanym Pociejowem.

Codziennie, idąc do prywatnego progimnazjum Władysława Szmurły, mieszczącego się w bloku budynków, zwanym " Potkańskie", w środku

Długiej naprzeciwko hotelu Niemieckiego, musiałem podążać Twardą, Graniczną, potem w poprzek pl. Żelaznej Bramy z setkami straganów na otwartym powietrzu, bo na terenie, gdzie później zbudowano obszerne hale targowe, stały jeszcze koszary dawnego polskiego pułku mirowskiego. Panował tam ogromny ścisk przechodniów i wozów w rannych godzinach. Dalej szedłem ul. Żabią, jeszcze nie rozszerzoną kosztem ogrodu Saskiego, pl. Bankowym, Senatorską i Bielańską, mijając stojący podówczas gmach mennicy Stanisława Augusta i dawny arsenał. Na tych ulicach magistrat zastosował bruk żelazny z szerokich krat. Bruk ten jednak okazał się hałaśliwy, pojazdy trzęsły się na ulicach straszliwie, poza tym niszczył podkowy końskie. To też z wielką ulgą powitano jego usunięcie i rzadkie próby z asfaltem i kostkami granitowymi, aż doczekano się — wprawdzie już znacznie później — bruku drewnianego, najprzyjemniejszego z wielu względów, tylko bardzo nietrwałego.

Pl. Bankowy, rozszerzony po r. 1830, przedstawiał się okazale, różniąc się niewiele od dzisiejszego stanu. Bank Polski miał na całej półkolistej długości frontu otwarte podsienia (a wewnątrz pod kopułą — wspaniałą okrągłą t.zw. " salle des pas perdus "). Obok gmach Rady Administracyjnej (później rosyjskie gimnazjum żeńskie z pensjonatem) wyglądał może bardziej imponująco niż teraz po przeróbce na ministerstwo skarbu. U wylotu ul. Rymarskiej stał już wielki dom Lessera, zajęty całkowicie na magazyn wszystkiego czego dusza zapragnie, coś w rodzaju naszych Braci Jabłkowskich na Brackiej lub — toutes proportions gardées — londyńskiego Harrodsa. Magazyn ten jednak nie zdołał się utrzymać, przekształcono go na ogromny hurtowy skład kaloszy i wyrobów kauczukowych ryskiej fabryki " Prowodnik ".

NA STANCJI

Konstanty Mogilnicki, u którego mieszkałem przez cały czas pobytu w gimnazjum, pochodził z ziemian powiatu brzeskiego. Gromadziła się u niego część młodzieży uczniowskiej przeważnie z t.zw. dzisiaj " kresów wschodnich". Byli to: Michał Daszkiewicz, Karol i Michał Wańkowiczowie, Jan Czarnocki, Iwon Orda, Wacław Przybora, Konstanty i Władysław Około-Kułakowie, Antoni Mieszkowski, później współpracownik " Kuriera Codziennego " pod pseudonimem A. J. Sęk, Stanisław Telszewski, wuj p. Mili Kamińskiej, nowogrodzianie Józef O'Nacewicz (tak się pisał z irlandzka) i Stanisław Czeczot, brat ks. Witolda, proboszcza parafii św. Stanisława w Petersburgu, a wuj pierwszego biskupa pińskiego ks. Zygmunta Łozińskiego, który wiele ucierpiał przy pierwszych najazdach bolszewickich i zmarł w r. 1932 " in odore sanctitatis", bracia Franciszek i Józef Sufczyńscy, Edward Tołłoczko, wreszcie kuzyni moi, Lipski, Stanisław i Wincenty Siekluccy, i kilku innych.

Sam Mogilnicki, doskonały przewodnik młodzieży, zdolny ruchliwy, poświęcił się później prawu i został rejentem w Łodzi. Jednym z jego synów jest Aleksander Mogilnicki, b. prezes izby II karnej Sądu Najwyższego, dymisjonowany przez Prezydenta Rzeczypospolitej Tgnacego Moieickiego jednocześnie z pierwszym prezesem tegoż sądu, ś.p. Władysławem Seydą, członek Komisji Kodyfikacyjnej.

Naprzecw naszego lokalu na Mariańskiej mieszkała z córkami wdowa po Stanisławie Moniuszce (zm. w r. 1872), Aleksandra. Była to wilnianka, z domu Müllerówna, z rodziny do której od początku w. XIX należała kamienica na rogu ul. Niemieckiej i Trockiej (później hotel Sokołowskiego) z dużymi salami, gdzie przez parę dziesiątków lat odbywały się słynne wileńskie reduty i bale maskowe.

Matka moja była przez jakiś czas uczennicą Moniuszki w Wilnie, może więc dlatego ojciec mój, odwiedzając raz wdowę w Warszawie z przyjacielem swoim Adamem Zawadzkim, kierownikiem znanej i wielce zasłużonej dla literatury polskiej firmy księgarsko-wydawniczej, założonej przez ojca jego Józefa Zawadzkiego, a po śmierci Adama (1875) prowadzonej przez brata jego Feliksa, ojca późniejszego naszego ministra skarbu, Stanisława — zabrał mnie z sobą i przedstawił. Wskutek tego p. Moniuszkowa, mimo iż z wieku należałem jeszcze do rzędu podrostków, do których — nie wiem dlaczego — zwracano się wtedy w Waszawie z nazwą " kawaler", co nas bardzo irytowało, zaprosiła mnie na ślub swojej córki, pierwszy ślub, przy którym asystowałem, a później na doskonałą kolację weselną.

W następnym jednak roku szkolnym (1874–1875) z prawdziwym zadowoleniem opuściliśmy tę dzielnicę i przenieśliśmy się na Nowy Świat, niedaleko ul. Ksiażęcej, a później na Świętokrzyską 15 wprost ul. Włodzimierskiej (teraz Czackiego). Przyglądaliśmy się z okien powolnemu zabudowywaniu się tej pięknej ulicy, zakończonemu zresztą dopiero około r. 1905 przez wzniesienie wspaniałego gmachu Stowarzyszenia Techników oraz tak znaczne powiększenie siedziby Tow. Kredytowego Miejskiego, że w r. 1918 mogła tam zasiadać Tymczasowa Rada Stanu.

NOWA DZIELNICA—SPORTY

W tej nowej dzielnicy było wtedy więcej ogrodów i placów niż kamienic.

W al. Ujazdowskich, oprócz kilku domów na samym ich początku, stał tylko po lewej stronie na rogu ul. Pięknej (teraz Piusa XI) okazały dom Kurtza w dzisiejszej swej postaci, a po prawej — dwie nowe wille: Wilhelma Raua i Lilpopów, oraz dwa zabytki z lat dawniejszych: stary pałacyk z kolumnami na roku Pięknej i parterowy, stale odrapany domek na rogu Koszykowej, oszczędzany przez lat wiele podobno dlatego, że w nim mieszkała niegdyś jedna z ulubienic ks. Józefa.

Dolina Szwajcarska już istniała, i w jej ogrodzie od czerwca do września w ciągu wielu lat dawała koncerty słynna orkiestra Bilsego z Drezna czy Lipska. Koncerty te były niezmiernie modne i uczęszczane. Rozległy ten ogród około 1892 r. rozparcelował ostatni właściciel całości p. Wacław Wernicki. Właściwą dolinę z domem nabyło Tow. Łyżwiarskie, a górne tereny utworzyły ul. Szopena z szeregiem nowych kamienic.

Przed Doliną był jeszcze duży ogród, zwany "Nową Szwajcarią", z różnymi przyrządami gimnastycznymi. Ulubione było to miejsce okolicznej młodzieży szkolnej, bo za 10 gr można tam była przez parę godzin nagimnastykować się na różnych kołobiegach, huśtawkach, linach, słupkach i t.p.

Zimą naturalnie robiono tam pole ślizgawkowe; było ich wiele w Warszawie, gdyż ślizgawka należała wówczas do najbardziej uprawianych i najtańszych sportów.

Ślizgawki urządzano nie tylko na stawach: łazienkowskim, w ogrodzie Saskim i na Dynasach, nabytych później przez Tow. Cyklistów, ale i na kilku nie zabudowanych jeszcze placach przy Marszałkowskiej. Najrozleglejszy taki sztuczny teren z przygrywającą kapelą urządzał magistrat na pl. Saskim, co później, gdy powstał spór między miastem a rządem w sprawie zniesienia soboru, posłużyło mi za jeden z argumentów, iż to nie jest plac państwowy, ale plac miejski, na którym rząd rosyjski nieprawnie i bez zgody właściciela wzniósł był tę budowlę.

Pl. Ujazdowski był otwartą łąką, na której grywaliśmy w palanta (rodzaj polskiego cricketa), dopóki go nie zakazał kurator okręgu naukowego Apuchtin, jako gry polskiej, wprowadzonej przez zakonników polskich, ojców pijarów.

Była jeszcze jedna popularna gra w piłkę, zwana extra, wymagająca małej przestrzeni i tylko trzech graczy. Dwóch rzucało między sobą lankę, a trzeci (laufer) biegał z boku między nimi. Każdy z rzucających piłkę starał się znienacka trafić w biegającego; jeżeli chybił, sam stawał się laufrem.

Lawn-tennis zaczął wchodzić w modę dopiero w końcu stulecia, najprzód na wodach i po dworach wiejskich, a narty poznano zaledwie po ostatniej wojnie. Popularne były krokiet i serso.

Na ulicach między Nowym Światem a Marszałkowską i poza nią długo jeszcze było mnóstwo ogrodów. W sadach Kaczyńskich i Hoserów z obu stron Mokotowskiej w ciągu wielu lat jeszcze zrywało się z drzewa czereśnie i śliwki, a między Hożą i Wilczą przez dwa lata zachodziłem do ogrodu, gdzie jakiś b. powstaniec z Polesia (nazwisko zapomniałem) hodował dwa wilki, rysia, jeże, borsuki, żurawia i bociana. Jak ów stary kapitan Ekdal z "Dzikiej kaczki" Ibsena, nie mógł wytrzymać bez widoku dzikich zwierząt i utrzymywał je z niewielkiej pensji, zarabianej w biurze kolei Terespolskiej.

Zaznaczam dla pamięci, iż zarządy istniejących wówczas kolei prywatnych — Wiedeńskiej, Terespolskiej i Łódzkiej — uważały za obo-

wiązek narodowy udzielać jak najwięcej posad powracającym z powstania wygnańcom, a i później wraz z zarządem kolei Nadwiślańskiej, otwartej w r. 1877, aż do wykupu ich przez rząd rosyjski, zatrudniały niemal wyłącznie Polaków.

Oprócz gier w piłkę i ślizgawki, w porze zimowej młodzież najchętniej uprawiała wszelkiego rodzaju gimnastykę, ale dziwnie mało ochoty miała do pływania, tak iż jedyna szkoła pływacka Kozłowskiego przy Saskiej Kępie nigdy nie posiadała wielu uczni. We wszystkich szkołach była godzina lub dwie tygodniowo gimnastyki t. zw. szwedzkiej i z hantlami, ale wielu z nas partiami po ośmiu czy dziesięciu braliśmy prywatne lekcje gimnastyki i fechtunku na rapiery. Najbardziej wzięty zakład gimnastyczny prowadził p. Stanisław Majewski na Sewerynowie, w specjalnie urządzonym lokalu w ogromnym gmachu, zbudowanym w połowie XIX w. przez Seweryna Uruskiego, męża jednej z trzech sióstr Tyzenhauzówien, Hermancji, wnuczki słynnego podskarbiego litewskiego. Zbudował on także pałac na Krakowskim Przedmieściu między wjazdem do uniwersytetu i pałacem Potockich (teraz siedzibą Akademii Literatury). Te trzy panny Tyzenhauzówny, osierocone bardzo młodo, a nie mające brata, były w pierwszej połowie XIX w. bodaj najbogatszymi dziedziczkami na t. zw. Litwie, właścicielkami kilku rozległych kluczów w województwach nowogródzkim i wileńskim (Żołudek, Spusza, Iwje, Byteńszczyzna, Rzepichowszyzna i in.).

Później, po ukończeniu uniwersytetu, w gromadce przyjaciół przez kilka lat chodziłem na ćwiczenia gimnastyczne, ale już nie do Majewskiego, bo się postarzał, lecz do Pieńkowskiego, który szczycił się tym że był pierwszym trenerem słynnego atlety polskiego Pytlasińskiego.

Przyjemna była nasza gromadka gimnastyczna: Jan Gadomski, autor dramatu na tle historii Irlandii "Larik", wydawca i redaktor "Gazety Polskiej", w r. 1905 zamordowany w biały dzień na ul. Widok nr 5 przez bandytów, którzy napadli na mieszkającego o piętro niżej jego teścia, mecenasa Feliksa Dębskiego; Teodor Paprocki, przedwcześnie zmarły księgarz-wydawca, brat Konstantego, wicedyrektora Banku Handlowego; Adam Zakrzewski, statystyk i ekonomista; Adam Badowski, artysta-malarz; no i czasem dla przypatrywania się i gawędki Klemens Junosza-Szaniawski, wielki facecjonista, którego wybór pism w kilku tomach właśnie zaczął wydawać Paprocki.

SZKOŁY PRYWATNE

We wszystkich szkołach Królestwa Polskiego (Kongresówki) już od dwóch lat, jednocześnie ze zniesieniem Szkoły Głównej Warszawskiej i zamiany jej na Cesarski Uniwersytet Warszawski, wprowadzono język rosyjski jako wykładowy, co oczywiście utrudniało w ogóle wszelkie

uczenie się nie znającym jeszcze tego języka uczniom. Z nauczycielami i nawet między sobą na korytarzach nie wolno było rozmawiać po polsku. Sam język rosyjski nie wydawał się nam zbyt trudny, w szczególności prawidłowe używanie litery *jat'* czy *e* było dla Polaków łatwiejsze niż dla Rosjan, bo owo *jat'* wypadało pisać najczęściej tam, gdzie w podobnych wyrazach polskich jest zmiękczona spółgłoska. Największą naszą męką i źródłem przyczepek był akcent (" udarenije "), jak wiadomo, w języku rosyjskim zmienny, a nie stały na przedostatniej i ostatniej sylabie, jak w polskim i francuskim.

Sytuację naszą wraz z utrzymaniem wyższego poziomu nauczania w pierwszych kilku latach poprawiała okoliczność, że był jeszcze duży komplet nauczycieli Polaków, a Moskale napływali zwolna przede wszystkim na stanowiska inspektorów, dyrektorów i nauczycieli rosyjskiego.

Gimnazjów rządowych było tylko sześć, z tych I — w pałacu Staszica — wyłącznie dla Rosjan prawosławnych, a VI — w domu po-wizytorskim naprzeciw komendantury przeznaczone dla rodzin urzędników pochodzenia niemieckiego. Było jeszcze jedno gimnazjum realne, bez łaciny i greckiego, nie dające wstępu do uniwersytetu, w gmachach pojezuickich za katedrą św. Jana. Tam najdłużej, bo aż do Apuchtina, utrzymał się zacny i rozumny dyrektor Polak, Adam Bar. " Realiści " w odróżnieniu od " klasyków " nosili mundury i szynele koloru czarnego z odcieniem zielonym i ze złoconymi guzikami.

W tym czasie uczniowie sabotowali, jak mogli, nakazane przez władze, używanie przy chodzeniu do szkoły tornistrów (" rańce "), jako wymysł moskiewski. Był to rodzaj płaskich plecaków z twardej skóry, spinanych patkami pod pachami, w gruncie rzeczy praktycznych i nie będących wcale wynalazkiem moskiewskim, jak np. samowary, które od dawna były używane do przyrządzania herbaty w każdym polskim domu.

Wobec tak małej liczby gimnazjów i trudności dostania się do nich zwłaszcza do klas niższych, wielu pedagogów-Polaków zakładało progimnazja prywatne. Chociaż droższe, bo wpis w nich wynosił 180 rb rocznie a w gimnazjach rządowych — 30 rb, w uniwersytecie zaś — 100 rb, były zawsze zapełnione W pierwszych latach pamiętam ich dwa: Szmurły klasyczne, do którego wstąpiłem do drugiej klasy, i realne Pankiewicza. Później było ich znacznie więcej.

Z nauczycieli, u Szmurły samych Polaków, nie mogę nie wymienić ukochanego przez młodzież prefekta ks. Władysława Seroczyńskiego, który później był pierwszym proboszczem konsekrowanego w 1883 r. kościoła św. Piotra i Pawła na Koszykach, oraz Piotra Skrzypińskiego, któremu ja i wielu moich kolegów zawdzięczamy podstawy gruntownej znajomości języka polskiego. Był on autorem gramatyki p.t. " Mównictwo polskie " (wbrew Antoniemu Małeckiemu rozróżniał trzy a nie pięć deklinacji) i z nadzwyczajną skrupulatnością wpajał w nas zasady etymologii i ortografii.

Córka jego wyszła za mąż za Wojciecha Górskiego, który założył

gimnazjum prywatne na wielką skalę i doczekał się szczęśliwych czasów, że mogło być ono przekształcone na polskie gimnazjum państwowe. Po jego śmierci, ul. Hortensji, gdzie mieści się to gimnazjum, nazwano ul. Wojciecha Górskiego. Ulica ta otrzymała miano Hortensji na pamiątkę p. Lewentalowej, której mąż, znany wydawca i współwłaściciel po Gebethnerze i Wolffie 7/11 części "Kuriera Warszawskiego," nabywszy z licytacji w 1871 r. od szpitala św. Ducha dużą kamienicę na Nowym Świecie z placami, sięgającymi do ul. Szpitalnej, w kilkanaście lat potem część tych placów właśnie od Szpitalnej rozparcelował, ofiarując miastu gratis pas gruntu pod ulicę o imieniu swej żony, która zresztą sama później przy chrzcie zmieniła imię z Hortensji na Marię Magdalenę.

W dziewiątym dziesiątku lat ub.w. powstała ufundowana przez Leopolda Kronenberga syna średnia szkoła handlowa z kursem trzyletnim, której wychowańce nazywali siebie "kronenberczykami". Pierwszym jej dyrektorem był — zdaje się — Jan Kazimierz Plebański.

Zaczęło także powstawać coraz więcej żeńskich szkół prywatnych, nazywanych powszechnie "pensjami", do których, obok przychodnich z miasta, zjeżdżały dziewczynki i podlotki ze wszystkich stron zaboru rosyjskiego. Najbardziej znane w tych latach były pensje pań: Guérin, Jadwigi Sikorskiej, gdzie uczyła się Maria Skłodowska, Anny Jasieńskiej, mieszcząca się długo w historycznym pałacu Stanisława Potockiego zanim darował go Józefowi Potockiemu z Antonin, Leonii Rudzkiej, Zofii Raczyńskiej, Izabelli Smolikowskiej i Krzywobłockiej. Z tych dwóch czerpał podobno Bolesław Prus wzory do powieści swej "Emancypantki".

Oczywiście, uczono tam wszystkiego po polsku, trzymając tylko w pogotowiu książki i kajety rosyjskie, wysuwane na wierzch na sygnał niespodziewanej wizyty inspektora rządowego. W każdym razie był to stan znośniejszy niż w innych miastach, a szczególnie w kraju t.zw. "Zachodnim." Minęły już dawno te czasy, gdy w Wilnie generał-gubernatorzy Beningsen i Rimskij-Korsakow przychodzili in persona na akty uroczyste w pensjonatach polskich pp. Dejblowej, Rabcęwiczowej i Poznańskiej. Od doby Murawiewa nawet lekcje zbiorowe języka i historii polskiej, które przez wiele lat z wielkim ryzykiem osobistym prowadziły panny Julia i Maria Mierzejewskie, Anna i Teresa Zakrzewskie i Apolonia Bieniuszewiczówna, trzeba było urządzać w sposób konspiracyjny w różnych domach, bo pilniej bodaj były śledzone od schadzek nihilistów.

Do r. 1880 nie wolno tam było drukować nic po polsku, nawet biletów wizytowych, z wyjątkiem książek do nabożeństwa, te znowu tylko po polsku a — broń Boże — nie po litewsku, tak iż Zawadzki musiał w owym czasie drukować książki litewskie nie u siebie, ale w Tylży.

Dla ulżenia rodzicom, którzy nie mogli ani utrzymywać dla swoich córek nauczycielek z wyższym wykształceniem, ani wysyłać ich do bądź co bądź kosztowniejszych pensji w Warszawie, dwie panny Czarnockie, pedagogiczki z zamiłowania i studiów w Krakowie, zorganizowały w

majątku swoim Naczy w pow. słuckim pensjonat dla kilkunastu panienek z tamtych stron. Rozwijał się on pomyślnie przez kilka lat (1875–1881), dopóki władze miejscowe przestały wierzyć, iż te panie mają stale tak wiele kuzynek i pupilek, a przy tym nauczanie religii i języka polskiego zaczęło zbyt widocznie rozszerzać się po wioskach okolicznych. Panny Czarnockie przeniosły się później do Warszawy i objęły pensję po p. Krzywobłockiej.

W GIMNAZJUM RZĄDOWYM

Do klasy trzeciej zdaliśmy z Lipskim egzamin w IV gimnazjum. Ułatwił nam przyjęcie zacny emeryt Cyprian Izdebski, wielki przyjaciel rodziny Jundziłłów, niezmiernie popularny we wszystkich kołach nauczycielskich, Skłonił on dyrektora Michała Bulmeringa, aby przyjął nas, nie czekając na złożenie zezwolenia kuratora wileńskiego okręgu naukowego, czy też samego generał-gubernatora, na pobieranie nauk w zakładzie rządowym w Królestwie Polskim, jako dzieciom obywateli cesarstwa. Formalność tę później uchylono.

Gimnazjum nasze zajmowało jednopiętrowy budynek na rogu pl. Trzech Krzyży i al. Ujazdowskich z fasadą obróconą na plac i sięgającą do ul. Wiejskiej. Stoi tam teraz wspaniały gmach gimnazjum żeńskiego im. królowej Jadwigi. Okna wszystkich niemal klas wychodziły na dziedziniec, tylko klasę ósmą, zwykle nieliczną, umieszczono w środkowej salce na I piętrze z oknem weneckim w samym środku fasady frontowej. Z okna tego widzieliśmy ciągle cały prawie plac, a przede wszystkim stojący na środku kościół św. Aleksandra w jego pierwotnej postaci — pomniejszonego oczywiście — Panteonu rzymskiego. Był to nasz kościół szkolny, do którego trzeba było chodzić w niedziele i święta na msze uczniowskie o 9-ej, a w galówki zachodzić przedtem do gimnazjum, gdzie we wszystkich klasach odczytywano listę obecności, jak przed lekcjami, w celu sprawdzenia, czy nie było uchylających się. Po tej mszy chór uczniowski, bardzo u nas nieliczny, musiał odśpiewywać ze słowami polskimi hymn " Boże, cesarza chroń ".

Za moich czasów, oprócz dyrektora, inspektora Iljina i nauczyciela rosyjskiego Nikołaja Maziukiewicza, który nazywał siebie " chochłem", a uciuławszy nieco grosza nie chciał w 1915 r. opuścić Warszawy i umarł pod okupacją niemiecką — mieliśmy nauczycieli samych Polaków, wśród nich kilku pierwszorzędnych, jak filolodzy Emilian Konopczyński, Józef Radziukinas, jeden z nielicznych polskich asyriologów Ignacy Radliński, polonista Henryk Dynowski i świetny matematyk, przedtem docent w Szkole Głównej, Władysław Kwietniewski, ożeniony z panną Grabowską, siostrą znanego mecenasa oraz pani Tetmajerowej, matki poety Kazimierza, i pani Wandy Żeleńskiej, matki Tadeusza Żeleńskiego (Boya).

Prefektem był ostatni bodaj pijar w tej dzielnicy Polski ks. Franciszek

Krupiński, rektor kościoła popijarskiego przy katedrze św. Jana; kościół ten dawniej należał do ojców jezuitów i później został im zwrócony. Był on tłumaczem historii filozofii Schweglera, z własnym uzupełnieniem o filozofii polskiej, i współpracownikiem "Ateneum". Nie lubił romantyzmu. Wykładając z niezmierną jasnością zasady religii, sam wymagał ścisłości w wysławianiu się i karcił gadatliwość i blagę. Pamiętam, jak na egzaminie maturalnym w ósmej klasie — odbywały się one zawsze w obecności dyrektora i asystenta — powiedział do egzaminowanego, znanego ze swego tupetu ucznia, któremu wypadło z historii kościoła pytanie o encyklopedystach i Wolterze:

— Mój kochany, żeby Wolter takie bzdury pisał, jakie ty mówisz, toby o nim w historii kościoła nie wspominano.

Tu zaznaczę, że zarówno w gimnazjum jak i w uniwersytecie przy egzaminach ustnych rozdzielano cały przedmiot na szereg numerowanych kolejno rozdziałów i numery te wypisywano na biletach, które zdający sam na los szczęścia wyciągał. Naturalnie wszyscy uczyli się pierwszej połowy każdego rozdziału, bo profesor zwykle przerywał w połowie i zaczynał zapytywać na wyrywki, cośmy nazywali — jeżdżeniem po kursie.

Ks. Krupiński był wysoce szanowany i ceniony przez wszystkie pokolenia uczniów. Po jego śmierci, już jako emeryta, dawni uczniowie złożyli fundusz stypendialny w kwocie 3.000 rb, którego procent około 160 rb miał być wypłacany uczniowi ósmej klasy gimnazjum IV, aby mu ułatwić naukę bez pobocznego zarabiania korepetycjami. Kuratorami tego stypendium byli znany działacz polityczny i społeczny Stanisław Libicki, dr Edward Orłowski, Henryk Pilawitz, ożeniony z p. Marią Lilpopówną z Brwinowa, ciotką i wieloletnią opiekunką p. Jarosławowej Iwaszkiewiczowej, i ja. Fundusz ten, który według prawa musiał być przechowywany w Banku Państwa, w r. 1915 wywieziono do Rosji, gdzie przepadł.

JĘZYKI STAROŻYTNE

Kiedy, jako członek zarządu a w ostatnich czasach prezes Koła Szkolnego Gimnazjum im. św. Stanisława Kostki, założonego przez Zygmunta Wielopolskiego i dyr. Adama Jaczynowskiego w r. 1906, a będącego pod szczególną opieką kurii arcybiskupiej, słyszałem nieraz utyskiwania na przepracowanie uczni w naszych szkołach średnich i podobneż narzekania w prasie, przypominałem to wszystko cośmy musieli odrabiać i to jeszcze w obcym języku. Sama łacina od pierwszej do ósmej klasy i grecki od trzeciej do ósmej zajmowały po sześć, siedem godzin tygodniowo, a jeszcze w którejś klasie dochodził język starosłowiański ze swoim odrębnym alfabetem, akcentami i gramatyką bodaj trudniejszą od starogreckiej.

Oprócz corocznych egzaminów piśmiennych z głównych przedmiotów, w klasach czwartej, szóstej, ósmej odbywały si ęegzaminy ustne ze wszystkich przedmiotów z całego paroletniego kursu. A przekładać trzeba było nie z łaciny i greckiego na polski, ale z rosyjskiego na te języki nawet bez pomocy słownika.

Nic też dziwnego, że trudno było skończyć wtedy gimnazjum, szczególnie nie zatrzymując się w którejś z klas na dwa lata. W trzeciej klasie było nas 35, a w ósmej już tylko 12, lecz i z tych 12 tylko dwóch — Zenon Przesmycki, mój kolega i towarzysz nieodstępny przez całe gimnazjum i uniwersytet, i ja — przechodziliśmy z klasy do klasy z roku na rok.

Jednakże w moich rocznikach lubiliśmy dosyć łacinę i grecki może dlatego, że mieliśmy doskonałych nauczycieli. Cycero i Wirgiliusz byli naszymi ulubionymi autorami łacińskimi; " Odyseję " przekładaliśmy nad " Iliadę", a Tucydydesa — nad Herodota ; tylko " Wspomnienia " (" Memorabilia ") Ksenofonta o Sokratesie były ciężkim orzechem do zgryzienia. Bodaj połowa kolegów umiała pierwszą mowę Cycerona przeciw Katylinie na pamięć i często ją w czasie pauz wygłaszała. Raz, pamiętam, Stanisław Łagowski, później lekarz w Radzyminie, obdarzony wcześnie grubym głosem, huknął tak potężnie : " O tempora! O mores!", przy czym walnął pięścią w katedrę i rozlał atrament, że t.zw. pomocnik gospodarzy klasowych, pilnujący porządku na zewnątrz klas, wbiegł przerażony.

Nieraz, prezydując w radzie miejskiej a nie mając prawa bez zgody większości odebrać głosu zbyt gadatliwemu mówcy, — z braku obowiązującego regulaminu, dla którego uchwalenia dekret z dn. 4 lutego 1919 r. wymagał kwalifikwanej większości 2/3 głosów, — chciałem zawołać : " Quousque tandem, domine radny, abutere patientia nostra!".

Ale raz przydała mi się " Eneida", gdy w czasie urzędowych odwiedzin Rzymu na przyjęciu na Kapitolu, odpowiadając na powitalną mowę burmistrza, senatora Cremonesiego, przyszło mi na myśl zacytować słynny dwuwiersz z VI księgi, co wywołało ogólny aplauz :

Tu regere imperio populos, Romane, memento :
Parcere subjectis, et debellare superbos
(*Ty, Rzymianinie, pomnij panować nad narodami,*
Pokonanych oszczędzać a zaś poskramiać pyszałków).

Duch solidarności i samopomocy koleżeńskiej panował wśród nas stale. Trzymaliśmy się starej maksymy : " Choćby cię smażono i pieczono w smole, nie zdradzaj tego co się dzieje w szkole". Podpowiadanie i ściąganie praktykowało się na szeroką skalę, a nie pamiętam, żeby sprawca jakiegoś wykroczenia był zdradzony; woleliśmy wszyscy odsiedzieć po lekcjach kozę.

Ofiarą samopomocy koleżeńskiej padł mój kuzyn Kazimierz Jundziłł. Przed maturalnym egzaminem piśmiennym z geometrii i trygonometrii

obiecał któremuś z kolegów podrzucić kartkę z rozwiązanymi zadaniami. Po klasie przechadzał się sam dyrektor. Odwrócił się niespodzianie, kiedy rzucona niezręcznie kulka papierowa upadła mu pod same nogi. Nie było rady: Jundziłła pozbawiono prawa dalszego składania egzaminów. W następnym roku, podczas którego pobierał dla niestracenia wprawy lekcje rosyjskiego u Maziukiewicza, zdał pomyślnie egzamin, jako ekstern, w tym samym gimnazjum.

Jundziłł był o dwie klasy wyżej ode mnie. Kolegowali z nim Józef Weyssenhoff, Gustaw Taube oraz Aleksander Wasiutyński, wybitny specjalista w dziedzinie budownictwa kolejowego i profesor politechniki warszawskiej. Brat jego, Julian, architekt na kolei Wiedeńskiej, był mężem jednej z sióstr mojej żony, Celiny Chomętowskiej; druga, Antonina, wyszła za mąż za kuzyna mego, Lipskiego, ze Stabinowa w słonimskim, niegdyś dyrektora Banku Państwa w Rydze; trzecia, Jadwiga, za prawnika dr. Lucjana Sariusza-Wilkoszewskiego.

Na ostatnim moim egzaminie w ósmej klasie z historii, — a trzeba było wyciągać dwa bilety, osobno z historii Grecji i Rzymu a osobno z nowożytnej, — właśnie kiedym w odpowiedzi doszedł do połowy rozdziału o prawodawstwie greckim, rozprawiając się z Solonem, otworzyły się drzwi, i wszedł starszy jegomość średniego wzrostu o sumiastych, siwiejących wąsach. Był to sam Apuchtin.

Zasiadłszy na fotelu dyrektora, powiedział do mnie:

— Prodołżajtie (Niech pan mówi dalej).

Naturalnie rozpocząłem rozdział znowu od początku, co poszło jeszcze gładziej ku wielkiemu zadowoleniu dyrektora, który wykładał historię.

Od tego ostatniego roku mego pobytu w gimnazjum, za panowania Aleksandra III i rządów Hurki i Apuchtina nastały dla całego kraju jeszcze cięższe, najcięższe, jak nam się wydawało aż do września 1939 r., czasy.

Dawnych nauczycieli Polaków ubywało coraz więcej, a nowych policzyć można było na palcach. Przybysze rosyjscy, stosując politykę przenarodawiania, wnosili do szkół system prześladowania polskości we wszelkich jej objawach, fałszowania dziejów, szpiegowania, a nieraz moralnego dręczenia i kuszenia.

Ze słuszną goryczą pisałem w tym czasie w głosie "Do starszego pokolenia":

. . . co te szkolne żaki,
Te biedne, małe, niewinne chłopaki
Poczynać mają, by ciężko nie zbłądzić,
Jeśli nie wątpić, nie wierzyć i sądzić?
Wobec kłamstw tylu, obłudy, potwarzy,
Które im codzień mistrze kładą w głowy,
Wobec przymusu obcej, wrogiej mowy,
Sprzeczności między myślami a słowy,

Że winni ciągle stać na ust swych straży,
I że komedię straszną po kryjomu
Odgrywać muszą każdą dzienną chwilką?
Bo dla nich jednych w świecie — czarne w domu
Jest białe w szkole. Ach, i dla nich tylko,
Dla nich — zdarzeniem dzikim, niepojętym —
Rano wyklętym jest, co w wieczór świętym . . .

Ale już znowu, jak po dawniejszych klęskach, mijało oszołomienie po powstaniowych ciosach. Zwolna narastał i krzepnął " młody las".

STUDENCI — MIESZKANIA — REMINISCENCJE SZACHOWE

Czasy uniwersyteckie są niewątpliwie najprzyjemniejszym okresem w życiu. Opromienia je poczucie swobody, pęd pierwszej młodości, brak zbyt uciążliwych obowiązków i sympatia ogólna. W Warszawie byliśmy faworytami całej ludności, nie tylko inteligencji. " Skubentów " lubiły wszystkie warstwy, a rzemieślnicy i sklepikarze chętnie im kredytowali.

Mundury były tego samego kroju i barwy co gimnazjalne, lecz z podwójnymi galonami i wypustkami. Zresztą nie obowiązywały nawet na egzaminach. Zadowalano się noszeniem czapek także granatowych, okrągłych i ze spuszczonymi daszkami. Nie uchodziło jednak, aby trzymały się sztywnie, musiały być jak najbardziej pomięte; tradycja ta przechowała się w naszych wyższych uczelniach aż do ostatnich czasów.

Mieszkania były zawsze dość drogie w Warszawie, to też niezamożna większość " akademików", jak nas także nazywano, nie mających rodzin w mieście, gnieździła się po kilku w jednym pokoju i starała się za udzielanie korepetycji otrzymywać mieszkanie z " wiktem".

Ja mieszkałem na ul. Widok 15/17 w domu, który jakiś czas należał do mojej wujenki, Stefanii Jundziłłowej, a potem do jednego z wicedyrektorów kolejowych, inż. Kazimierza Kopytowskiego. Był on ożeniony z panną Ludwiką Taczanowską, siostrą dr. Władysława Taczanowskiego, kolegi i przyjaciela dr. Chomętowskiego, a gdy ten umarł młodo (1881), przez wiele lat jednego z opiekunów pozostałej wdowy, jedynej córki Odyńca i jej małoletnich córek, Antoniny, Celiny, Jadwigi i Marii. Rodzina mojej żony wiele miała mu do zawdzięczenia.

W domu tym mieszkałem najprzód z Lipskim, potem sam, zajmując kolejno od jednego studenckiego pokoju do dwóch i czterech, płacąc po 120 rb rocznie za pokój. Mieszkałem tam aż do przeniesienia się w pół roku po ślubie (1894) do domu mojej żony i jej sióstr na Marszałkowską 27. Za opał płacono wtedy po 1 rb za korzec węgła z dostawą, a na jeden piec wystarczało 10 korcy na rok.

Tylko przez dwa lata (1889–1891) mieszkałem na Kredytowej wprost



Kościół Kanoniczek i Ratusz przed 1856 r.



Teatr Wielki.



Krakowskie Przedmieście przy Placu Zamkowym. Kośćóił Bernardynów.



Krakowskie Przedmieście przy Nowym Świecie. Pałac Staszyca.
Kościół Św. Krzyża.

Jasnej z przyjaciółmi, dr. Michałem Szweykowskim z Suwalszczyzny i Władysławem Jasieńskim. Obaj byli zapaleni szachiści.

Jasieński, ziemianin z północnej części pow. wileńskiego, wnuk Kazimierza Bujnickiego, autora niegdyś wziętej powieści "Pamiętniki Jordana" z historii Inflant polskich, był bardzo oczytany i miał zasobną, wciąż uzupełnianą bibliotekę. Jedna z jego sióstr wyszła za mąż za Leonarda Dowmonta-Siesickiego z Muśnik w pow. wiłkomierskim, z drugą był ożeniony Jankowski, oszmiańczyk i historyk swego powiatu. W latach 1882–1892 mieszkał przeważnie w Warszawie, jako członek redakcji "Kuriera Warszawskiego", potem przeniósł się do Wilna i obok publicystyki, w której wykazał duży talent lecz często i nieopatrzność, poświęcił się czas jakiś działalności politycznej. Ostatni raz odwiedziłem go, podupadłego już na zdrowiu, w redakcji "Słowa" wileńskiego. Byłem ojcem chrzestnym jednej z jego córek, Ewy.

Mieszkając z szachistami, sam nauczyłem się nieźle tej gry, studiując partie ówczesnych matadorów, zwłaszcza gambitowe. A szachy wówczas i po miastach i po dworach były bardzo rozpowszechnione. Nieraz młode panny bywały "duższe" — jak wygrywających nazywa Jan Kochanowski — od mężczyzn. W Warszawie w każdej niemal cukierence był zaciszny pokoik z szachownicami i z figurami, a wkrótce zawiązał się Klub Szachistów, którego pierwszym prezesem był sekretarz sądu okręgowego, później rejent, Józef Żabiński. Mieliśmy w naszym mieście kilku mistrzów sławy światowej, a wśród nich najwięcej słynął Winawer.

Prus i Ludwik Straszewicz, redaktor "Kuriera Polskiego", zachodzili często do "Słowa" i czekając na zamknięcie numeru, rozgrywali partię. Grali słabo.

Grywano także dużo w warcaby i w halmę, grę, wymagającą specjalnej tablicy i pionków. O "kartograniu", mało rozpowszechnionym wśród studentów, a wielce wśród starszych, napiszę w rozdziale poświęconym życiu towarzyskiemu.

W Jaszunach w czasie wakacyj grywałem także całymi wieczorami w szachy ze stryjem Janem Balińskim, najstarszym synem historyka Michała, pierwszym profesorem psychiatrii w petersburskiej Wojennej Akademii Medycznej (1855–1880). Dostałem od niego na pamiątkę piękne szachy z kości słoniowej ze sztyfcikami i ze specjalną, podziurawioną szachownicą do grywania w wagonie lub na statku.

Przyjeżdżał on co lata z dziećmi do brata Konstantego. Nieraz, chodząc z nim po lesie z fuzyjką w ręku, słuchałem jego ciekawych rozważań o psychopatologii i t.zw. "moral insanity", którą się specjalnie zajmował. Zmarł w r. 1902 i został pochowany na cmentarzu rodzinnym Balińskich z linii jaszuńskiej, w borku nad Mereczanką, gdzie pierwszy spoczął w r. 1830 Jan Śniadecki.

Prof. Jan Baliński miał ośmiu synów i jedną córkę, która może jeszcze żyje w Dietskom Siole. Synowie i wnuki wszyscy pomarli, niektórzy w okolicznościach tragicznych. Najzdolniejszy z nich, inżynier Piotr, długi

czas reprezentant firmy Vickers na Rosję, jesienią 1918 r. przedostał się pomyślnie przez Japonię i Amerykę do Paryża, gdzie osiadł, kupiwszy dom na bulwarze Malesherbes 146. Odwiedzałem go tam parokrotnie. Zmarł przed wybuchem nowej wojny.

STOŁOWANIE SIĘ — OBIADY PRYWATNE

Stołowanie się, jak zwykle dla nieżonatych, a zwłaszcza dla studentów o skromnych funduszach, było sprawą kłopotliwą. Droższe restauracje przekraczały nasze środki, a tańsze szybko się przejadały.

Ja stale aż do ślubu trzymałem się obiadów prywatnych, o które nie było zbyt trudno, bo wiele rodzin ziemiańskich przenosiło się do Warszawy i chętnie udzielało takich obiadów, uważając nas za " paying guests", jak mówią w Anglii. Były one bardziej krępujące, ale zdrowsze, i dawały miłą towarzyską atmosferę.

Przez dwa tylko miesiące jadałem w restauracji Czuleńskiej na Wierzbowej wprost teatru. Z córką jej ożenił się, po utracie głosu, dość lubiany tenor Daniel Filleborn, następca Juliana Dobrskiego w partii Jontka w " Halce".

Może dzięki temu nie nabawiłem się, częstego w owych czasach, kataru kiszek czy żołądka, leczonego wtedy najczęściej hydropatią i stałymi wilgotnymi kompresami dokoła pasa.

Nie wiem, czy samo niedomaganie, czy też sposób jego leczenia wytwarzały u wielu pacjentów hipochondrię, ujawniającą się — co nawet Fredro wyzyskał w jednej ze swoich ostatnich komedii — częstym oglądaniem swego języka w kieszonkowym lusterku.

Mogłem z tej racji podrwiwać z dwóch bliskich mi ludzi: kochanego Or-Ota (Artura Oppmana) i Józefa Brońskiego ze słonimskiego. W r. 1903 nabyłem na spółkę z nim kamienicę przy ul. Wareckiej 10; została ona podobno doszczętnie zbombardowana w pierwszych dniach września 1939 r.

Ale obok królującej alleopatii leczono się także homeopatią i jakimiś środkami na wpół tajemniczymi. Moja matka np. ufała w dwa przezroczyste płyny Matteiego z Bolonii, zwane elektrycznością białą i błękitną, inni znowu — w jakiś grzybek, podobno kaukaski, który rozrastał się w wodzie jak galareta, a wyglądał obrzydliwie. Moja kuzynka Jadwiga Jundziłłowa leczyła na wsi febrę wiosenną trzema gorzkimi migdałami, na których trzeba było wypisać koniecznie gęsim piórem i atramentem galasowym sylaby : *fik, mik, nik.*

Może to pomagało? Ale mnie od malarii, nabytej w dzieciństwie na Polesiu i dręczącej przez całe gimnazjum, wyleczyła nawet nie chinina, latami obficie zażywana, ale dopiero Alger i jego klimat.

Lekarzy-homeopatów znałem trzech: Stefana Kuczyńskiego, Delinikajtisa i Drzewieckiego.

Drzewiecki, mój kolega uniwersytecki,— byłem bowiem cztery miesiące na medycynie i wtedy nauczyłem się palić,— został podczas rozruchów 1906 r. zastrzelony na ulicy w okolicznościach nigdy nie wyjaśnionych, podobnie jak adwokat Bolesław Matuszyński, syn wieloletniego reżysera opery warszawskiej.

Przez cały uniwersytet stołowałem się na ul. Oboźnej u pp. Mikołajostwa Górskich z łomżyńskiego.

Przez nich poznaliśmy dom pp. Adamostwa Pinińskich, także z łomżyńskiego, którzy na zimę zjeżdżali do Warszawy z trzema młodziutkimi córkami, Heleną, Marią i Zofią. Urządzali oni niezbyt tłumne, ale częste wieczorki i zebrania z udziałem przeważnie młodzieży akademickiej, wśród których pod wływem urodziwych gosposi wykwitały nieraz pierwiosnki poezji, nie wyłączając i utworów niżej podpisanego.

Wówczas nie był jeszcze znany wyraz " flirt ", który miał się wkrótce rozpowszechnić dzięki romansom francuskim (Bourget, Prévost, Gyp) i premiowanej na konkursie " Kuriera Warszawskiego " komedii Michała Bałuckiego pod tym tytułem. A że staropolskie zwroty "smalić cholewki ", " ciąć koperczaki " i " absztyfikować się " były już dawno zapomniane, wyrażenie " flirt " przyjęło się z piorunującą szybkością.

Przedmioty skrytych lub jawnych westchnień nazywaliśmy ideałami, bo istotnie idealizowaliśmy je jeszcze według tradycji romantyzmu, aczkolwiek nie tak już ślepo, jak Wokulski w " Lalce " Prusa. W każdym razie w tych flirtach i próbach poetyckich było mało erotyzmu zmysłowego, który do naszej liryki wprowadził głównie Kazimierz Tetmajer.

Studenci żenili się bardzo rzadko, bo znaczna ich większość musiała przedtem zdobyć niezależne stanowisko, a " ideały " znowu nie miały na ogół chęci wyczekiwać zbyt długo.

Obiady prywatne wcale dobre (trzy potrawy i kawa) kosztowały nas po 40 kop, ale naturalnie można było stołować się taniej i po traktierniach i w kilku specjalnych tanich kuchniach dla studentów, prowadzonych pod kontrolą delegatów Tow. Dobroczynności.

Rano i wieczorem, o ile siedzieliśmy w domu, pokrzepialiśmy się herbatą z serdelkami lub parówkami i wybornym wówczas pieczywem; oprócz okrągłych kajzerek, najlepsze były rogaliki i parki. Chleb żytni z mąki pytlowej częściej wypiekano nie podłużnie, ale w okrągłych bochenkach; t. zw. kneipowski jeszcze nie miał powodzenia.

Przez jakiś czas przyrządzała Lipskiemu i mnie herbatę, czasowo osiadła w Warszawie, nasza dawna nauczycielka niemieckiego Fräulein Maria Haase z Rygi, bardzo przywiązana do całej naszej rodziny. Wróciła później do domu naszego jako intendentka i umarła już przy samym końcu wielkiej wojny, uchroniwszy część ruchomości przed łapczywością okupantów. Drugą moją nauczycielką od dzieciństwa była Szwajcarka Mademoiselle Marie Gottofrey, wychowanka szkół lozańskich. Jej

zawdzięczam podstawy gruntownej znajomości języka francuskiego i cenny dar w postaci wielkiego dwutomowego wydania " Dictionnaire de l'Académie Francaise", z którego korzystałem aż do ostatnich czasów.

Wielkim sukursem w tych herbatach bywały zapasy, przywożone i przysyłane ze wsi, jak ser, masło i wędliny oraz smakołyki wyrobu domowego. Najlepsze były śliwki na rożenkach z masą migdałową. Najwięcej nam ich dostarczał nieoceniony Stanisław Jundziłł, który często przemieszkiwał w tym samym domu. Przemycał on niekiedy pod sekretem przed starszymi prawdziwą, świetną starkę kościuszkowską.

Dotychczas złość mnie czasem bierze, iż nie wypiliśmy przed 1939 r. kilkunastu butelek tej wódki, ocalonych z pierwszej wojny, które miałem jeszcze na Wiejskiej, jak i dwóch " fiascone " w kształcie stożków, wina Lacrimae Christi z wesela moich rodziców (1852), paru butelek starego węgierskiego ze ślubu mojej siostry z pierwszym jej mężem Stanisławem Balińskim z Jaszun (1888), oraz dwóch butelek najszlachetniejszej starej madery, z winnic na Maderze p. Tomaszewskiej, której mąż, przyjaciel mój, zamieszkiwał u mnie, przyjeżdżając dwa razy do roku do kraju po emeryturę. Gdybyż przynajmniej wyżłopali je jacyś znawcy . . .

PROFESOROWIE POLACY

Ul. Widok była jeszcze nie całkowicie zabudowana i bardzo cicha. Do uniwersytetu chodziłem zwykle Bracką, Chmielną i Nowym Światem, albo jeździłem od dworca Wiedeńskiego Marszałkowską tramwajem " zielonym", linie bowiem tramwajów konnych nie rozróżniały się numerami, jak później elektryczne, lecz kolorowymi tabliczkami i latarkami. Przy wyjściu rankiem z ciemnej ul. Chmielnej widok na łagodny łuk Nowego Świata z połączonymi w oddali jakby w jedną dwiema wieżami kościoła św. Krzyża w pełnym słońcu robił na mnie zawsze dziwne wesołe i ożywcze wrażenie.

Wśród pawilonów uniwersyteckich nie było jeszcze środkowego gmachu nowej biblioteki. Księgozbiór mieścił się w samej głębi w dawnym pałacu Kazimierowskim, a audytoria prawników, filologów i fizyko-matematyków — w dwóch pawilonach po prawej stronie. Większość wykładów dla medyków odbywała się w różnych klinikach szpitalnych. Prosektorium znajdowało się na gruntach szpitala Dzieciątka Jezus z wejściem od ul. Zgoda.

Pierwszej i bodaj ostatniej sekcji zwłok, której tam byłem świadkiem, dokonał prosektor Edward Przewóski, ojciec niedawno zmarłej literatki Marii Czesławy, używającej pseudonimu Helia.

Osobliwością prosektorium w owych czasach był jeden z posługaczy, który podobno regularnie wypijał spirytus ze słoi z preparatami anatomicznymi. Jakoś mu to nie szkodziło, bo chociaż sam wyglądał jak preparat, doczekał się późnej starości.

Było jeszcze za mnie wielu profesorów Polaków, którzy przeszli ze Szkoły Głównej, ale gdy tylko jeden z nich dochodził do emerytury,—a tę otrzymywano w pełni po 25 latach,— na miejsce po nim mianowano Rosjanina, lecz i z nich nawet, gdy który okazał się wybitniejszy, jak np. historyk Kariejew, przenoszono go do Moskwy lub Petersburga.

O profesorach nauk prawnych z Władysławem Holewińskim i z Antonim Okolskim na czele będę pisał w rozdziale mego pamiętnika, poświęconym prawnictwu. Teraz wspomnę z wdzięcznością o prof. Henryku Struwem, który na kursie I i II wykładał nam i filologom historię filozofii starożytnej i nowożytnej oraz logikę i psychologię. Pochodzenia nie polskiego, zdaje się — szwedzkiego, uważał się za Polaka, i nie słyszałem, aby wydawał coś po rosyjsku, chociaż miał w Rosji krewnych czy imienników. Sam był zwolennikiem systemu idealno-realistycznego i bronił metafizyki, wskutek czego nie cenili go ówcześni pozytywiści. Dzieło jego " Wstęp do filozofii " było istotną studnią znakomicie ułożonych i wyłożonych wiadomości i wyjaśnień z dziedziny wszystkich nauk humanistycznych.

Dla niektórych słuchaczy urządzał wieczorami zimą w swoim domu na Lesznie piątkowe zebrania dyskusyjne i zachęcał nas do przekładania na język polski celniejszych dzieł filozoficznych.

Ja sam, jako posiadający język angielski, którego od klasy V uczyłem się stale u Angielki Miss Jane Mirk, podjąłem się zuchwale przekładu Locke'a " Essays on Human Understanding ", ale przełożywszy kilka stron, musiałem zaniechać tej pracy, wymagającej poświęcenia się studiom filozoficznym, gdy ja wybrałem już prawo cywilne i administracyjne i na kursie III zabrałem się do pisania dla prof. Okolskiego rozprawy na złoty medal " o rozwoju prawodawstwa robotniczego", której skrót drukowała później " Gazeta Sądowa". Swoją drogą, podjęliśmy się z Zenonem Przesmyckim redagowania i wydawania litograficznego wszystkich wykładów prof. Struwego. Głównym litografem kursów uniwersyteckich był Otton Fleck, który brał po 3 kop od 16-stronicowego arkusza z papierem włącznie.

Jedyna córka Struwego wyszła za duchownego anglikańskiego, którego poznała w Gdańsku. Na stare lata Struwe przeniósł się do niej. Korespondowałem z nim jeszcze, ale niestety, nie pamiętam ani nazwiska zięcia ani nazwy jego parafii.

Wśród powag naukowych wyróżniali się chirurdzy Polikarp Girsztowt i Julian Kosiński, wychowawcy pierwszego pokolenia takich chirurgów, jak Henryk Krajewski, Franciszek Jawdyński, Bronisław Sawicki i in., histolog Henryk Hoyer, patolog Wincenty Brodowski, ginekolog Władysław Tyrchowski, August Wrześniowski (zoologia), Henryk Łuczkiewicz (higiena) i znakomity historyk Adolf Pawiński. Słynni lekarze, profesorowie Szkoły Głównej, Tytus Chałubiński i Ignacy Baranowski, już nie wykładali.

Na wydziale fizyko-matematycznym nie było profesorów Polaków,

pomimo iż w dziedzinie fizyki i chemii posiadaliśmy już pracowników tej miary, co Marceli Nencki, Napoleon Milicer, Eugeniusz Dziewulski, Józef Boguski i Bronisław Znatowicz. Byli oni najwyżej asystentami i musieli wykładać skrycie po " latających uniwersytetach", zorganizowanych głównie przez p. Piasecką, zanim zdołano urządzić laboratoria i studia w Muzeum Przemysłu i Handlu. Chemik Znatowicz, redaktor " Wszechświata", był ożeniony z p. Barbarą Garbowską, prawnuczką po matce Jędrzeja Śniadeckiego. Córka ich, konsulowa Maria Szczepańska, bratowa p. Marii Kuncewiczowej, oprócz innych prac literackich, napisała udatną rzecz z młodości swej matki p.t. " Wakacje w Jaszunach".

Lektorem języka rosyjskiego — a pierwszokursiści wszystkich wydziałów musieli zdawać piśmienny egzamin w formie dyktanda — był Nikołaj Berg, tłumacz " Pana Tadeusza " na rosyjski. Przychodził on nieraz do Odyńca z prośbą o radę i znał podobno literaturę polską lepiej od własnej. Nikogo nie obcinał.

Rektorem w Warszawie, mianowanym przez ministra a nie wybieranym przez kolegium, był za moich czasów profesor łaciny Mikołaj Błagowieszczenskij, którego może raz tylko w życiu widziałem. Częściej trzeba było zachodzić do inspektora po matrykuły i urlopy. Urlopy te, nader łatwo udzielane, dawały prawo do otrzymywania na kolejach Królestwa biletów kl. II lub III ze zniżką 75%. O tych urlopowanych dawano jednak znać policji miejscowej. Tak np. do mnie, do Sienieżyc pod Nowogródkiem, przyjeżdżał policjant okręgowy, zwany " uriadnikiem", dla sprawdzenia mojej tam obecności; zresztą czynił to zwykle już pod koniec wakacji, właśnie kiedy miałem wyjeżdżać.

Co roku wydawano drukowany spis wszystkich studentów według wydziałów i kursów, ze wskazaniem wieku i ukończonego gimnazjum.

INCYDENT Z APUCHTINEM

Wczesną wiosną 1883 r., bodaj w marcu, zaszedł wypadek, który można poniekąd nazwać historycznym. Siedząc z Przesmyckim koło południa w bocznej salce frontowej cukierni zacnego Szwajcara Toura w domu Ludwika Krasińskiego, prawie naprzeciwko uniwersytetu, którą nazywano audytorium XX, spostrzegliśmy najpierw oddziały policjantów różnych stopni, zdążające pod uniwersytet (bez zgody rektora nie mieli prawa wchodzić do środka), a wkrótce potem jadący kłusem od Nowego Świata szwadron ułanów gwardii, najszykowniejszego pułku konsystującego w Warszawie. Wpadł do wnęki między szpitalem św. Rocha a pałacem Uruskich, lecz po jakimś czasie z wolna odjechał. Od nadchodzących kolegów dowiedzieliśmy się niebawem co zaszło.

Przed kilku dniami zmarł student Polak (nazwiska nie pamiętam), zwolennik ruchu socjal-rewolucyjnego. Na jego pogrzebie student

Rosjanin, Żukowicz, wypowiedział gorącą mowę. Kurator Apuchtin wewał go do siebie i w sali przyjęć, w obecności interesantów, palnął mu brutalną reprymendę, szczególnie za to, iż on, Rosjanin, przemawiał na grobie Polaka; Żukowicz, niewiele myśląc, uderzył Apuchtina w twarz.

Wybuchł straszliwy skandal. Zamknięto wszystkie bramy uniwersyteckie, dano znać generał-gubernatorowi Hurce. Dlaczego Hurko pomimo zupełnego spokoju w całym mieście wysłał nawet nie kozaków, ale ułanów, trudno było dociec.

Pod bramą między sztab-rotmistrzem a komisarzem policji zawiązał się dialog następujący.

— Co się stało?

— Jego Ekscelencja otrzymał policzek (połuczili apleuchu).

— A więcej co?

— Więcej nic.

Na to rotmistrz zakomenderował :

— Szwadron obrót na lewo, nazad do koszar " krokiem".

I odjechali.

Ale ten sam pułk ułanów w kilkanaście lat potem nie zachował się z taką godnością, czego doświadczyłem na sobie wraz z dr. Witoldem Lewickim, b. posłem z Dębicy do parlamentu wiedeńskiego. Działo się to koło południa w jakąś niedzielę styczniową 1906 r. w okresie, kiedy biurokracja starała się wszędzie o wprowadzenie stanów wyjątkowych, zniesionych przez manifest październikowy, i w tym celu nie tylko tolerowała ale zachęcała rozmaite szumowiny społeczne do rabowania sklepów, tłuczenia latarni, napadania na niektóre lokale i t.p., co dawało jej pretekst do strzelaniny na ulicach i wszelkiego rodzaju represji.

Spotkawszy się z Lewickim, jako współredaktorzy, w lokalu " Słowa " na Wareckiej, zostaliśmy zaskoczeni odgłosami strzałów i wieściami o rzekomych rozruchach. Porozumiawszy się telefonicznie z żoną, postanowiłem udać się na razie do Lewickiego na Smolną.

Na Nowym Świecie było zupełnie pusto. Gdzieniegdzie przesuwał się jakiś przechodzień, na chodnikach leżało dużo potłuczonego szkła z rozbitych szyb sklepowych. Ale minąwszy Chmielną, posłyszeliśmy za sobą gwałtowny tętent. Szarżował na nas cwałem z wydobytymi szablami szwadron ułanów gwardii nie tylko po bruku, lecz i po chodnikach od ściany do ściany. Lewicki przypadł do ziemi za wysoko, bo na schodkach magazynu Graffa, i został draśnięty w ucho. Ja upadłem na samym chodniku i uniknąłem ciosu, ale runął na mnie jakiś przechodzień — pamiętam go jeszcze — w palcie z karakułowym kołnierzem; krew sączyła mu się z głowy. Wnieśliśmy go do apteki koło Smolnej. Wkrótce potylm umarł.

Żona moja pod wieczór przysłała mi, bym nie wracał sam wśród ciemności, służącego naszego, Adama Stankiewicza, rodem z okolic Balingródka nad Wilią; był on niezmiernie obrotny i zaradny. Wrócił

w kilka lat później do Wilna i został woźnym u rektora Michała Siedleckiego; dopomógł mu bardzo skutecznie w czasie okupacji sowieckiej do wywiezienia i ukrycia wielu cennych przedmiotów i instrumentów. Nie mógł się też nachwalić rektor swojej ówczesnej kucharki, także "tutejszej", choć z rzymskim imieniem Flawii, która zdołała mu ocalić nawet napoczętą butelkę wódki. Ta Flawia dostała się później do mojej bratowej Janowej Balińskiej i jej córki, Anny Sołtanowej, w Jaszunach. Brat Janowej Balińskiej, Karol Wagner, obecnie uchodźca w Anglii, doprowadził rodzinny majątek do stanu tak wzorowego, że jego Wielkie Soleczniki zwiedzały wszystkie cudzoziemskie delegacje rolnicze. Jest on doskonałym strzelcem i jednym z nielicznych Polaków, którzy polowali na stokach Pamiru.

Incydent z Apuchtinem stał się naturalnie przedmiotem rozważań naszych akademickich "delegacji kursowych". Składały się one z delegatów, wybieranych w przerwach między wykładami przez każdy kurs, w liczbie mniej więcej proporcjonalnej do liczby studentów, i zbierały się przygodnie w rozmaitych lokalach. Tym razem zebraliśmy się w bocznej kamienicy na Chmielnej już za Sosnową, o zmierzchu. Wyłoniły się od razu dwa poglądy: jeden — ażeby dla wyraźnego zaznaczenia naszej odrębności narodowej, nie reagować zupełnie na to zajście między dwoma Moskalami; drugi — ażeby zamanifestować naszą solidarność z antyrządowymi ruchami rosyjskimi.

Drugi pogląd zdobył większość, szczególnie dzięki porywającej wymowie medyka i socjologa Stanisława Krusińskiego (umarł niebawem na suchoty). Manifestacja solidarności z Żukowiczem odbyła się przed uniwersytetem. Być może, przyczyniła się ona do uznania w Petersburgu insynuacji słynnego polakożercy Katkowa z "Moskiewskich Wiedomostiej", że to zajście było "polską intrygą".

Apuchtin otrzymał wysoki order i ugruntował się na swym stanowisku aż do śmierci Aleksandra III.

POGRZEB ODYŃCA — TRZECI MAJ — NASTROJE IDEOWE

W połowie stycznia 1885 r. ogół studentów wraz z całym miastem wziął udział w manifestacyjnym pogrzebie Odyńca, jako ostatniego epigona epoki romantycznej i filarecji wileńskiej oraz towarzysza młodości Mickiewicza. Nie obeszło się bez zajść z policją i aresztowań zwłaszcza przy cmentarzu powązkowskim. Przemówienie z ambony w kościele św. Krzyża wygłosił ks. Chełmicki, rozpoczynający późniejszą swoją wielostronną działalność.

Kondukt prowadził biskup-sufragan Kazimierz Ruszkiewicz, przyjaciel zmarłego i rodziny Chomętowskich. Dawał on potem ślub wszystkim

wnuczkom Odyńca i chrzcił moich pięciu synów. W swojej kaplicy, w dzień naszego srebrnego wesela (dn. 21 kwietnia 1919 r.) odprawił mszę, po której musiałem zaraz pojechać na dworzec wiedeński dla powitania w imieniu stolicy, przybywających z Francji, generałów Józefa Hallera i Aubry.

Po południu byli oni u nas na przyjęciu, a ks. biskup przyjechał z ówczesnym nuncjuszem apostolskim, mgr. Achillesem Rattim.

Po wstąpieniu Mikołaja II na tron, biskup Ruszkiewicz zaoponował przeciwko składaniu w kościele przysięgi w języku rosyjskim.

W r. 1911/2 wytoczono mu, jako zarządzającemu archidiecezją, proces karny z powodu nieuznania dla katolików ważności rozwodu mariawickiego, pomimo że sektę uznał już rząd. Bronili go świetni adwokaci Adolf Pepłowski i Jan Chrystowski, ale zapadł wyrok skazujący; później senat petersburski skasował całe postępowanie, jako wszczęte nieformalnie.

Każdej wiosny 3 maja, grupki studentów i młodzieży chodziły z fiołkami do ogrodu Botanicznego pod resztki fundamentów kościoła Opatrzności, którego budowa była uchwalona przez sejm czteroletni.

W setną rocznicę — 3 maja 1891 r. — pochody pod ten fundament były tak gromadne, że wywołały ostrą reakcję władz z udziałem kozaków z nahajkami po całym mieście, licznymi aresztowaniami, a następnie " zsyłkami " administracyjnymi.

Od tego czasu pozwolono otwierać ogród Botaniczny i park Łazienkowski dla publiczności dopiero po 8 maja.

Stosunek do religii był wówczas u większości studentów obojętny, u niektórych nawet niechętny, ale zawsze broniący wobec prześladowań i zakusów rusyfikacyjych rządu praw kościoła katolickiego, jako stróża odrębności narodowej, i mowy polskiej w kazaniach, nauce katechizmu i modlitwach w najdalszych nawet zakątkach dawnej Rzeczypospolitej i wszędzie w Rosji, gdzie przebywali Polacy.

Naogół panował w młodych umysłach pozytywizm filozoficzny Comte' a, materializm przyrodniczy Vogta i Büchnera, w praktyce zaś — t.zw. praca organiczna i szerzenie nauki i oświaty. Głównymi rzecznikami ruchu " postępowego " byli Aleksander Świętochowski i Adam Wiślicki, redaktor " Przeglądu Tygodniowego".

Ufano we wszechpotęgę wiedzy i rozwiązanie przez naukę wszystkich tajemnic przyrody i zagadnień życia. Wierzono np. święcie w niepodzielność, nieprzenikalność i nieprzechodzenie jednych w drugie atomów i pierwiastków chemicznych, nie spodziewając się że tuż koło nas w Warszawie rozpoczął studia fizyczno-chemiczne podlotek, który miał tak znakomicie przyczynić się do obalenia kilku uznanych już " prawd " naukowych i umieszczenia ich w skromniejszym rzędzie przejściowych hipotez.

Bardzo popularne wśród nas było dzieło Drapera " Historia rozwoju umysłowego w Europie " i " Historia cywilizacji w Anglii " Buckle'a, która ustąpiła miejsca obiektywniejszej " Historii cywilizacji " Seignobosa

w przekładzie Adolfa Dygasińskiego. Nie zdarzyło mi się słyszeć, aby ktoś z kolegów zgłębiał " Kapitał " Marxa, ale czytano " Kwintesencję socjalizmu " Schäfflego i rozprawy Lassalle'a po polsku, zebrane w jednym tomie pod niezrozumiałym tytułem " Julian Ekonomiczny".

Z drugiej strony trzeba zaznaczyć, że większość nowszych polskich dzieł historycznych i religijnych nie miała jawnego dostępu spoza kordonu. Nawet roztrząsania moralno-teologiczne i społeczne ks. Mariana Morawskiego p.t. " Wieczory nad Lemanem " uległy ostrej cenzurze. To samo działo się z patriotyczną poezją emigracyjną, dozwoloną w zaborze austriackim. Ostatnie trzy tomy nieznanych a najświetniejszych utworów Słowackiego, uporządkowanych i wydanych po raz pierwszy przez Małeckiego we Lwowie, zaczęły do nas z trudnością dochodzić. Pamiętam wstrząsające wrażenie, gdyśmy poznali w całości " Grób Agamemnona", " Kordiana " i " Horsztyńskiego". Pęd do poezji rozbudził się na nowo mniej więcej koło r. 1884, w którym obchodzono w Krakowie uroczyście, w Warszawie zaś cicho — trzechsetną rocznicę zgonu Kochanowskiego, i może bardziej pod hasłem Słowackiego niż Mickiewicza.

Z dumą powtarzaliśmy za Byronem :

Oh, talk not to me of a name great in story —
For the days of our Youth are the days of our glory . . .

Ale częściej z zapałem deklamowaliśmy za Słowackim apostrofę, którą w takich lub innych słowach powtarzało i powtarzać będzie każde młode pokolenie :

Honor myślom, z których błyska
Nowa treść i forma nowa,
Bo są światu jak zjawiska,
Jak jutrzenka są różowa . . .

Gdybyż tylko pamiętano, ileż to łun brano za jutrzenki . . .

POMOC SPOŁECZNA — KONCERTY STUDENCKIE

Wspominałem już o sympatii ogółu dla akademików. Ujawniała się też w pomocy materialnej, najprzód w formie dostarczania korepetycji i angażowania nauczycieli domowych na wieś na stałe, z przerwą na czas egzaminów, lub na okres wakacyjny, a na dłuższą metę przez częste ofiarowywanie i zapisywanie w testamentach stypendiów, wreszcie w doraźnych składkach na opłacanie wpisów.

Groźne były pod tym względem ostateczne terminy — 1 października i 1 marca starego stylu. W gazetach, a szczególnie w " Kurierze Warszawskim " i w " Codziennym," otwierano zawczasu rubrykę ofiar na wpisy

p.n. " Feralna Trzynastka". Po r. 1900, spowodu opóźnienia się kalendarza juliańskiego o jeden dzień, zmieniono ten tytuł na " Feralna Czternastka", chociaż ta biedaczka nigdy nigdzie nie ulegała przesądowi feralności.

Nąjobfitszym dorocznym źródłem dochodów na wpisy były bale i koncerty studenckie. Bale odbywały się w karnawale zawsze w Resursie Kupieckiej na Senatorskiej. Były bardzo modne i mile widziane przez wszystkie sfery towarzyskie. Bilet wejścia kosztował 3 rb. Studenci we frakach, nie w mundurach, byli gospodarzami i nawet wodzirejami. Do najdzielniejszych za moich czasów należał medyk Stanisław Kurtz i prawnik Feliks Bogatko.

Białych kamizelek wtedy nie noszono (tylko służba na paradniejszych przyjęciach); noszono czarne, wycięte w formie serca, przy szeroko rozwartych stojących kołnierzykach i białych krawatkach, zawsze gotowych a nie wiązanych; kosztowały od 30 do 50 kop. O tańczeniu bez białych glansowanych rękawiczek nie mogło być mowy.

Damy w ówczesnych fasonach mody miały tak duże tiurniury, iż żartowaliśmy, że z biedy mogłyby utrzymać filiżaneczkę czarnej kawy. Efekt ich wypiętości powiększało zwężenie, jakby spętanie, spódnic poniżej kolan. Rękawy były bardzo krótkie, co wymagało długich rękawiczek. W uczesaniu uderzały grzywki spuszczane gładko na czoło, rzadziej podfryzowane.

Ale jeszcze znaczniejszy dochód przynosiły koncerty na rzecz studentów. Odbywały się zwykle w jedną z pierwszych niedziel wielkiego postu w godz. 1–4 pp. w Salach Redutowych, zajmujących pierwsze i drugie piętro teatru Wielkiego od perystylu aż do Wierzbowej z dwoma wejściami od teatru Wielkiego i Rozmaitości. Dawało to możność ustawienia aż czterech stolików dla dam, zapraszanych do sprzedawania programów. Programy te, podobnie jak wszystkie afisze, musiały być w dwóch językach. Dyrekcja teatrów rządowych udzielała zawsze gratis tych sal wraz z oświetleniem, oraz zezwolenia na udział orkiestry operowej.

Koncerty studenckie cieszyły się olbrzymim powodzeniem ze względu na cel oraz udział pierwszorzędnych polskich artystów, zarówno stale przebywających w Warszawie jak i bawiących na występach gościnnych, że wymienię Marcelinę Sembrich-Kochańską, Helenę Modrzejewską i Władysława Mierzwińskiego.

Głównymi organizatorami tych koncertów byli prawnik Ludwik Wołowski i medyk Kazimierz Dmochowski. Dr Dmochowski, syn jednej z sióstr mego ojca, osiadł później w Wilnie. Przy pierwszym najściu bolszewików był uprowadzony pieszo do Dźwińska i długo więziony w Smoleńsku. Jego żona, Emma z Jeleńskich z Komarowicz w pow. mozyrskim, autorka kilku powieści, była gorliwą działaczką w Wilnie; raz została skazana na dwa miesiące więzienia. Jedna ze szkół miejskich w Wilnie nosi jej imię.

Dzięki protekcji Dmochowskiego i Wołowskiego już na pierwszym

kursie wszedłem do komitetu koncertowego, co dawało sposobność do przychodzenia na próby, zbliżania się do artystów, przywożenia i odwożenia karetami występujących pań. Gospodarze koncertowi, w zapiętych na wszystkie guziki mundurach i w białych krawatach, wskazywali miejsca i asystowali paniom, sprzedającym programy, ale największym zaszczytem było wprowadzanie artystek na estradę i ofiarowywanie im bukietu. Raz jeden dostąpiłem tego zaszczytu, wprowadzając p. Jadwigę Czaki, która deklamowała mój wiersz.

Koncert z kwadransową przerwą składał się z dwóch numerów orkiestrowych, fortepianu i skrzypiec lub wiolonczeli, dwóch numerów śpiewu i dwóch deklamacji, ale trwał długo z powodu licznych bisów, które — trzeba wiedzieć — należało też cenzurować uprzednio pod groźbą grzywny dla wykonawców i dla przedsiębiorcy.

Pewnego roku muzyk-amator, Gustaw Plater z Wileńszczyzny, złożył hojną ofiarę z prośbą, aby mógł zadyrygować numerem orkiestrowym, co uważał za jedną z największych przyjemności, zwłaszcza z taką znakomitą orkiestrą. Za zgodą dyrektora Adama Minchejmera, po paru próbach, poprowadził zupełnie udatnie muzykę baletową z " Demona " Rubinsteina.

Córka Gustawa Platera, Leonowa Wańkowiczowa z Mińszczyzny, poplecznniczka gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, sprzedała później Aleksandrowi Lednickiemu majątek ojcowski Borkuszki, podzielony kordonem granicznym z Litwą na dwie połowy.

Na jednym z koncertów widziałem, jak Jan Królikowski żegnał się, wychodząc na estradę przed deklamacją " Ojca zadżumionych", której połowa sali wysłuchała ze łzami w oczach.

Widziałem, stojąc przy Mierzwińskim, jednym z rzadkich tenorów o wysokim wzroście i potężnych barach, noszącym spiczastą bródkę, nazywaną od niego " à la Mierzwiński," jak przy wyrzucaniu wysokich tonów klatka piersiowa podnosiła mu się i opadała, niby miech kowalski. A w pewnej arii, zdaje się, z " Nieszporów sycylijskich", zabrzmiał tak, że w bliższych oknach Sal Redutowych zabrzęczały szyby.

Lecz największe wrażenie sprawiała deklamacja Modrzejewskiej, która wtedy po raz pierwszy występowała w Warszawie po tryumfach amerykańskich, a w szczególności jej głos i umiejętność jego używania, co stanowiło może połowę jej uroku.

Opowiadał nam Sienkiewicz, że raz w San Francisco, gdy na zebraniu towarzyskim proszono ją o zadeklamowanie czegoś po polsku, zaczęła po prostu rachować od jednego, lecz samym brzmieniem głosu i jego modulacjami wywołała niekłamane wzruszenie słuchaczy.

Na ten nasz koncert wybrała " Hagar na puszczy " Kornela Ujejskiego, wiersz dający sposobność do przechodzenia od chrapliwego niemal głosu umierającej z pragnienia do wykrzyków rozpaczy i najtkliwszych błagań matki dla syna.

A nad program powiedziała " Pożegnanie " Zygmunta Krasińskiego :

Ledwom cię poznał, już cię żegnać muszę,
A żegnam ciebie, jak gdybym przez wieki
Żył z tobą razem i kochał twą duszę,
A teraz jechał w jakiś kraj daleki
I nie miał nigdy już obaczyć ciebie,
Chyba gdzieś kiedyś po śmierci tam w niebie!

"I NIE MIAŁ NIGDY JUŻ ZOBACZYĆ CIEBIE"...

W lat wiele, wiele potem przypomniały mi się te słowa, i to w pełnym tęsknoty i beznadziejności brzmieniu głosu Modrzejewskiej, kiedym się dowiedział o śmierci w katastrofie samochodowej mego syna Józefa i synowej (1928), i w kilka lat później (1934) na wieść o śmierci syna mego Kazimierza w Pirenejach hiszpańskich, i jeszcze raz wkrótce potem, gdym ujrzał zgasłą nagle we śnie moją żonę.

A teraz tu na obczyźnie te słowa i ten głos płoszą mi nieraz sen z powiek, kiedy to " ciebie " obejmuje już nie tylko kilku najdroższych, ale dziesiątki, jeśli nie setki krewnych, bliskich, przyjaciół, kolegów, znajomych, kiedy dla mnie starego obejmuje pewnie także i Ciebie, Warszawo, i Ciebie, ziemio rodzinna.

TRZY OKRESY

Po wejściu moim na t.zw. arenę życia samodzielnego, dalszy rozwój Warszawy, aż do pierwszej wojny światowej, mógłbym może najtrafniej podzielić na trzy okresy: pierwszy do śmierci Aleksandra III (1894), uwieńczony rozpoczęciem budowy słynnego soboru i dzwonnicy na pl. Saskim, drugi do reform politycznych w Rosji, wywołanych przegraną wojną z Japonią (1905), trzeci do wyjścia Moskali (1915).

Warszawa przez te lata rozwijała się i modernizowała coraz szybciej na wzór miast zachodnich i pozyskując stopniowo nowożytne udogodnienia techniczne, stawała się wielkim miastem europejskim. Zewsząd napływała ludność różnych warstw i zawodów, przedmieścia rozszerzały się, mnożyły się fabryki, zakłady przemysłowe, domy handlowe i t.p. zwłaszcza w związku z wywozem do Rosji. Wraz z ubytkiem ogrodów i pustych placów, opona dymów gęstniała nad miastem, higieniści narzekali na brak ozonu.

W pierwszym okresie, najcięższym jeśli chodzi o nacisk rusyfikacyjny, było jeszcze wiele resztek dawnego życia patriarchalnego, skupiającego się niemal wyłącznie w obcowaniu rodzinnym i towarzyskim. Wszelkiego rodzaju działalność zbiorowa nie tylko o charakterze politycznym, ale i społecznym, zawodowym i kulturalnym, musiała się ukrywać po mieszkaniach prywatnych.

Koszty życia w Warszawie (poza mieszkaniami) były niezmiernie niskie; drożyzna zaczęła wzrastać dopiero po zmniejszeniu około r. 1894 za ministra Wittego wartości rubla złotego o 33°/₀: z 4 fr złotem do 2.66 fr. W tym okresie, gdy rząd odmówił konsorcjum kapitalistów francuskich koncesji na urządzenie bulwarów nad Wisłą i zabudowanie dzielnicy nadrzecznej — najważniejszym zdarzeniem stało stę zburzenie ogromnego boduenowskiego szpitala Dzieciątka Jezus, który tkwił w samym środku miasta. Otworzyło to nowe ulice, jak Boduena, Sienkiewicza, Moniuszki, przedłużyło Jasną aż do ul. Zgoda i pozwoliło w ciągu kilku lat na zbudowanie szeregu wspaniałych kamienic, z których najokazalszą może był gmach towarzystwa asekuracyjnego "Rosja" z frontem od ul. Marszałkowskiej.

Dyrektorem tego towarzystwa na Królestwo Polskie był Henryk Barylski, jeden z największych zwolenników spirytyzmu, jakich znałem. Drugim był mój kolega z Sądu Najwyższego Feliks Suryn, z którym duch syna zmarłego w Petersburgu miał rozmawiać, kierując ołówkiem po papierze. W ciagu pewnej zimy najczęściej u Barylskiego odbywały się doświadczenia dr. Juliana Ochorowicza z medium Tomczykówną, w obecności gospodarza, historyka Władysława Smoleńskiego, autora "Dziejów literatury powszechnej" Juliana Adolfa Święcickiego, Libickiego i mojej. Każdy seans poprzedzała obfita kolacja; także medium gruntownie sobie wówczas podjadało, bo Barylski był wytwornym gastronomem, a szczególnie celował w przyrządzaniu rozmaitych zakąsek i dań z pomidorów, które medycyna właśnie wtedy po dłuższym bojkocie znowu do łask higieny przywróciła, przenosząc swój ostracyzm na szczaw i wyborną zupę szczawiową z wędzonką.

Ochorowicz nie wierzył w żadne duchy i ich interwencję, lecz badał zjawiska hipnotyczne, mediumistyczne i t.p. jako przyrodnik. U Tomczykówny odkrył jakąś szczególną, rzadko spotykaną właściwość. Po kilku "passach" zasypiała, i wówczas jaźń jej opanowywał — oczywiście niewidzialny — niejaki "Wojtek," przemawiający akcentem i językiem andrusa znad Wisły. Ale wówczas gdy piastowała w swoim łonie czy w swoim mózgu owego Wojtka, z końców palców — i to było najważniejsze — wytryskiwały promienie, które Ochorowicz nazwał "sztywnymi"; występowały one wyraźniej tylko u pewnych osobników. Przy świetle — seanse zaś odbywały się przy jednej lub dwóch świecach — promienie te były niewidzialne, ale miały taką konsystencję, że medium, trzymając ręce rozstawione o jakieś pół metra, podnosiło papieros, ołówek, a nawet małe nożyczki. W ciemności stawały się one widzialne, lecz traciły sztywność.

Po wyjeździe Ochorowicza z Warszawy do Wisły na Śląsku, gdzie zbudował sobie willę, zaniechałem wszelkich stosunków ze spirytystami i słynnego Guzika nigdy nie widziałem. Tomczykówna wyjechała do Anglii i podobno wyszła tu za mąż.

Na tychże gruntach poszpitalnych stanął wkrótce gmach Filharmonii,

wzniesiony dzięki staraniom i zabiegom Aleksandra Rajchmana, redaktora-wydawcy tygodnika "Echo Muzyczne i Teatralne," później pierwszego dyrektora Filharmonii i przez jeden czy dwa sezony — opery warszawskiej.

Kaplicę szpitalną nabyła Ludwikowa Krasińska, matka Adamowej Czartoryskiej, i po przerobieniu przekazała parafii świętokrzyskiej. Uzyskane z parcelacji placów sumy pokryły w znacznej części koszta zbudowania nowego szpitala przez zarząd fundacji.

W drugim okresie przybyła w związku z pierwszym urzędowym przyjazdem do Warszawy cara Mikołaja II — politechnika, dzieło architekta Stefana Szyllera. Rząd udzielił pozwolenia, a społeczeństwo — pieniędzy; największą sumę ofiarował Kronenberg.

Wkrótce potem stanął pomnik Mickiewicza, odsłonięty w dzień wilii 1898 r., wśród nakazanego grobowego milczenia tysiącznych tłumów, bez żadnego przemówienia, tylko z odczytaniem przez proboszcza ks. Siemca krótkiej modlitwy po łacinie.

W grudniu 1900 r. jubileusz Sienkiewicza, chociaż mógł się odbyć w sali ratuszowej, z jednym jedynym przemówieniem prezesa komitetu ks. biskupa Ruszkiewicza i z odśpiewaniem pieśni rycerskiej Moniuszki, lecz przy milczącej defiladzie delegacji z różnych stron kraju.

Oświetlenie elektryczne ulic, tramwaje elektryczne, windy, telefony, samochody, wszystko to zjawiło się już w trzecim okresie, t.j. w w. XX. Wtedy też dopiero rząd rosyjski, który dotąd budował tylko cerkwie, koszary i więzienia, wzniósł nowy budynek poczty na pl. Wareckim, Bank Państwa na Bielańskiej i ogromny gmach korpusu kadetów im. Suworowa przy końcu al. Ujazdowskich (później nasza Szkoła Podchorążych). Wreszcie pozwolił gminie miejskiej na postawienie wspaniałego mostu u wylotu al. Jerozolimskich (im. Poniatowskiego). Naczelny jego budowniczy, inż. Marszewski, najniewinniej ucierpiał za nienależyte zarejestrowanie "pot-de-vin" w kwocie 100.000 rb, przekazanej jakimś sferom petersburskim przez wielką stalownię Rudzki i S-ka. Stał się on ofiarą rywalizacji między senatorem Nejhardtem, szwagrem premiera Stołypina, a generał-gubernatorem Skałłonem, którego Stołypin chciał się pozbyć.

DALSZE PORZĄDKOWANIE MIASTA

Przy końcu pierwszego okresu ukazały się na rogach ulic dość gęsto oszklone kioski do sprzedaży gazet. Kioski te były gustowniejsze od drewnianych, malowanych na żółto budek do sprzedawania papierosów, które nasz magistrat stawiał i wydzierżawiał inwalidom wojennym, a których brzydota wywoływała nieraz za mojej prezesury nagany ze strony radnych miejskich.

W tym samym mniej więcej czasie, dzięki poparciu ober-policmajstra

gen. Kleigelsa (à tout seigneur tout honneur!), urządzono w wielu miejscach uliczne " water-closety " ku istotnej wygodzie publiczności, która dotąd, będąc na mieście, musiała w potrzebie poszukiwać właściwych ubikacji w głębi często zupełnie nie znanych sobie dziedzińców.

Kleigels mówił nieźle po polsku. W wydanej w owym czasie w Krakowie przez " Baronową X.Y.Z." (Antoniego Zaleskiego) dowcipnej książce o towarzystwie warszawskim, złośliwy autor przypisuje mu napisanie w albumie jednej z dam polskich, utrzymującej z nim stosunki towarzyskie, następującego dwuwiersza :

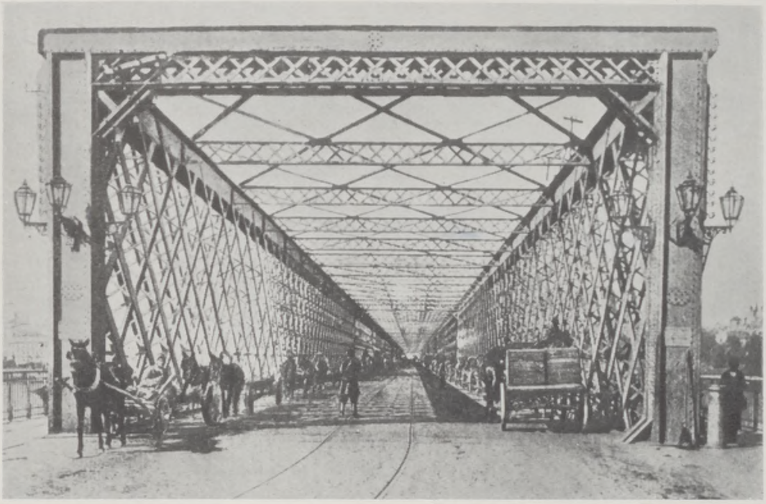
Miłość moja do ciebie przykleja jak klajster,
Tyś jest mojego serca oberpolicmajster!

Tenże Kleigels ukrócił i uporządkował spacery ulicznych " perypatetyczek", które rozpanoszyły się szczególnie na ul. Świętokrzyskiej, Trębackiej i w al. Jerozolimskich. On również skoncentrował wszystkie licencjowane domy publiczne, mieszczące się poprzednio przeważnie w okolicach ul. Freta i Nowego Miasta, na ul. Towarowej koło Żelaznej.

Nie brakło jednak w Warszawie kurtyzan zawodowych, że się tak wyrażę — pierwszej klasy, utrzymywanych przez opiekunów ze złotej i często już dobrze podtatusiałej młodzieży. Nie były one tak słynne w świecie, jak klasyczne Lais i Fryne, ani nawet jak Cora Pearl czy Hortense Schneider za czasów drugiego cesarstwa w Paryżu. Nawiasem mówiąc, pamiętam, jak w r. 1882 czy 1883 " Gil Blas" wiadomość o śmierci — już pono w wielkiej biedzie — jednej ze słynnych kurtyzan zakończył westchnieniem : " La pauvrette, elle a passé dans un demi-monde meilleur".

Jednak i owe syreny warszawskie były znane z widzenia szerszej publiczności i nazywane dyskretnie, gdy w eleganckich " wiktoriach " albo w dwukonnych dorożkach na gumach przejeżdżały przez Aleje do Marcelina czy Sielanki lub na wyścigi. Zmienne koleje ich losów opisał barwnie w jednej ze swych warszawskich powieści Alfred Konar, aczkolwiek nie z takim talentem, jak Ignacy Dąbrowski, który odtworzył w swej znakomitej " Felce " ciche dramaty uczciwych, zapracowanych, źle płatnych szwaczek; było ich wówczas w Warszawie stanowczo za dużo, a to z powodu niedostępności dla kobiet wielu źródeł pracy zarobkowej. Dziewczęta z t.zw. niższej średniej klasy miały zbyt mało wykształcenia, żeby być bonami, a cóż dopiero nauczycielkami, a za mało wyrobienia fizycznego na robotnice. Zostawała im tylko — służba domowa, do której garnęły się niechętnie, i — igła, jeżeli nie wychodziły za mąż.

Z instytucji społecznych, które zabiegały o poprawę upadłych dziewcząt i wyzwolenie ich z nader krępujących więzów domów publicznych, znałem najlepiej dom pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny przy ul. Żytniej, zwany popularnie " Magdalenkami ", byłem bowiem przez wiele lat jego kuratorem. Zakład ten prowadziły właściwie zakonnice, których główny dom znajdował się w Angers we Francji, ale że nie były dopuszczane do Rosji, działały jako świeckie stowarzyszenie kobiece



Most Kierbedzia.



Róg Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich.



Plac Zamkowy w 1870 r.



Plac Zamkowy w 1890 r.

na mocy specjalnego statutu, wyjednanego w siódmym dziesiątku lat w. XIX przez matkę Eugenię Ożarowską, dzięki protekcji samej cesarzowej, małżonki Aleksandra II.

Dziewczęta, które zresztą mogły opuścić zakład w każdej chwili, kształciły się i wykonywały prace zarobkowe stosownie do swych uzdolnień, od najpiękniejszych haftów do prania hielizny. Wieśniaczki pracowały w ogrodzie i na roli w fermie Derdy pod Raszynem, ofiarowanej przez Gustawa Przeździeckiego. Bywałem tam dwa razy do roku na przedstawieniach teatralnych, urządzanych przez wychowanki, i od czasu do czasu asystowałem urzędowo przy zwiedzaniu zakładu przez generał-gubernatorowe, co było pożyteczne, bo podnosiło nasz autorytet wobec policji.

Po odzyskaniu niepodległości zakład stał się jawnym zakonem, a przełożoną prowincji warszawskiej po śmierci matki Ożarowskiej została matka Anna Moraczewska, rodem z Małopolski.

Trzeba jeszcze przyznać ober-policmajstrowi Kleigelsowi zasługę surowszego przestrzegania polewania ulic, nawet dwukrotnie w dni suche, przez stróży domów na koszt ich właścicieli, oraz energiczniejszego uprzątania przez magistrat śniegu, co jeszcze za ostatnich czasów było bolączką Warszawy, bo pamiętamy chyba wszyscy na bocznych ulicach wały sczerniałych brył śniegowych, wyczekujące deszczów i wiosennego słońca ku zadowoleniu miliardów bakterii.

POSŁAŃCY — PRZESYŁANIE LISTÓW I DEPESZ

Wprowadzenie udogodnień komunikacyjnych, a przede wszystkim telefonów, wpłynęło na zupełne zniknięcie t.zw. " posłańców ulicznych", którzy przez wiele lat byli niezmiernie użyteczni, gdy chodziło o roznoszenie pilnych listów i posyłek.

Ożywiali oni widok chodników swymi czapkami i okryciami z czerwonymi obwódkami, grupując się przy hotelach i na rogach ruchliwszych ulic, gdzie nawet stały specjalnie dla nich przeznaczone ławki. Wszyscy byli zarejestrowani, składali kaucje po 15 rb, a za odniesienie listu i małej paczki w jedną stronę pobierali po 15 kop z dodatkiem 10 gr na tramwaj przy dalszych kursach. Byli oni tym potrzebniejsi, że poczta warszawska nie umiała szybko rozsyłać korespondencji miejskiej (na wzór paryskich " petits bleus "), tak iż wobec opróżniania skrzynek pocztowych i roznoszenia listów raz na dobę — korespondencja, kosztująca 3 kop, dochodziła adresata zwykle na trzeci dzień.

Korespondencja pocztowa, poza obrębem miast, kosztowała w całym państwie zrazu po 10 kop, później po 5 i 7 kop, a listy otwarte — co do których toczył się w naszej prasie spór filologiczny z ostatecznym zwycięstwem nazwy " pocztówka "— po 3 kop. Na markach, a jak teraz się

mówi, na " znaczkach pocztowych", w cesarstwie rosyjskim figurował tylko dwugłowy orzeł herbowy, a nie profil cara, uważano bowiem, że stemplowanie pieczątką oblicza monarchy ubliża symbolicznie jego godności.

Adresy na listach można było pisać we wszystkich językach europejskich z wyjątkiem polskiego i żydowskiego. My Polacy używaliśmy zwykle języka francuskiego, przy czym bodaj do końca ub. w. panował zwyczaj pisania na kopertach nawet w korespondencji prywatnej słów " pan", " pani " czy " panna "— dwukrotnie.

Adres zatem na kopercie brzmiał np. tak :

St. Poniewiez (gvt. de Kowno)
Monsieur
Monsieur Longinus Podbipięta
à Myszykiszki

albo

Mademoiselle
Mademoiselle Alexandrine de Billewicz
à Wodokty

Skądinąd usuwało to wątpliwości co do używania intytulacji " Wielmożny " czy " Jaśnie Wielmożny".

Centralna stacja telegraficzna w Warszawie znajdowała się na ul. Królewskiej między wjazdem do kościoła Ewangelickiego i ogrodem z pałacykiem niegdyś marszałka koronnego Franciszka Bielińskiego, który za Stanisława Augusta pierwszy urbanizował stolicę i zniósł większość jurydyk. Posiadłość ta, należąca później do rodziny Łubieńskich, około r. 1887 uległa rozparcelowaniu pod kamienice. Wielki gmach telegrafu zbudowano na parę lat przedtem na gruntach dawnego ogrodu pałacu Brühlowskiego przy ulicy obecnie Fredry, nazwanej wówczas ul. hr. Kotzebuego na cześć ówczesnego generał-gubernatora, wsławionego prześladowaniem unitów na Podlasiu i Chełmszczyźnie po zniesieniu unii w Królestwie Kongresowym.

Depesz w języku polskim również nie wolno było wysyłać. Najtańsza depesza kosztowała 60 kop do 10 wyrazów, za następny wyraz pobierano po 5 kop. Jeżeli adresat nie mieszkał przy stacji, z wyjątkiem większych miast, gdzie roznoszono listy i telegramy, musiał się po nie sam zgłaszać, chyba że wysyłający opłacił z góry posłańca.

DOJAZDY DO WARSZAWY — KOLEJE ŻELAZNE

Rzut swój na ówczesną Warszawę pokieruję wzorem Baedekera (drogi dojazdowe, hotele, ulice i t.d.), który zresztą nie był obcy naszym wydawcom " przewodników dla podróżnych " sprzed stu lat z górą. Odzie-

dziczyłem wśród książek po dziadku "Le guide du Royaume de Pologne", wydany przez Glücksberga w r. 1827, a ułożony taką właśnie metodą z dobrą mapką kraju i planem Warszawy, a nawet z rysunkami celniejszych gmachów. Trójkąt przy nazwie miasta oznaczał istnienie loży masońskiej, które wtedy były dozwolone. Oprócz Warszawy, trójkąty te figurowały, o ile pamiętam, przy Kaliszu, Lublinie, Łomży i bodaj Siedlcach.

Dziad mój, Ignacy Baliński, nabył ten przewodnik, jeżdżąc z Punżan nad Wilią w hrubieszowskie, dokąd jedna z gałęzi naszej rodziny przeniosła się z Wielkopolski — dla wywindykowania po bezdzietnie zmarłym stryju Antonim, pośle na sejm Królestwa z r. 1818, majątku Uchanie, do którego rościła pretensje rodzina pozostałej po nim wdowy. Podczas jednej z podróży zmarł na cholerę w Chełmie przed samym wybuchem powstania 1830 r.

Dziad mój (1787–1830), ożeniony z Elżbietę Houwaltówną z Szyrwint, był synem także Ignacego (1756–1819), cześnika inflanckiego, później wicemarszałka departamentu doraźnego trybunału litewskiego. Starszy brat jego, Stanisław, tłumacz maksym La Rochefoucaulda, był pierwszym sekretarzem Teatru Narodowego utworzonego dekretem z r. 1811. Zmarł w Krakowie w r. 1813. Młodszym bratem był historyk Michał (1794–1864). Ojciec mój Józef (1815–1892), w czasie gdy mieszkał w Wilnie jako członek izby sądowej karnej z wyboru obywatelstwa, był współpracownikiem miesięcznika "Roztrząsania i Wizerunki Naukowe".

W notatkach swoich dziadek mój chwali stan dróg, przeważnie już bitych, poczt i zajazdów w Królestwie. Zaznacza, że dla najmowania koni pocztowych nie potrzeba było uzyskiwać od władz rządowych, jak w cesarstwie, specjalnych pozwoleń, zwanych "podorożna", co było tam wymagane aż do panowania Aleksandra II.

W okresie, który opisuję, przyjeżdżano już z większości stron do Warszawy kolejami. Wagony były przeważnie o niekomunikujących się przedziałach z drzwiczkami na zewnątrz, opalane zimą blaszankami z gorącą wodą. Dopiero w pociągach dalekobieżnych poczynano wprowadzać wagony korytarzowe z wygodniejszymi urządzeniami nawet w klasie III.

Krążyły już w kurierach międzynarodowe wagony sypialne, ale nie było ani wagonów restauracyjnych, ani wsuwanych tac z obiadami, jak w Austrii. Z tego powodu co jakie 100–120 wiorst pociągi dzienne zatrzymywały się dłużej, aby dać pasażerom możność posilenia się. Niektóre z bufetów stacyjnych, jak w Skierniewicach, Częstochowie, Łukowie i Dęblinie (Iwangorod), miały ustaloną dobrą opinię, a każdy szczycił się jakąś specjalnością.

Opowiadano mi, że raz w Łukowie, gdy podczas wielkiego upału kilku turystów angielskich, wówczas naogół bardzo rzadkich, zasiadło do stołu bufetowego w kamizelkach bez kurtek — publiczność ze względu na obecność pań przy stole po prostu chciała zmusić ich do wyjścia z sali,

czego zupełnie nie mogli pojąć. Doszłoby zapewne do bójki, gdyby nie załagodzili sprawy wąsaty żandarm i jeden z pasażerów, tyle umiejący po angielsku, że wskazując rękawy od koszuli, wołał: "Shocking! Shocking!". Zanim zadźwięczał trzeci dzwonek, Anglicy mieli jeszcze czas do przywdziania kurtek i spożycia takiej polędwicy z borowikami w śmietanie, jakiej by zapewne nawet w Londynie nie dostali.

Taryfy kolejowe były dość wysokie; wynosiły od czasu wojny tureckiej 1877–78 r. po 3,75 kop za wiorstę w kl. I, po 2,75 w w II i 1,45 w III. Dopiero pod koniec XIX w. zaprowadzono taryfę t.zw. strefową (zmniejszone opłaty na większe odległości). Jeden pud rzeczy od dawanych na bagaż był wolny od opłaty, ale obok tej ulgi można było mieć przy sobie całe stosy paczek, poduszek i "czemodanow" (walizek), bo konduktorzy patrzyli na to przez palce. Od psów, przewożonych w osobnych przedziałach, płaciło się część biletu kl. III.

GOŚCIŃCE I STACJE POCZTOWE — WĘDRÓWKI PO KRAJU

W owych czasach jeszcze bardzo wiele okolic w Królestwie było niezmiernie oddalonych od nielicznych dróg żelaznych. Z kaliskiego, płockiego, łomżyńskiego, radomskiego trzeba było dojeżdżać do najbliższej stacji kolejowej lub wprost do Warszawy — jeśli się nie miało własnych koni — kurierkami (dyliżanse), extrapocztą dość kosztowną, czy też różnego rodzaju najmowanymi wehikułami i furgonami. Podróżni, oszczędniejsi i niezamożni, używali najchętniej pakownych bryk, zwanych "krakowskimi", z budami płóciennymi; stłoczeni w nich byli jak śledzie w beczce.

Ja w tych latach niewiele jeździłem końmi po Królestwie, tylko niekiedy do krewnych na Podlasiu, z Siedlec do ślicznie położonego nad samym Bugiem Mężenina, gdzie podobno w ostatnich czasach osiedliła się grupa teozofów polskich. Już znacznie później, odwiedzając krewnych żony, Cichowskich i Kotkowskich, poznałem opatowskie i sandomierskie, kiedy jeszsze nie było kolei z Ostrowca do Sandomierza.

Ale po gościńcach i drogach moich stron rodzinnych, zwłaszcza aż do zbudowania kolei poleskich, od północnej granicy błot pińskich aż poza Grodno i Wilno, najeździłem się do woli. Ze starszymi podróżowało się zwykle własnymi powozami; a właśnie w tym czasie nastąpiło ulepszenie ich przez zamianę resorów "stojących", na których zawieszone było pudło powozu, na resory leżące, daleko trwalsze i nie kołyszące. Przy dłuższych podróżach dach "kocz-karety" bywał zazwyczaj obciążony długą, płaską walizą, zwaną "waszą", specjalnie przeznaczoną na suknie damskie.

Młodzi mężczyźni sami używali najczęściej t.zw. "pieriekładnoj", zmieniając na każdej stacji, mniej więcej co trzy mile, nie tylko konie ale i bryczkę albo sanki. Płaciło się po 3 kop od wiorsty i konia, z dodatkiem

12 kop za bryczkę, napiwku dla pocztyliona i coś tam jeszcze za smarowanie osi. Latem odbywało się też nieraz kilkunastomilowe kursa konno.

Rozkoszne były te gościńce pocztowe, szerokie przynajmniej na 20–30 sążni, obsadzone nieraz podwójnym rzędem brzóz, wierzb lub sosen, przerywanym tylko przez las albo mijaną wioskę, gdzie z chat o małych okienkach, ocienionych najczęściej wysokimi łodygami malw i słoneczników, na głos dzwonka pocztowego wysypywała się dziatwa. Po drodze można się było zatrzymywać w celu zbierania, stosownie do pory roku, poziomek, czernic czy grzybów, albo zrywania bławatków wśród kłosów dojrzewającego żyta, najpiękniejszego w tym okresie ze wszystkich zbóż. Ale może najprzyjemniejsza była po dobrze utartej drodze, często z zaprzęgiem " koń przed koń", jazda sankami! Dawała ona odczucie szybkości żywsze niż w dzisiejszych zamkniętych samochodach.

Przy wjeździe do dworów i wiosek, a także przy skrzyżowaniu dróg, stały krzyże łacińskie, jednoramienne. Włościanki często zawieszały na nich jako vota tkane przez siebie płócienka z wyszytymi krzyżykami. Stawiania nowych na miejsce starych policja zakazywała, robiono więc to nocami, bo już stojących policja nie obalała. W diecezji wileńskiej istniał od w. XVIII zwyczaj stawiania w pobliżu obór, w celu zabezpieczenia się przed epidemią bydła, na intencję Opieki Boskiej krzyża dwuramiennego, lecz bez ukośnej trzeciej poprzeczki, z literami tworzącymi napis " Karawika". W bibliotece mego ojca znalazłem bardzo starą książeczkę z wyjaśnieniem tego zwyczaju i odpowiednimi modlitwami.

Stacje pocztowe, z wyjątkiem w większych miasteczkach i na jedynej podówczas w tamtych stronach szosie : Brześć — Bobrujsk — Mohilów, były drewniane. Od frontu niewielki domek urzędowy z gankiem o dwóch słupkach i z dwugłowym orłem państwowym. Po dwóch stronach — dwie bramy do obszarnego kwadratowego majdanu, otoczonego ze wszystkich boków mieszkaniami pocztylionów, stajniami i wozowniami, bez żadnego już wyjścia, by utrudnić kradzież koni.

Taka np. stacja Nowiny — na skrzyżowaniu gościńca ze Słonima, Nowogródka i Lidy w porębie leśnej wśród ówczesnych rozległych borów sieleckich nad Niemnem — wyglądała zupełnie jak fortalicje, opisywane przez Fenimore'a Coopera i Mayne Reide'a w powieściach o czerwonoskórych Mohikanach i Huronach.

Gospodarzem na stacji pocztowej był t.zw. "starosta", który udzielał koni i pobierał opłaty, przy czym starał się zawsze zaprzęgać jak najwięcej koni, jeśli podróżny jechał własnym ekwipażem, Ale miał jeszcze inny obowiązek natury mniej urzędowej. Powinien był na żądanie podróżnego jak najśpieszniej nastawić samowar i podać go z imbryczkiem i szklankami, albowiem, jak mawiał mój kuzynek Leon Zajączkowski, który jako inspektor ogniowy musiał ciągle rozjeżdżać po kraju —

Zarówno podczas mrozu jak letniego skwaru
Miło jest się herbaty napić z samowaru.

Ten dwuwiersz przypomniał mnie inny, który lubił powtarzać sędziwy pan Roch Ancuta, właściciel Ustronia i Wilczego Błota pod Mirem. Podszedłszy przed zajęciem miejsca przy stole jadalnym do bocznego stolika z wódkami i zakąskami, zanim wychylił kieliszek starej żytniówki, powiadał:

Byłaś w polu, byłaś w gumnie,
Teraz będziesz w gardle u mnie.

A wierszyka tego — mówił nam młokosom — nauczył go jakiś stary szlachcic spod Słucka, który jeszcze pamiętał księcia " Panie Kochanku".

Przy sposobności zaznaczę ad perpetuam rei memoriam, że panie a tym bardziej panny nigdy nie podchodziły do tego bocznego stolika, chyba żeby uszczknąć kawałek piernika albo marynowanego rydza. W ogóle za moich młodzieńczych a nawet dojrzałych lat nie widziałem, aby panie piły wódkę, najwyżej kieliszek wina przy obiedzie lub kolacji, które zresztą w większości domów, zarówno wiejskich jak miejskich, podawano tylko dla gości lub na uroczystościach świątecznych czy rodzinnych.

Przejechałem jeszcze w tych latach wiele dróg końmi po powiecie orszańskim i sieńskim gub. mohylewskiej, odwiedzając w Tołoczynie znakomitego gospodarza Witolda Sławińskiego i przyjaciela mego Karola Świackiego w Bielicy koło Sienna, który gospodarstwo swoje postawił również na wzorowej stopie. Matka jego była wnuczką słynnego portrecisty Walentego Wańkowicza i siostrą Arturowej Bartelsowej, żony dowcipnego satyryka. U siostry jego, p. Marii Ślaskiej, w Trzebcu pod Toruniem widziałem się w końcu września 1920 r. po raz ostatni z Julianem Fałatem i poznałem się z przebywającym w sąsiedniej Nawrze Sczanieckich z mniej głośnym, ale wielce cenionym w Brunświku, gdzie mieszkał przed wojną, malarzem Józefem Wodzińskim.

Poznałem także północną część pow. bobrujskiego, odwiedzając generałostwo Żylińskich w Zawołoczycach, położonych w lesistej okolicy między Słuckiem i Bobrujskiem nad rzeką Ptyczą. Gen. Józef Żyliński zainicjował był już wtedy i kierował z ramienia rządu zakrojonym na szeroką skalę dziełem osuszania błot poleskich, przerwanym w połowie przez pierwszą wojnę.

Nie myślałem, wyjeżdżając w lipcu 1939 r. z Warszawy, że się rozstaję z córkami jego, doktorową Aleksandrową Offenbergową, Zofią Wańkowiczową, 1-o voto Woyniłłowiczową, i Marią Małachowską, zapewne na zawsze, jak z p. Józefową Tyszkiewiczową, fundatorką czytelni i biblioteki dla dzieci i młodzieży, z p. Kazimierą Neronowiczową, 1-o voto Janową Gadomską, wiceprezeską katolickiego Związku Polek, z p. Heleną z Hołyńskich Bispingową, założycielką wielkiej bursy dla dziewcząt, z tylu innymi krewnymi, przyjaciółmi i kolegami z Kasy Literackiej, Zrzeszenia Sędziów i Prokuratorów, Macierzy Szkolnej, o których nie wiem nawet, czy wszyscy żyją.

Nie wiem, co się dzieje z najmłodszym siostrzeńcem mojej żony

Adamem Wasiutyńskim, który mieszkał ze mną po jej śmierci, i wieloletnim sekretarzem Kazimierzem Błażewiczem.

Błażewicz, samouk ale bardzo oczytany, był najprzód zecerem w " Kurierze Warszawskim", potem dysponentem w drukarni Szyllera, w ostatnich latach sekretarzem w biurze Kasy Literackiej. Gorący patriota, narażał się wielokrotnie za Rosjan, drukując i rozpowszechniając " Polaka". Wydał na swoje ryzyko w r. 1933 zbiorek moich żartobliwych parodii wierszowanych (" Z księgi gołych ") i opracował stronę graficzną antologii moich poezji (" Wybór wierszy z lat wielu 1886-1936 "). Jedyny egzemplarz tej antologii w Anglii, który był u mego syna Antoniego w Londynie, znajduje się teraz u mnie. Przy zbombardowaniu jego domu ocalał z niewielką częścią innych książek.

Najeździłem się w owych czasach sporo i kolejami i drogami kołowymi po wschodnich dzielnicach Rzeczypospolitej, bom siegnął jeszcze na Żmudź i na Wołyń, aż do Ostroga, Równego i Krzemieńca, lecz nie przekraczając nigdy jej dawnych najdalszych granic, bo takie było życzenie mego ojca a nawet zlecenie w testamencie. Z tego powodu po skończeniu gimnazjum zaniechałem zamiaru wstąpienia na fakultet języków wschodnich w Petersburgu, nie odwiedziłem nigdy tego miasta, pomimo zaproszeń mieszkających tam krewnych, i w r. 1915 nie udałem się do Rosji, choć mnie Zygmunt Wielopolski wzywał do jakiegoś polskiego komitetu.

ZAJAZDY I KARCZMY

Na gościńcach pocztowych i jeszcze bardziej na drogach bocznych, niepoślednią rolę, zwłaszcza aż do wprowadzenia przez ministra Wittego w 1896 r. monopolu skarbowego handlu spirytualiami, odgrywały karczmy nie tylko dla pobliskiej ludności okolicznej, jako dostarczycielki wódki, miejsca drobniejszych obrotów handlowych i zgromadzeń towarzyskich, ale i dla popasów i noclegów przejezdnych. Słusznie przyrównał je Mickiewicz do korabi, bo istotnie i kształtami i objętością przypominały arkę Noego, zwłaszcza główna część każdej z nich, zwana " stodołą", w której obok wehikułów i koni gromadziły się w miękkim błotku różnego rodzaju " żywioły " od krów do kurcząt i kacząt; najdrobniejsze insekta wolały, niestety, izby przeznaczone dla ludzi.

Karczmy te bywały trzech typów. Najwspanialszy, miasteczkowy, mający już pretensje nazywania się zajazdem, miał od frontu szeroką bramę wjazdową, prowadzącą do położonej w głębi stodoły. Z obu jej stron były skrzydła mieszkaniowe, po jednej — izba szynkowa i sypialnie gospodarzy, po drugiej — " numera " dla gości. W miasteczkach zajazdy te rozróżniano według nazwisk właścicieli. Na ogół, o ile w Warszawie i Królestwie hotele od dawna nosiły nazwy przeważnie "geograficzne", o tyle na wschodzie Polski, nawet w Wilnie i Grodnie (hotele Niszkowskiego,

Gana, Sokołowskiego, Romera), bardzo długo nazwiska swych właścicieli lub założycieli. Nie zdarzyło mi się jednak nigdy spotkać nazwy, powołującej się na jakieś zwierzę, co teraz jeszcze wciąż widuję po miasteczkach angielskich: " Pod Czerwoną Krową " albo " Pod Czarnym Lwem " i t.d.

W drugim typie, najpośledniejszym, stodoła z bramą od frontu stała przy samej drodze, a część mieszkalna, znacznie szczuplejsza, przylegała do niej z boku.

W trzecim typie, możliwym dla popasywania a z biedy i dla przenocowania na zapożyczonym ze stodoły sianie, przykrytym własną derką, część " ludzka", rozdzielona sienią na dwie połowy, z gankiem na słupkach po środku, zajmowała całą długość frontu od drogi, stodoła zaś tej samej długości z dwiema na przestrzał bramami przylegała do niej od tyłu.

Tego właśnie typu była karczma zajezdna, z którą od dzieciństwa łączyły mnie stałe i zawsze miłe wspomnienia, odnawiane każdego niemal lata. Stała ona pośród gęstego lasu przy trakcie z Nowogródka do Stołowicz (teraz szosa do Baranowicz). Po drugiej stronie traktu o jakie kilkaset kroków poprzez sosny i dęby przeświecała srebrno-błękitnawa tafla Świtezi. Niezliczone razy z odległych o 15 km Sienieżyc bywałem na jej brzegach w różnych porach dnia i nocy, często zaskoczony przez nawałnice, grożące rozwaleniem starej karczmy. Bywałem sam i w wesołym gronie towarzyskim.

Karczmę od przyległego folwarku Miratycze trzymał dzierżawca Abram także nieskończoną liczbę lat; kiedy go poznałem, miał czarną, a ostatni raz w r. 1915 białą jak śnieg brodę.

POŻEGNANIE ŚWITEZI

Rzadko która rada poety osiągnęła taki posłuch, jak mickiewiczowska:

Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać swe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

To też przejeżdżający zatrzymywali się stale, a mnóstwo przyjeżdżało umyślnie.

Nawet car Mikołaj wiosną 1915 r. zrobił tu wycieczkę z Baranowicz i — jak mi mówiono — popatrzywszy na okolone lasem jezioro, wyrzekł:

— Żiwopisno (malowniczo).

Cudzoziemcy, którzy przyjeżdżali do mego syna i jego żony do Sienieżyc, oceniali szczerze dziwny urok tego jeziora, wywoływany nie jego pięknością, bo przecież jest mnóstwo bez porównania piękniej położonych,

lecz nieprawdopodobnie prawidłową i dającą się w całości objąć wzrokiem mimo obszaru — jego symetryczną kolistością w pierścieniu lasów, żywą grą kolorów i świateł, oraz fantastycznością podnoszących się, zwłaszcza po deszczu lub pod wieczór, oparów. Wśród tych gości przyjeżdżali najprzód koledzy syna z prezydium Międzynarodowej Konfederacji Studentów (C.I.E.) — Butler z żoną, obecnie angielski minister oświaty, pierwszy członek brytyjskiego parlamentu, który zwiedził tamte strony; MacAdam, sekretarz generalny Królewskiego Instytutu Międzynarodowego Chatham; Szwed Ralf Sulman; Belg Marek van Laar; a później w różnych latach attaché wojskowy angielski płk. Sword; Jacques Maritain z ojcem Charles Lavaud; ks. Charles Journet, autor cennej książki o Polsce "La voie de Pologne"; ambasador Tadeusz Romer; Miss Eleonora Wilkins i in.

A podczas moich wakacji w Sienieżycach w r. 1939, jakby na ostatnie oglądanie i pożegnanie tamtych stron, przyjeżdżali, spędzając zawsze parę godzin nad jeziorem, z cudzoziemców: poseł duński Scou z żoną i synem; prof. A. R. Coleman z uniwersytetu Columbia (U.S.), prof. L. M. Fraser z Aberdeen, a z Polaków z dalszych stron: ks. biskup Kazimierz Bukraba, ks. Jacek Woroniecki, Witoldostwo Czerwińscy i Kazimierzostwo Wierzyńscy, prof. Wincenty Lutosławski, Adamostwo Żółtowscy (ona — Janina Puttkamerówna z domu, prawnuczka Maryli), matka p. Żółtowskiej Zofia z Kieniewiczów Wawrzyńcowa Puttkamerowa, Krystyna Landauówna z Warszawy i brat ambasadora Henryk Skirmuntt z Pińszczyzny.

Wielkim admiratorem Świtezi, choć pochodził z dzielnicy bogatej w jeziora, był ks. Franciszek Napierała, proboszcz z Gniezna. Zaprzyjaźnił się z rodzicami mojej synowej Janowej, Karolem i Zofią z Łęskich Niezabytowskimi, kiedy zmuszeni do opuszczenia swego majątku Bacewicze nad Berezyną w pow. bobrujskim, zamieszkali koło Gniezna, dopóki on nie został ministrem rolnictwa.

Na miejscu spalonej w r. 1916 tak pamiętnej mi starej karczmy stanął staraniem Tow. Turystycznego i Krajoznawczego dworek, naśladujący historyczny dom w Mereczowszczyźnie, w którym się urodzil Tadeusz Kościuszko, z nieźle zaopatrzoną restauracyjką i paru pokojami gościnnymi. Stał się on jakby centralnym punktem "szlaku mickiewiczowskiego", tym bardziej że oddalony o parę kilometrów Czombrów, najwięcej przypominał dwór soplicowski według opisu w "Panu Tadeuszu".

Wiem, że wielu sąsiadujących z tym szlakiem, jak właściciele Czombrowa pp. Karolostwo Karpowiczowie, gorliwi działacze ludowi, Adolf Brzozowski z Izabelina, Karol Becker z Horodziłówki Kiersnowskich pod samym Nowogródkiem, już przed zimą 1940 r. utracili życie, a bardzo wielu innych, nawet z wiosek i zaścianków, wygnano daleko, skąd już powrót bywa nader rzadki.

Wspomnienia z tych dawnych wędrówek po kraju uniosły mnie na

razie na wschód, ale pęd wspomnień bywa niekiedy tak przemocny, że się nie da powstrzymać czy skierować siłą woli.

Powracam znowu do równie mi drogiej, jak strony rodzinne, Warszawy.

DWORCE — HOTELE

Istniały powówczas w Warszawie tylko cztery dworce : dwa z lewej strony Wisły : najstarszy — Wiedeński przy zbiegu Marszałkowskiej z al. Jerozolimskimi, stanowiący początek linii do Wiednia, rozwidlającej się w Skierniewicach na Toruń, Bydgoszcz i Berlin, oraz zbudowany w r. 1877 Nadwiślański (teraz Gdański), skąd rozchodziły się drogi do Mławy i przez Lublin do Kowla. Ten od samego początku był niezmiernie lichy i źle utrzymany, a most na Wiśle przy samej Cytadeli tak trzęsący się i niepewny, że wiele osób — a między innymi p. Jędrzejewicz, siostrzeniec rodzony czy też cioteczny Chopina, który w dzieciństwie był świadkiem wyrzucenia jego fortepianu przez kozaków z II piętra domu Andrzeja Zamoyskiego po zamachu na namiestnika Berga — zawsze most ten omijało i wolało jeździć dorożką aż do odległego przystanku na Pradze. Po wykupieniu kolei Nadwiślańskiej przez rząd zbudowano w pobliżu drugi most bardziej solidny.

Na Pradze były dwa dworce : Petersburski, dziś Wileński, i Terespolski, dziś Wschodni. Od tego dworca biegła półkolem przez Wolę aż do Wiedeńskiego linia zwana Obwodową, przez pasażerów mało używana.

Dorożek, oczekujących przed dworcami na przyjezdnych, nigdy prawie nie brakło, a wiele hoteli wysyłało na główne pociągi swoje omnibusy, do których donośnym głosem zapraszali stojący rzędem u wyjścia szwajcarzy, podejmując się oczywiście także odebrania bagażu.

Lepsze hotele coraz częściej przesuwały się do nowego centrum miasta, ku południowi. Hotele Niemiecki, Polski i Drezdeński na Długiej, Krakowski i Paryski na Bielańskiej, wychodziły z mody. Trzymał się wciąż hotel Angielski z pokojem Napoleona, przerobionym zdaje się na sklep, i Saski, składający się z kilku jednopiętrowych pawilonów, choć niezbyt wykwintny ale stale lubiany przez " szlagonów " dzięki ciszy na ul. Koziej i minimalnej potrzebie chodzenia po schodach. Hotel ten poniekąd zasłużył się sztuce polskiej, bo należał do rodziny Reszków, która właśnie w owym czasie wydała w tym samym pokoleniu trójkę światowej sławy śpiewaków : braci Jana i Edwarda i siostrę Józefinę, która po wyjściu za mąż za Leopolda Kronenberga syna, opuściła scenę.

W tym czasie podniósł się nabyty od rodziny Wiemanów przez Aleksandra Bocqueta, który wiele lat prowadził t. zw. handelek w gmachu teatrów na rogu Wierzbowej, hotel Rzymski na rogu Trębackiej i Nowo-Senatorskiej (Focha).

Na pl. Zielonym (Dąbrowskiego) stały naprzeciwko siebie dwa

mniejsze hotele, dość ruchliwy Victoria przy Jasnej i bardziej zaciszny przy Rysiej — Maringe'a. Ten przez kilkanaście lat należał do rodzeństwa Antoniego i Anieli Żwanów, którzy z racji swej sympatii do Francji nazwali go Francuskim. On, zmarły w bardzo podeszłym wieku na dwa lata przed obecną wojną, był jednym z nader rzadkich Polaków, bo ojciec jego urodził się przed upadkiem państwa polskiego w r. 1795, a on sam dożył odzyskania niepodległości. Nader miły w obejściu, uczynny i ruchliwy, cieszył się popularnością w sferach towarzyskich, propagując z entuzjazmem przyjaźń i sojusz z Francją. Siostra jego, którą pożegnałem w Warszawie w r. 1939, zgodnie z wolą brata zapisała cały fundusz (dom przy ul. Świętokrzyskiej 18, zbiór antyków i kapitały) ojcom misjonarzom od św. Krzyża w Warszawie, obciążając zapis legatami na stypendium coroczne dla oficera polskiego, kończącego studia w Saint-Cyr, i na nagrodę mającą być wypłacaną co trzy lata z decyzji komitetu warszawskiej Kasy Literackiej za najlepszą książkę związaną z naszą wojskowością, wydaną w ciągu danego trzechlecia.

Byłem redaktorem tego testamentu i dowiedziałem się ubocznie, że wraz z paru bliższymi przyjaciółmi mieliśmy dostać po kilkanaście butelek wina ze żwanowskiej piwnicy. A trzeba wiedzieć, iż on, jako " stuprocentowy " frankofil jeszcze od czasów Napoleona III, miał pewien zapas Ermitage'u, sprowadzony za czasów, gdy winnica ta nie była zniszczona przez filokserę, oraz — Château-Laffitte " retour des Indes ", nazywany tak po odbyciu podróży z Bordeaux do Pondichéry naokoło Afryki i z powrotem. Ta wędrówka morska, i to jeszcze żaglowcem, miała mu nadawać smak i " bukiet " przedziwny, podobnie jak herbacie chińskiej — powolny przewóz drogą lądową przez Kiachtę do Europy. To też tylko ta herbata, zwana karawanową, była ceniona i lubiana w Rosji i w Polsce, a cejlońska i w ogóle przewożona morzem uchodziła za niesmaczną. Prawdziwi amatorzy herbaty — mój ojciec do nich należał — nie pijali herbaty z filiżanek, lecz ze szklanek; używanie filiżanek do herbaty uważano za taką samą zbrodnię jak podanie poobiedniej czarnej kawy w szklankach. Mleko lub śmietankę dolewano do herbaty wyłącznie dzieciom w celu zwiększenia jej pożywności, dorośli zaś co najwyżej wkładali do szklanki płatek cytryny, a w Rosji podobno suche konfitury.

Handlem hurtowym herbaty karawanowej w Warszawie zajmowali się wówczas kupcy moskiewscy, najpierw Istomin, który zrobił sobie na nim niezłą fortunkę i postawił dwie kamienice w al. Jerozolimskich, między Nowym Światem i Bracką, a później Szumilin, któremu przybyło już więcej konkurentów, a wśród nich niejaki Popow.

Wktótce po przeprowadzeniu ul. Kotzebuego (potem Fredry) p. Zabłocki zbudował wprost ogrodu Saskiego koło ul. Niecałej (potem Króla Alberta) hotel Brühlowski, a jakieś konsorcjum urządziło t. zw. " terminus " na Marszałkowskiej wprost dworca pod nazwą hotelu Wiedeńskiego. Był on ponury i długo nie miał dobrej marki, zwłaszcza gdy w niedługich po sobie odstępach czasu zaszły tam, z niewyjaśnionych

przyczyn, samobójstwa czy zabójstwa dwóch znanych prawników: Alojzego Wierzchlejskiego i Franciszka Szymanowskiego, który był profesorem prawa finansowego na uniwersytecie.

Ale prym trzymał już hotel Europejski z piękną owalną salą balową nad cukiernią Lourse'a, która wtedy zajmowała róg od strony " komendantury miasta ", lecz nawet po pierwszym przebudowaniu nie było w nim t. zw. hallu i musiano od razu wchodzić na schody i korytarz, a szwajcar, ta " persona główna " w późniejszych hotelach, gnieździł się w ciasnym pomieszczeniu. Wydawał on klucze do pokojów i udzielał informacji, lecz tylko ściśle związanych z hotelem i z potrzebami gości w jego obrębie.

Pokoje były na ogół wszędzie dość drogie; przez wiele lat rzeba było osobno dopłacać za zapalenie w piecu 30 kop. O wodzie bieżącej — cóż dopiero gorącej! — nikomu się nie śniło; wodę gorącą służba przynosiła na specjalne żądanie w dzbankach.

Łazienek było bardzo skąpo, nawet w Europejskim tylko po dwie na piętro, przy czym kąpiel trzeba było zawczasu zamawiać i bodaj coś dopłacać. Dlatego też i z racji, że tylko w większych lokalach nowych domów były własne łazienki, przybyło łazienek publicznych. Oprócz wielkich t. zw. " Akcyjnych " na Nowym Zjeździe i starych, okropnych, u spadku ul. Bednarskiej, będących podobno jeszcze pozostałością po " Kasztelankach " z końca XVIII w., powstało kilka porządnych łazienek z łaźniami rzymskimi, jak Fajansa na Krakowskiem, " Diana " na Chmielnej, na Książęcej, Przejeździe i in.

Zaczęto już powszechnie urządzać dzwonki elektryczne zamiast dawnych pociąganych za sznurek, który trzeba było szarpać bez miłosierdzia, żeby być pewnym, czy wzywany je usłyszy.

Rano za porcję kawy ze świeżym pieczywem i masłem, przynoszoną do numeru, pobierano drożej niż w cukierniach; w hotelu Europejskim po 50 kop, w innych mniej.

Przy wyjeździe, jak zresztą na całym świecie, zjawiał się szereg kłaniających się mile osobistości obu płci, których się podczas pobytu prawie nie widziało, ale napiwki na ogół nie były wtedy jeszcze zbyt wielkie.

Tak rozpowszechnionych w ostatnich czasach pensjonatów z całym utrzymaniem nie było; istniały tylko znacznie tańsze od hoteli pokoje umeblowane z możnością otrzymywania rannej herbaty (" chambres garnies "). Wspomnę o " pokojach " przy ul. Chmielnej nr 3, ze względu na ich pierwszego właściciela. Był nim Seweryn Smolikowski, który w młodości wydał kilka rozpraw filozoficznych, a m. in. dość chwaloną przez prof. Struwego o pozytywiźmie Comte'a. Potem zdziwaczał i żył jak odludek wśród swoich książek. W r. 1927 czy 1928 zamordowali go bandyci, którzy w celach rabunkowych wdarli się nocą przez okno do jego parterowego mieszkania od frontu w tym samym hotelu.

Starszy brat Seweryna Smolikowskiego, Paweł, wstąpił do polskiego

zakonu ojców zmartwychwstańców, był czas jakiś przełożonym domu w Adrianopolu a później superiorem w Rzymie.

RESTAURACJE

Każdy hotel miał własną restaurację (puryści chcieli je koniecznie nazywać jadłodajniami), odpowiadającą swą klasą, wykwintem i cenami klasie hotelu. Najszykowniejsza była w hotelu Europejskim, którą wiele lat prowadził Boucquerel. Dobre były : Lieferta w Brühlowskim; Constantine'a w Angielskim, w lokalu gdzie dawniej mieścił się opisywany przez Józefa Korzeniowskiego i Augusta Wilkońskiego kuchmistrz francuski Mary; Bocqueta w Rzymskim; " Pod Bachusem " w Wiedeńskim. Najwięcej uczęszczano do znajdujących się w pobliżu pl. Teatralnego, a za linią al. Jerozolimskich żadna lepsza nie mogła się utrzymać.

Dobry obiad czteropotrawowy bez kawy czarnej kosztował rubla u Boucquerela, kolacja dwupotrawowa już z czarną kawą w Brühlowskim — 75 kop. Za kieliszek " czystej," t. j. zwykłej wódki krajowej, brano 15 kop, a odbijano się na winach zagranicznych, likierach i koniakach.

Z restauracji pozahotelowych, już na ogół skromniejszych, godzi się wymienić Wróbla na Mazowieckiej (ogromne półkurczęcia po polsku, suto nadziewane — 40 kop) i Reinera, który był znany z tego, że w ogłoszeniach swoich stale pisał : " Z uszanowaniem Reiner ". Przeniósł się on z Chmielnej, ustępując miejsca teatrzykowi letniemu " Bellevue " (później kabaret " Aquarium ", a w ostatnich czasach kino), do nowej kamienicy na rogu al. Jerozolimskich i Nowego Świata, gdzie obecnie " Gastronomia ".

On pierwszy umieścił w swojej sali mechaniczny orkiestrion do przygrywania jedzącym. Zdaje mi się, że ten gust do słuchania muzyki podczas jedzenia przyszedł ze wschodu, w każdym razie zapanował u nas powszechnie dopiero po pierwszej wojnie i połączył się z tańczeniem między potrawami dla "przetrząsania kiszek", choć zdania co do higieniczności takiego " przetrząsania " są podzielone. Jeszcze foxtrot i tango są spokojniejsze, ale nie mogę zapomnieć, jak w czerwcu 1920 r. we wspaniałym " Café de Paris " na Avenue de l'Opéra, pary, między langustą i pulardą, wysuwały się z za stolików i wywijały ogniste meksykańskie tańce. Co prawda były one suto podsycane szampanem. Ale w Karlovych Varach (Karlsbadzie) już od 10-ej rano, po Sprudlu i Mühlbrunnie, we wszystkich kawiarniach na świeżym powietrzu rąbano zawzięcie rumbę i charlestona.

Z drugorzędnych restauracyjek przypomnę jeszcze Brajbisza i Czuleńską na Wierzbowej. U niej jadali czas jakiś literaci ze " Słowa," niekiedy nawet Sienkiewicz. Raz po wakacjach, gdy Kazimierz Zalewski i rywal

jego, Edward Lubowski, zacny ale dziecinnie próżny, powrócili do Warszawy mniej więcej w tym samym czasie, figlarz Antoni Zaleski, którego koledzy redakcyjni zwali " Antałkiem," na obiad do Czuleńskiej, gdzie miał być Lubowski, przyniósł specjalny numer " Słowa " z notatką w rubryce " Osobiste " o powrocie do Warszawy znakomitego komediopisarza Zalewskiego, a bez żadnej wzmianki o powrocie Lubowskiego. Lubowski strasznie się zirytował i chciał zerwać stosunki z redakcją " Słowa." Ledwie go uspokojono, pokazując istotny, nie spreparowany umyślnie numer gazety, w której kochany Lubosio figurował na równi ze swym rywalem.

RestauraIje " Herkulanum " na Bednarskiej i " Alkazar " przy tetrze Nowym na Królewskiej dzierżył imćpan Wysocki, słynny z sycenia miodów, którego podobno nauczył go nasz nieporównany komik operetkowy Rufin Morozowicz. Protegował on, jak pasztetnik z " Cyrano de Bergerac", młodych wierszokletów i w wielu pismach dawał stale zamawiane u nich wierszaowane ody i peany o zaletach swego staropolskiego miodu i swoich zakładów gastronomicznych.

Drugim, ufającym podobnież w przyciągającą moc sztuki w ogłoszeniach, był krawiec Miniewski, który po kalendarzykach i ilustracyjkach umieszczał rysunek z wysmukłym młodzieńcem w obcisłym fraku i z cienką w talii, jak osa, uroczą damą — a pod nimi tekst dialogu :

ONA : Pański szyk podziwia cała arystokratyczna sfera.
ON : Nic dziwnego, baronowo, bo Miniewski mnie ubiera.

Ale nie brakło w mieście rozmaitych tanich garkuchni. Niektóre wydawały w niedziele i czwartki " flaki garnuszkowe " po 18 gr i bułka za 2 gr. Zaszkodził nieco ich reputacji rysunek Franciszka Kostrzewskiego w " Kurierze Świątecznym". Konsument ze słowami oburzenia wyciąga z garnuszka kawał płóciennego gałganka, a służący w pomiętym fraku, z brudnym gorsem i rozczochraną czupryną, ale z pyszną miną chytrego łobuza, replikuje ironicznie: " Cóż to? Czyby pan chciał mieć za 18 gr aksamit?".

Jadłospisy (menu) zawsze układano po francusku; niekiedy figurowały na nich w pisowni polskiej: turnedo, wolowan i t.p.

HANDLE WIN I DELIKATESÓW

Istniejące pod tą nazwą — zwane w pierwszej połowie XIX w. " handlami win i korzeni " — niektóre sklepy, które właściwie prowadziły pierwotnie tylko sprzedaż gorących napojów, towarów kolonialnych i oraz różnych smakołyków morskich i zamorskich, urządzały ciasnawe gabinety do picia i jedzenia nawet potraw mięsnych na miejscu. Stały się one z czasem rodzajem małych restauracji, ale bez prawa używania nakryć, serwet i obrusów, które zastępowano bibułkami. Podawano tam na

porcje, a że były bardzo duże, goście zamawiali zwykle " półporcje " . . . Dzięki nieraz wybornej kuchni, mniejszych cen za spirytualia i zakąski, daleko większej bezceremonialności, swobodzie w ruchach i gawędzie — były one bardzo popularne. Nie usługiwali tam garsoni, lecz młodzi chłopcy, kandydaci na przyszłych subiektów handlowych, którym nie uchodziło przyjmować napiwków. Te handelki średniej klasy i ich bywalców radców i emerytów, politykujących przy piwie, opisał Prus w " Lalce". Z piw krajowych, ustepujących, niemieckim i nawet ryskiemu " Waldschlösschen", wyróżniały się pochodzące z browarów warszawskich Lenckiego, Machlejda, Junga, a później Haberbuscha, najlepsze jednak było " Drozdowskie", w długich cienkich butelkach, z browaru należącego do rodziny Lutosławskich w Drozdowie w łomżyńskim. Ale niegdyś i w okolicach Warszawy wyrabiano bardzo dobre piwo. Deotyma wyczytała gdzieś, że w końcu XVII w., gdy jeden z byłych nuncjuszów w Polsce, już jako kardynał umierał w Rzymie, powtarzał w malignie nazwę swego ulubionego piwa wareckiego, wyrabianego w Warce nad Pilicą. Otoczenie, myśląc że to jest jakiś specjalnie wzywany przez chorego święty, modliło się głośno :

— Sancte Pivo de Warka, ora pro eo!

Na czele wszystkich tej kategorii handelków stał wówczas i przez wiele lat Stępkowski na pl. Teatralnym, gdzie obecnie " Oaza". Zajmował on takie stanowisko, jak słynny Hawełka w Krakowie.

Kraków po raz pierwszy zwiedziłem w r. 1888. Wracałem wtedy z Wenecji, dokąd pojechałem dla załatwienia sprawy domu ciotki mojej Teresy Jundziłłowej na Canale Grande przy kościele San Girolamo koło dworca (przeszedł on później do mego syna Stanisława) oraz jej interesów pieniężnych z sędziwą panią Świętorzecką z Mińszczyzny, właścicielką dwóch pałacyków naprzeciwko kościoła Santa Maria della Salute. Wyemigrowała ona z kraju do syna Bolesława, powstańca z r. 1863, skazanego na śmierć, i była babką słynnej ze swej urody i dziwactw Zofii Konstantowej Prozorowej.

Spacerując w zachwycie po cudownym rynku krakowskim ze znajomym krakowianinem, zastanawialiśmy się, dokąd pójść na wczesny obiad.

— Możemy pójść do Hawełki względnie do Wencla, — powiedział, — ale odnośnie piwa, u Hawełki lepsze.

Hawełka nie zawiódł, lecz od tej chwili postanowiłem walczyć z owymi " względnie " i " odnośnie " na każdym udeptanym czy nie udeptanym polu. Znalazłem w tym gorącego sojusznika w osobie profesora uniwersytetu warszawskiego Eugeniusza Jarry.

W komisji prawniczej pierwszego senatu tworzyliśmy ze Stanisławem Nowodworskim i Stanisławem Posnerem podkomisję poprawności języka. Raz w pewnej krótszej ustawie sejmowej zmieniliśmy jedynie te " względnie " i " odnośnie " na właściwe wyrażenia, na co — o ile pamiętam — sejm się zgodził. Nie poszło nam tak gładko z wyrazem "zaistnieć", które nie chce "odistnieć " w naszym słownictwie.

U Stępka w karnawale złota młodzież siadywyła nieraz od godz. 2 pp. do godz. 2 w nocy, zapominając o zaprosinach na bale. Pewnego razu w jakiejś podobnej gromadce zażądano już dobrze po północy najlepszego wina, notowanego w cenniku bodaj że po 400 rb za gąsiorek. W przysłanym nazajutrz rachunku policzono za wino to tylko 40 rb, a zainterpelowany Stępkowski odpowiedział, iż zanadto ceni i rzadkie wino i gości, by przy trochę zmęczonym stanie ich podniebienia dawać im taki nektar.

Podobno książę Walii, późniejszy król Edward VII, odwiedzając incognito Stanisława Potockiego, nie mógł się nadziwić plum-puddingowi Stepkowskiego, a i chłodnik jego w niczym chyba nie ustępował "chołodźcowi" pana wojskiego w Soplicowie. Jednych tylko kołdunów nigdzie w Warszawie nie umiano właściwie przyrządzić; zawsze bywały zbyt "pierożkowate". Nawet kucharka mojej żony, Felcia, specjalnie w tym kierunku uczona i umiejąca zrobić wyborne postne pierożki z lina, przy kołdunach w czymś chybiała. Tu wspomnę o nie zrozumiałej dla mnie niechęci w Królestwie do ogórków z miodem; uważano je za niestrawne, a przecież było to chyba świetne połączenie całego alfabetu witamin, przy tym smaczne i orzeźwiające, zwłaszcza owe drobne polne ogórki, rozcinane na pół i wydrążane łyżeczką, ze złocistym lipcowym miodem.

Do bardziej wziętych handelków-restauracji należał jeszcze Miller, następca Bocqueta na rogu Wierzbowej w gmachu teatralnym, Krzymiński na Trębackiej i Lijewski, kochany Lij, naprzeciwko kościoła św. Krzyża, od wielu lat ulubione miejsce zwłaszcza na kolacje braci artystycznej, literackiej, no i profesorskiej, ze Smoleńskim, imponującym swą czarną brodą, i z Ignacym Chrzanowskim na czele. Chodziliśmy tam w następnych latach po posiedzeniach komitetu Kasy Literackiej z Nowego Światu 41, a po zarządzie Tow. Literatów i Dziennikarzy z Brackiej 5 do bliższego "Bachusa" pomino jego ornamentacji w staroniemieckim stylu.

U Lijewskiego rozegrał się słynny dramat. Pewnego wieczoru rzeźbiarz Ksawery Dunikowski zastrzelił malarza Wacława Pawliszaka. Sąd uniewinnił Dunikowskiego, jako sprowokowanego obelgami i napaścią, i — o ile pamiętam — skazał go tylko na dwa miesiące aresztu za noszenie broni palnej bez pozwolenia.

Aczkolwiek stary Horacy głosił, iż "irritabile est genus vatum", jednakże u nas w owych czasach zajść między nimi, zwłaszcza krwawych, bywało na szczęście niewiele. Pamiętam jeszcze, że Władysław Buchner, redaktor humorystycznej i dość ciętej "Muchy", również w obronie własnej zastrzelił drugorzędnego komediopisarza Grajnerta (zdaje się, Józefa) który wtargnął do jego gabinetu z ogromną pałką, żeby się zemścić za wierszyk z drwinami o jego ostatniej sztuce. Naturalnie Buchnera uniewinniono.

Ale byłbym ubliżył carskiej cenzurze, gdybym nie wspomniał o handelku Arkuszewskiego na rogu Miodowej i Kapitulnej. Schodzili się tam na śniadania sądownicy niższego kalibru i młodsi palestranci, lecz

był jeden pokój zarezerwowany dla cenzorów z pobliskiego lokalu komitetu cenzury w prawym skrzydle pałacu arcybiskupiego.

Mieczysław Frenkiel nucił niekiedy przy dobrym reńskim winie na kolacjach u Józefa Wolffa, redaktora " Tygodnika " Illustrowanego, arię, naśladowaną z operetki Offenbacha " Orfeusz w piekle " : " Gdym ja Beocji władał krajem . . ." :

Gdy ja w Warszawie byl cenzorem,
Jak blin w śmietanie żylem ja,
Codziennie z innym redaktorem
Ja pił i kuszał, co się da.
U Arkuszewskawo na rogu
Ja wszystko miał, co dusza chce,
Czlowiek pozdrawial mnie na progu
I " panie radco " mówił mnie.

Człowiekiem nazywali Moskale każdego posługacza tak na niego wołali. " Kuszat' " znaczy jeść.

Do tych handelków panie nie chodziły nigdy nawet z mężami, byłoby to bardzo źle widziane. Zupełnie samym bez towarzysza lub towarzyszki nie wypadało im chodzić do restauracji, chyba wyjątkowo do hotelowej, gdy były w podróży, jak również po południu i wieczorem do cukierni. W niektórych cukierniach przeznaczano specjalne pokoje dla pań, ale siadywać w nich bywało jeszcze bardziej kompromitujące, nazywano bowiem siedzące tam samotnice — " solistkami, szukającymi akompaniamentu".

Pod koniec opisywanego okresu, wraz ze wzrostem ludności i zamożności powiększały się datki i ofiary na cele miłosierne, a więc i na tanie kuchnie, które pod egidą Tow. Dobroczynności i sióstr miłosierdzia rozwijały się i mnożyły, wydając bardzo tanie, niezłe obiady, codzień z wyjątkiem dni postnych z jednym daniem mięsnym. W tym czasie otwarto pierwszy dom noclegowy, zdaje się na Lesznie, gdzie za 3 kop można było przenocować i rano otrzymać talerz zupy, zwanej rumfordzką, z kromką pysznego chleba razowego. Rozwożone po przedmieściach i dzielnicach fabrycznych kuchnie ruchome z gorącymi zupami, nazywane przez ludność " trąbizupki", bo sygnalizowały swój przyjazd trąbieniem, powstały w początkach b.w. z inicjatywy ks. Chełmickiego.

Pomoc dla uboższej ludności żydowskiej organizował przezes gminy Mathias Berson, ojciec pp. Salomonowej Lewentalowej i Aleksandrowej Krausharowej. Wydał on opracowany przez siebie zbiór ustaw średniowiecznych książąt mazowieckich, dotyczących ludności żydowskiej.

MOJE OBIADY KAWALERSKIE — PIERWSZY TOAST

Po skończeniu uniwersytetu i osiedleniu się na stałe w Warszawie,

stołowałem się w domach prywatnych, najpierw przez dwa czy trzy lata u p. Wierzbickiej, siostry żony Jakóba Gieysztora z Ignacpola na Żmudzi, członka wraz z Aleksandrem Oskierką rządu narodowego w Wilnie w r. 1863.

Po powrocie z Syberii założył on antykwariat druków w al. Jerozolimskich, utrzymując stałe stosunki z Tomaszem Teodorem Jeżem i zagranicznym ruchem wszechpolskim.

Na tych obiadach spotykałem się codzień z trzema przyjaciółmi: malarzem ze szkoły monachijskiej Romanem Szwoynickim, Leonem Buttowt-Andrzeykowiczem i Czesławem Gąssowskim.

Szwoynicki z Rad pod Krakinowem, z serca słynnej Laudy, sam wyglądał tęgo i barczyście, jak jakiś Butrym czy Domaszewicz, W 17-ym roku życia poszedł do powstania i oparł się aż w Tobolsku pod ferułę gubernatora Polaka Despot-Zenowicza, który publicznie gromił zesłanych rodaków a potajemnie, jak mógł, im dopomagał i ułatwiał życie.

Najstarszy syn Romana Kazimierz, u którego spędziłem we wrześniu 1939 r. w Kownie dwie noce, był wówczas redaktorem kowieńskiego " Dnia Polskiego". Co się stało z nim i jego rodziną — nie wiem.

Andrzeykowicz odziedziczył, wraz z bratem Michałem po matce, jedynej córce Benningsena, generał-gubernatora wileńskiego przed r. 1812, zabójcy wraz z Pahlenem cara Pawła I, alodialny majątek Banteln pod Hanowerem z dużym młynem. Przeszedł on później na jedyną jego synowicę, córkę Michała, Jadwigę Mackiewiczową. Feudalne dobra przeszły do bocznej linii Benningsenów.

Słyszeli tam od miejscowej starej służby, że zaledwie stary feldmarszałek zamknął powieki, zjawił się czyhający na to konsul rosyjski z władzami hanowerskimi i niezwłocznie zabrał wszystkie papiery i dokumenty.

Gąssowski z grodzieńszczyzny, ożeniony później z Celiną Zielińską, córką zasłużonego dyrektora gimnazjum piotrkowskiego i siostrą dr. Józefa Zielińskiego, który po zajściu z Apuchtinem emigrował do Paryża i tym przez wiele lat ordynował, administrował domami kilku swych bliższych ziomków, a z czasem i moim. Prowadził także niektóre interesy majątkowe Sienkiewicza, który go bardzo lubił.

Dzięki niemu, w historycznym dniu pochodu narodowego 5 listopada 1905 r., dostaliśmy się do wolnego mieszkania na pierwszym piętrze jednego z tych domów w al. Ujazdowskich, prawie wprost Wilczej. Stanęliśmy na balkonie Sienkiewicz, Lewicki, Gąssowski i ja, a za nami p. Gąssowska i moja żona, szlochające ze wzruszenia, oraz mój dziesięcioletni syn Józio z koleżką Antosiem Budnym.

Pochód ciągnął się, jak nie kończący się wąż, spod pomnika Mickiewicza. Przed pochodem niesiono krzyż, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i sztandar z Białym Orłem. Na czele szli Libicki, Aleksander Zawadzki z rozłożystą siwiejącą brodą i ks. Marceli Godlewski, proboszcz od Wszystkich Świętych. Przed balkonem, gdzie stał Sienkiewicz,

pochód zatrzymał się, a on wypowiedział kilkanaście podniosłych zdań, które Lewicki tubalnym głosem byłego parlamentarzysty wiedeńskiego powtórzył. Takiego pochodu nie było w Warszawie od owego " z pięciu poległymi " pod Zamkiem.

Po wyjeździe z Warszawy p. Wierzbickiej przenieśliśmy się ze Szwoynickim do p. Grzywińskiej, bratowej artysty komediowego Grzywińskiego, na ul. Czackiego (wówczas — Włodzimierskiej). Stołowało się u niej nader interesujące grono: najpoważniejsi radcowie komitetu Tow. Kredytowego Ziemskiego; Aleksander Kłobukowski, brat francuskiego dygnitarza w Indo-Chinach, i Tadeusz Kowalski, którego syn, znany profesor fizyki we Fryburgu i Warszawie, ożeniony z p. Leonią Rostworowską, siostrą profesora Wszechnicy Jagiellońskiej, Michała, został naszym ambasadorem przy Watykanie i w Ankarze; Antoni Bieliński z opatowskiego, później poseł do drugiej dumy; Antoni Donimirski, współredaktor " Słowa "; dziennikarka i powieściopisarka Eugenia Żmijewska; wielu przyjeżdżających szczególnie z Poznańskiego. Zbiegały się przy stole wiadomości z całego świata i o różnych przedmiotach: polityczne, gospodarcze, literackie, teatralne, tak iż często zagadywaliśmy się długo po skończonym obiedzie, aż zacna p. Grzywińska zaczynaała ciężko wzdychać, bo czas już było sprzątać ze stołu.

Obiady z kawą kosztowały po 60 kop, ale w niedziele ich nie dawano, ja wówczas, jeżeli nie byłem gdzie zaproszony, chodziłem najczęściej do hotelu Francuskiego na rublowy lub do restauracji Wiktora.

Tej restauracji, której jeszcze nie wymieniłem, należy się szczególne wspomnienie. Mieściła się ona naprzeciwko hotelu Europejskiego na parterze i pierwszym piętrze frontowego skrzydła dawnego pałacu Tarnowskich, a główny korpus, cofnięty nieco w głąb, zajmował drugi z wielkich banków warszawskich po Handlowym — Bank Dyskontowy. Gdy postanowiono około 1899 r. pałac ten rozebrać pod budowę hotelu Bristol, Wiktor zakład swój zwinął, a bank przeniósł się do specjalnie zbudowanego gmachu przy ul. Fredry (Kotzebuego). Wkrótce przeniósł się na tę ulicę także do nowego własnego gmachu — Bank Zachodni, należący do rodziny Rotwandów i Wawelbergów, którzy ufundowali bardzo potrzebną techniczną szkołę średnią przy końcu ul. Mokotowskiej.

Po wojnie 1914–1918 prezesem tego banku został nader czynny finansista, członek rady Banku Polskiego, Andrzej Rotwand.

W katastrofie samochodowej pod Garwolinem dn. 14 maja 1928 r. mój syn Józef i jego żona Antonina z Woskan w dawnych Inflantach polskich oraz szofer Murzynowski zginęli na miejscu. Jeden Rotwand nie doznał szwanku. Z racji tego cudownego ocalenia utworzył z kapitału 250.000 zł fundację im. Józefa i Antoniny Balińskich. Oprócz niego i członków mojej rodziny, do zarządu wchodzili biskup Jan Kanty Lorek, prezydent miasta Zygmunt Słomiński i przyjaciel syna mego Stanisław Korwin-Kossakowski, w ostatnich czasach dyrektor oddziału Banku Polskiego w Poznaniu. Wobec spadku papierów lokacyjnych postanowiliśmy po

paru latach za 2/3 kapitału nabyć dwór z folwarkiem o 260 ha w Reginowie nad Szczarą (miejscu mego urodzenia) w pow. baranowickim pod męską szkołę średnią z bursą, z programem głównie zawodowym, imienia fundacji, którą powierzyliśmy ojcom salezjanom. W r. 1939 było już w niej trzy klasy i 95 wychowanków przeważnie ze stron okolicznych. Resztę, także w postaci fundacji, przekazaliśmy zakładowi dla dziewcząt pod wezwaniem Matki Boskiej Miłosierdzia w Piasecznie pod Warszawą. Fundacja przyczyniła się do wykończenia szkoły dziewcząt sióstr nazaretanek w Nowogródku. Siostry te zostały pod okupacją rozstrzelane.

Trzeci mój syn, Jan Baliński-Jundziłł z Reginowa i Sieniеżyc, ożeniony jest z Marią, córką byłego ministra szkolnictwa Karola Niezabytowskiego, a najmłodszy, Antoni, z Ireną Rajchmanówną, córką dr. Ludwika Rajchmana i Heleny z Bojańczyków.

Do restauracji Wiktora, równie jak do Lijewskiego, chętnie uczęszczali dziennikarze i literaci, szczególnie na śniadania i obiady.

Otóż w przepiękny dzień majowy 1888, a może 1889 r., w pierwszy dzień Zielonych Świątek urządzono tam w sali na pierwszym piętrze wczesny obiad na cześć sędziwego powieściopisarza Jana Zachariasiewicza, jednego z nielicznych już nawet wtedy zwolenników tradycji Sawy Calińskiego i Wernyhory: "gente Ruthenus, natione Polonus". W starszym wieku lubił on przebywać w Warszawie. Grono biesiadników było poważne, w znacznej części sybiracy; składało się z takich seniorów, jak Józef Kenig; Władysław Bogusławski, wnuk Wojciecha; Adam Pług (Antoni Pietkiewicz), redaktor tygodnika "Kłosy"; Dionizy Henkiel, kierownik "Biblioteki Warszawskiej"; Kazimierz Kaszewski, krytyk i tłumacz klasyków; Stanisław Krzemiński; Stosław Łaguna, jeszcze ze sztabu petersburskiego ministra Turkułła. Z młodszych m. in. byli Zygmunt Gloger, archeolog, a w majątku swym w łomżyńskim — hodowca wybornej odmiany gruszek "glogerówek", które zastąpiły częściowo zanikające zupełnie "sapieżanki", sprowadzane w nasze strony w końcu XVIII w. przez Nestora Sapiehę; dr. Wacław Lasocki, powstaniec spod Kijowa, jeden z pionierów zakładu nałęczowskiego; sędzia Aleksander Moldenhawer, współpracownik wydawanego przez ciotkę mojej żony Aleksandrę z Chomętowskich Borkowską, dwutygodnika literackiego "Kronika Rodzinna", ojciec p. Tadeuszowej Potworowskiej, żony wieloletniego naszego posła w Stockholmie, i młodszego mego kolegi prawnika Józefa; ks. Stanisław Niewiarowski, proboszcz parafii karmelitów na Lesznie; Szymon Askenazy, młody profesor historii polskiej na uniwersytecie lwowskim; Władysław Korotyński, syn Wincentego, towarzysza ostatnich lat życia Syrokomli; Tadeusz Czapelski, lwowianin; Feliks Grabowski, wnuk ministra oświaty i jeden z prawnuków króla Stanisława; Adam Breza z Poznańskiego, członek redakcji gazety "Wiek". Korotyński był potem przez lat kilka redaktorem "Kuriera Warszawskiego", kiedy późną jesienią 1900 r. zesłano do Odesy redaktora Franciska Nowodworskiego (następnie z Władysławem Tyszkiewiczem)

posła z Warszawy do pierwszej dumy i pierwszego prezesa naszego Sadu Najwyższego, oraz Salomona Lewentala, jako głównego wydawcę, za odmówienie przyjęcia i ogłoszenia jakiejś ofiary na cele rusyfikacyjne.

Po wielu toastach i przemówieniach, ja — przy końcu jako najmłodszy — odważyłem się wznieść toast, i to wierszowany. Był to pierwszy mój toast publiczny i w takim gronie! Więc czułem się bardzo onieśmielony. Nie mogę dotąd zapomnieć końcowych dwóch zwrotek:

Ja wznoszę toast tych, co oprócz pięści
Znają i wierzą jeszcze w siłę inną,
Co się rachują nie z tym co się dzieje,
Lecz dziać powinno.

I tych, dla których powodzenie chwili
Nie zawsze wieńcem błyska wawrzynowym,
I tych, dla których nie jest fakt spełniony
Ostatnim słowem! . . .

Po obiedzie wyszło nas kilku młodszych na balkon. Przed nami roztaczał się widok samego środka Warszawy; lewa strona pl. Saskiego, tego serca stolicy, jak Place de la Concorde w Paryżu lub Puerta del Sol w Madrycie, a więc serca Polski; szary i niski budynek komendantury miasta, dalej połacyk Klubu Myśliwskiego, klubu, który dopiero później przeniósł się na Kredytową, kant pałacu Kronenberga i kopuła kościoła ewangelickiego. Na lewo w stronę Nowego Światu — fasada pałacu Staszica i fronton kościoła świętokrzyskiego z figurą Chrystusa Pana, krzyż Swój dźwigającego. Na prawo u wylotu ul. Czystej (potem Ossolińskich) pawilony pałacu Stanisława Potockiego, a dalej — już dla mnie krótkowidza jakby w cienkiej mgle — pl. Zamkowy z kolumną Zygmunta i szczyty wieżyc św. Jana.

Wszystko to pławiło się w rozkosznym świetle i cieple słonecznym.

Na ulicy panowała pustka i cisza zupełna. W cieniu hotelu Europejskiego stało kilka dorożek z drzemiącymi woźnicami. Konie od czasu do czasu leniwie machały ogonami dla odpędzenia much. Gdzieś z oddali dochodziły dźwięki katarynki, grającej pospolitą wówczas barkarolę, którą nucono, poczynając od słów: " Ach, moja panno Różo ". . . Tak mi jeszcze ta melodyjka gra w uszach, że mógłbym ją wybębnić jednym palcem na fortepianie . . .

Ale cisza i pustka wielkiego miasta w południe świąteczne nie robi wrażenia czegoś zamarłego, raczej jakiejś przytłumionej przez skwar puszczy czy dżungli, w której lada chwila może zakotłować życie.

Wiedzieliśmy, że niebawem powrócą z tradycyjnych Bielan rzesze braci rzemieślniczej i robotniczej, a z domów powychodzą mieszczuchy, odpoczywający po długim nabożeństwie i świątecznym, obfitszym obiedzie.

Ale nas przenikało wszystkich, jakby ze wspólnego podświadomego źródła, coś innego. Staliśmy tak w kilku, jak owi kochankowie w " gajach

oliwnych " z poematu Słowackiego " Beniowski". Staliśmy — myśląc, myśląc co przyniesie przyszłość? My, garstka młodych ludzi "myśli ", z tych co teraz nazywają " inteligencją", my pod tą powłoką pogody i ciszy widzieliśmy przesuwające się, jakby we współczesnym filmie, to co się na tych samych miejscach, wśród tych samych niemal murów działo. Widzieliśmy i potyczki ze Szwedami i szarżę pułku Działyńskich w dzień insurekcji i rzezie Suworowów i Paskiewiczów i procesje i ostatnie pochody, w których nasi współbiesiadnicy, siedzący w sali jadalnej, brali udział. Askenazy, studiujący już ową epokę, wskazując palcem, szeptał nam z cicha : tu na rewiach wielkiego księcia Konstantego stawał szwadron Wincentego Axamitowskiego, tam Rożnieckiego . . .

I nie bez dumy odczuwaliśmy, że ta inteligencja przez swą myśl i wiedzę, łącznie z ciągłymi ofiarami osobistymi życia i mienia, rozpowszechniała wśród coraz szerszych i głębszych warstw, mimo wielu rozbieżnych i sprzecznych prądów — jedno jednak wspólne i zgodne poczucie, poczucie narodowej świadomości i dążenie do wyzwolenia się spod obcego jarzma.

Powróciliśmy do sali jadalnej. Tamci mężowie starego pokolenia, których dzień żywota już się ku zmierzchowi pochylił, dyskutowali, paląc cygara " Aquila de Oro " marki Claya, bardzo wtedy cenione. Fajki nie palił żaden. Dyskutowali, ale o czym? O tym samym, o czym myśmy milcząco rozmyślali.

Posłyszałem nerwowy, urywany głos Henkla :

— Pan się pytasz, co ich czeka? Co czeka tych młodych? Ich czeka to samo, co nas spotkało — walka! Tylko, — dodał, podnosząc rękę szerokim gestem, jakby chciał ogarnąć nie samą Warszawę, lecz dalekie sioła i wioski, — tylko . . . ich będzie więcej niż nas było.

SŁODYCZE

Po hotelach i restauracjach przychodzi kolej na cukiernie i kawiarnie.

W Warszawie lubiano słodycze, jak zresztą wszędzie, ale w okresie, który opisuję, różne ich rodzaje szybko się mnożyły i doskonaliły, nabierajac coraz przedziwniejszych smaków. Przy tym wyrób ich przenosił się do zakładów specjalnych. Mniej więcej do ósmego dziesiątka lat ub. w. w większości domów, nie tylko wiejskich, lecz miejskich, wyrabiano rozmaite przysmaki, szczególnie konfitury, które podawano zwykle ze śmietanką. Jeszcze niedawno w Warszawie gospodynie szczyciły się na Wielkanoc, częstując gości mazurkami "domowymi". Cukierki (śmietankowe, makowniki z miodem i t.d.), nawet ciastka i ciasta robiono w domu. Kupowano tylko karmelki. W Warszawie słynne były lesslowskie, buldegomy, ulubione przez uczniaków dla ich taniości, landryny sprowadzane w blaszankach z Moskwy, oraz bałabuchy i irysy przeważnie z Kijowa.

Stałą popularnością cieszyły się pierniki, zwlaszcza tańsze, drobne, zwane "całuskami", i trochę większe, okrągłe "marmurki", po 6 gr sztuka.

Pierwszym sprzedawcą cukierków (pomadek), poza cukierniami, był Anczewski w małym sklepiku na Królewskiej w starej kamienicy, zapisanej Tow. Zachęty Sztuk Pięknych pod stojący dzisiaj piękny gmach tegoż Towarzystwa. Anczewski brał za swoje pomadki o różnych smakach po 60 kop za funt w papierowej torebce. Musiał snadź robić niezłe interesy, bo przeniósł się z czasem do dużego magazynu na Niecałej.

Sądzę, iż rozwój cukrownictwa w naszym kraju przyczynił się wówczas ogromnie, dzięki potanieniu cukru, do rozwoju przemysłu cukierniczego, a ułatwienie w dowozie kakao — do wyrobu, obok zwyczajnej czekolady w tabliczkach, rozmaitych rodzajów czekoladek - cukierków. Wyrób ich, obok właściwych cukierni, podjęły specjalne fabryki. Wśród nich na pierwsze miejsce wysunął się Wedel, którego początki w parterowym domku w głębi placu na rogu ul. Szpitalnej i Hortensji dobrze pamiętam, bo tamtędy często przechodziłem. Konkurowali z nimi Riese i Piotrowski oraz Fuchs.

Jednocześnie z obfitszym spożywaniem cukierków rozwinął się wyrób coraz ozdobniejszych i gustowniejszych pudełek i " bombonierek". Na pudełkach od Janowskiego (później Semadeniego) spod filarów teatru Wielkiego, który dzierżawił bufety w teatrach rządowych, figurowały fotografie wybitniejszych artystek i artystów w formie małych medalionów. Rozprzedawano te pudełka zwykle podczas przedstawień, gdyż panowie, asystujący damom, obowiązani byli osładzać im widowisko przez ofiarowanie przynajmniej funtowego pudełka. Raz pewien ziemianin, chcąc pocieszyć narzeczoną, roniącą już w drugim akcie łzy nad losem opuszczonej czy też zdradzonej kochanki, wywołał wielkie wrażenie w całym teatrze Rozmaitości, przynosząc jej do loży 10-funtowe pudełko wielkości niemal małego kamienia młyńskiego. Kosztowało go to podobno razem z pudełkiem i z fotografią Popielki — 12 rb.

Cukiernie ówczesne w Warszawie nie nosiły nazwy " kawiarni " i nie podobne były do kawiarni wiedeńskich i berlińskich, gdzie można było zjeść i wypić, przesiadywać godzinami samotnie lub z towarzystwem, załatwiać korespondencję i t.p.

" KAWIARNIE " WE DWORACH

Kawiarniami w owym czasie, przynajmniej w całej wschodniej Polsce, nazywano we dworze pokój żeńskiej służby domowej, którą rządziła zwykle starsza gospodyni z mianem "apteczkowej", jako dzierżycielka klucza od " apteczki," gdzie mieściły się nie tylko lekarstwa podręczne, lecz i różne cenniejsze rzeczy do jedzenia i użytku.

W kawiarniach tych — i stąd ich nazwa — przygotowywano bodaj

jeszcze od czasów saskich kawę białą na ranne śniadanie i czarną poobiednią. Wszedłszy tam rankiem, ujrzałbyś na brzegu obszernego kominka szereg garnuszeczków ze śmietanką i kożuszkiem rzetelnym, na pół palca grubym, bo do każdej filiżanki kawy przystawiano osobny garnuszek. Była to najlepsza kawa ranna pod słońcem, jeszcze z domowymi " paluszkami " i sucharkami, lepsza od wiedeńskiej z bitą śmietanką na wierzchu. Wspomina o niej w " Panu Tadeuszu " Mickiewicz, a opisał szczegółowo Jan Chodźko w powieści " Pani kasztelanowa", w której poświęcił też kilka serdecznych ustępów owej apteczkowej. Były to najczęściej panny już po trzydziestce, nadzwyczaj przywiązane nie tylko do swych chlebodawców, ale może jeszcze goręcej do wszystkiego co do nich we dworze należało.

Miewały też często " ucho " swej pani, dlatego nazywałem je według nomenklatury pseudoklasycznych tragedii "poufałe królowej", znosiły ploteczki a zazwyczaj krytykowały nauczycielki i bony cudzoziemki, szczególnie " Niemkinie", które częściej, niż Szwajcarki i Francuzki, wtrącały się do gospodarstwa domowego. Nieraz przesadzały w gromadzeniu i oszczędzaniu zapasów.

CUKIERNIE

W cukierniach warszawskich podawano wówczas tylko herbatę (szklanka z płatkiem cytryny — 10 gr), kawę białą i czarną (filiżanka 20 i 15 gr), czekoladę (filiżanka — złotówka) i rozmaite, a coraz wymyślniejsze ciastka deserowe po 10 gr, drożdżowe i suche po 6 gr. Latem większość cukierni urządzała na chodniku podłużną werandę z płóciennym dachem i balustradą ze sztucznego bluszczu.

Tu publiczność raczyła się przeważnie lodami, które na ogół bywały dobre, a kosztowały po 15 kop (porcja z trzech bryłek) i po 10 kop (pół porcji z dwóch bryłek), do tego dodawano szklankę wody i wafelek. Ulicznej sprzedaży lodów wówczas nie było; monopolizowali ją właściwie sprowadzani przez rząd i niewątpliwie subsydiowani chłopi z gub. jarosławskiej, w białych sarafanach, wykrzykujący " Sachar morożennyj", co miało nadawać miastu pozory rosyjskości. Natomiast we wszystkich owocarniach, aptekach, a nawet dystrybucjach sprzedawano z syfonów wodę sodową czystą po 4 gr, z sokiem po 10 gr za szklankę. Dystrybucjami nazywano gęsto rozsiane małe sklepiki z papierosami, papierem listowym, markami pocztowymi i drobną galanterią; obsługiwały je najczęściej młode kobiety. Pączki, po 6 gr sztuka, wypiekano tylko od Nowego Roku do Wielkiego Postu, żeby się nie przejadły. A były doskonałe, lekkie jak puch; od tłustego czwartku do popielca zjadano je tysiącami. Strucle figurowały najobficiej w tygodniu świątecznym. Mazagran, pity przez słomkę, jeszcze nie był znany.

Najsłabszą stroną cukierni warszawskich, jak twierdzili znawcy i znawczynie, były torty; nie mogły się umywać ani do tortów domowych, ani nawet do tortów niejakiego Krebsa w Rydze, które Polacy-ryżanie przywozili lub przysyłali znajomym na święta. A jednak w pół wieku potem, Cukiernia Warszawska w Nowogródku na rogu Rynku i ul. Mickiewicza wyrabiała może mniej udekorowane ale wyśmienite pod względem smaku torty, jak również śliwki w masie czekoladowej, które specjalnie przywoziłem za każdą bytnością swoim wnukom w Sienieżycach z zaleceniem, aby pamiętały o dziaduniu.

Starsi wilnianie zapewne pamiętają wcale dobrą cukiernię Szwajcara Damana (później Miśkiewicza) na rogu ul. Trockiej i Wileńskiej. Po jej zamknięciu dopiero zyskały pierwszorzędną sławę dwie cukiernie Strahla.

Ojciec mój zaprowadził mnie raz, nie bez widocznego wzruszenia, do małej i bardzo podupadłej kawiarenki na ul. Świętojańskiej w pobliżu t.zw. Kardynalii (od kardynała Radziwiłła), potem przerobionej na główne biuro pocztowe ze słynnym napisem : " Nielzia gawarit' po polski". Chadzała tam niegdyś na ranną kawę z dużą bułką, zwaną " hamburką", młodzież uniwersytecka, chadzali Zan i Czeczot i Mickiewicz. Nazywano wtedy te zakłady zarówno w Wilnie jak w Warszawie — kawiarniami, a odbywały się w nich nieraz wpływowe zebrania i dyskusje polityczne, jak np. w r. 1831 u słynnej " Honoratki " na Miodowej, gdzie przemawiał Mochnacki a rej wodził Gurowski. Nie wiem, dlaczego w drugiej połowie XIX w. nazwa " kawiarni " ustąpiła miejsca "cukierni", aby ją znowu w w. XX odzyskać.

Większość ówczesnych cukierni warszawskich istnieje dotąd w tych samych lokalach, więc na linii pl. Zamkowy — pl. św. Aleksandra : odwieczny Wroczyński na miejscu handlu Gambakurta z końca XVIII w. na rogu Podwala, Klot i Botin u wylotu Koziej, Lourse w hotelu Europejskim, tylko przeniesiony na róg ul. Ossolińskich, i Blikle przy Chmielnej. Kiedy wieczorem w dniu Nowego Roku 1919 r. powitałem Ignacego Paderewskiego w imieniu Warszawy na dworcu, wypadło mi wsiąść do otwartego powozu, odwożącego go wraz z żoną wśród tysiącznych tłumów do hotelu Bristol. Liczna gromada włościan wilanowskich w swych odświętnych granatowych sukmanach wyprzęgła konie i pociągnęła powóz. Koło cukierni Bliklego Paderewski pokazał ją żonie, mówiąc :

— Tu zwykle zachodziłem z konserwatorium i kilka razy grałem.

Znikły : cukiernia Toura naprzeciw uniwersytetu, dwie Semadeniego na rogu Świętokrzyskiej i al. Jerozolimskich oraz Paraviciniego na rogn pl. św. Aleksandra. Przedsiębiorcami byli przeważnie Szwajcarzy z kantonu Grison (t. zw. Romania), choć bywali i Polacy, jak np. Starorypiński na rogu Kruczej i Wspólnej (w domu gdzie po owdowieniu mieszkał długo Sienkiewicz z teściami Szetkiewiczami i z dziećmi), no i Janowski pod filarami teatru Wielkiego, dopóki nie ustąpił swego interesu spółce Semadeniego i Lourse'a.

Każda cukiernia miala swych klientów stałych, przygodnych i okre-

sowych. Tych najwięcej może liczył w niedzielę i święta Lourse, do którego po ostatniej krótkiej mszy, odprawianej wówczas po sumie tylko w kościele św. Krzyża dla "niedzielnych śpiochów", wielu opieszałych pobożnych zachodziło na kawę i ciastka. Zbierali się także u Lourse'a w pewnych godzinach t. zw. " politycy od Lourse'a", którzy podawali sobie wzajemnie różne nowości i " tajemnice " wielkiej polityki europejskiej, krytykowali ją bezlitośnie i snuli takie horoskopy, że gdyby przypadkiem doszły do Berlina, ostatnie trzy włosy Bismarcka stanęłyby dęba na łysinie, a sterczące wąsy Wilusia opuściły się na dół. Ale dostawało się tam i bliższym potęgom!

U Janowskiego w dwóch mrocznych i pełnych dymu pokojach na lewo i na " górce " zbierali się w czasie prób i przed przedstawieniem — aktorzy. Od czasu do czasu z nieśmiałością wciskał się jakiś przyszły adept sztuki dramatycznej, żeby z bliska przyjrzeć się " wielkim". Latem w czasie prób w teatrze Letnim aktorzy przychodzili na taras bardzo miłej letniej cukierni Lourse'a w ogrodzie Saskim, na lewo od głównego wejścia. Przychodzili tam i literaci, między innymi Edward Leo, po Kraszewskim redaktor " Gazety Polskiej ", i Lubowski, w białych pikowych kamizelkach przy jasnego koloru żakietach i sztywnych słomkowych kapeluszach ("windhorsty") albo w żółtawych melonach. Bo już wtedy melony powszechnie zapanowały nad głowami męskimi, cylindry noszono rzadziej, głównie na wyścigach, pogrzebach i ślubach oraz na bardzo ceremonialnych wizytach. Podobno jeszcze w niektórych koteriach istniał obyczaj oświadczania się o rękę panny koniecznie we fraku i z cylindrem albo szapoklakiem w dłoni. Wyobrażam sobie, jak trudno było tak wystrojonym epuzerom — rekuzować.

Leo i Lubowski przechodzili od stolika do stolika, dowcipkując i opowiadajac anegdoty. Nie wiem dlaczego, ofiarą tych anegdot bywał często p. Kaftal, właściciel małego domu bankowego, który zgoła po temu nie dawał powodu. Żona jego p. Fela Kaftalowa, nie wiem matka czy stryjenka artystki - śpiewaczki p. Margot Kaftal, prowadziła magazyn starożytności w ogromnej kamienicy Ludwika Krasińskiego na Wierzbowej i była współpracowniczką " Kuriera Porannego " Feliksa Fryzego. Redagowała mu t. zw. " chronique mondaine " i opisywała szczegółowo toalety dam nie tylko z balów publicznych i wyścigów, lecz ze ślubów i większych wieczorów prywatnych. Wskutek tego damy z towarzystwa starały się z nią zaznajamiać.

W lecie przez dłuższy czas była modna cukiernia na otwartym powietrzu, z krytą werandą w głębi, w al. Ujazdowskich między al. Róż i Koszykową. Nazywano ją " Patelnia", bo w istocie pieczono się tam na słońcu w dni upalne, przypatrując się przejeżdżającym powozom.

Na Marszałkowskiej też nie brakło cukierni. Ja, mieszkając w poblizu, chodziłem wolnymi wieczorami najczęściej do Zawistowskiego na rogu al. Jerozolimskich wprost dworca. Była tam przestronna główna sala i dużo gazet. Spotykałem się tam nieraz z Edwardem Poznańskim, nauczycielem

matematyki, i z kolegą uniwersyteckim Janem Wołyńskim, nauczycielem polskiego i łaciny. Cierpieli oni dużo od władz rusyfikujących szkoły, i wkrótce w dowód niełaski przeniesiono ich do Łodzi czy do Częstochowy. Schodziliśmy się tam też często z moim stałym wówczas druhem Zenonem Przesmyckim i z byłymi kolegami uniwersyteckimi, wtedy już " pomocnikami adwokata przysięgłego " : Ignacym Dworzaczkiem i Henrykiem Cederbaumem, później radcą prawnym spółki Gebethner i Wolff.

Z cukietni rozchodziło się najwięcej rozmaitych dowcipów, w których tworzeniu celowali oprócz Lea i Lubowskiego — ks. Chełmicki, redaktor " Kuriera Swiątecznego" Pląskowski, dr Stanisław Słonimski (ojciec Antoniego), dr Roman Jasiński, adwokaci Jan Maurycy Kamiński, Stefan Pronaszko, Emil Waydel i wielu innych, których nazwisk nie pamiętam.

Już to hunoru i dowcipu nie brakło nigdy Warszawie i Polakom w ogóle.

Dr Słonimski był w świecie literackim popularny. Opowiadał nam kiedyś Prus, że służył mu po części za wzór do postaci dr. Szumana w " Lalce" i że zawdzięcza mu dowcip, którego użył w jednej z " Kronik tygodniowych", mianowicie, dlaczego w innych krajach mieszkańców nazywają " citoyen", " Bürger", "graždanin" i t. d., a w Polsce noszą oni miano "obywateli". Bo — rzucił Słonimski — Polacy muszą się obywać bez wielu rzeczy.

ŚWIĘTA

Porównywając obchodzenie w domach głównych świąt między owymi a ostatnimi czasy, muszę stwierdzić, że najwięcej ucierpiała Wielkanoc.

W opisywanym okresie jeszcze we wszystkich domach na wsi i po miastach i we wszystkich warstwach ludności na dni świąt wielkanocnych stawiano stół, a na nim, stosownie do środków, mniejszą lub większą ilość mięsiw i ciast. Przez te dni nic już nie gotowano oprócz klarownego rosołu, zwanego w moich stronach bulionem, albo barszczu podawanego w filiżankach a czasami wypadało też zaparzać w celach leczniczych od przejedzenia rumianek, czomber albo miętę.

Fundament najskromniejszego święconego stanowiła szynka i jajka na twardo. Warszawskie szynki do gotowania i gotowane były znakomite : przez wiele lat słynał z nich Hammer na Nowym Świecie, jak w Krakowie na Grodzkiej teściowa Józefa Węgrzyna, Kurkiewiczowa. Z Wileńszczyzny przychodziły surowe szynki wędzone, ale skutek właściwego karmienia trzody nigdy nie nabawiały trychin, jak nieraz przychodzące z zachodu. Prosię pieczone w całku z pysznym farszem, ozory, kiełbasy i salcesony dopełniały łupów z poniewieranego stworzenia, które w pewnym polskim podręczniku zoologii z XIX w. wymienione zostało jako "zwierzę, słusznie zwane świnią".

Nad ptactwem królował indyk, ale rywalizował z nim w domach litewskich, które urządzały święcone w Warszawie, głuszec, jeśli się go " papie " udało upolować, i przynajmniej tuzin cietrzewi.

Jajka wielkanocne były — o ile wiem — honorowane długo w całej Europie, ale nigdzie tak jak u nas. Jeżeli ksiądz nie mógł w Wielką Sobotę poświęcić całego stołu, starano się do najbliższego kościoła zanieść czy zawieźć kilka jaj do poświęcenia, a przed rozpoczęciem całodziennej niemal uczty dzielono się jajkiem. Po wsiach dziewczęta i parobki w moich stronach urządzali różne gry z jajkami na twardo niby z kręglami, przy czym wygrywał właściciel jajka o najmocniejszej skorupie. W Warszawie zaś i w całym Królestwie panował i przetrwał do ostatnich czasów zwyczaj oblewania się wodą w poniedziałek wielkanocny (śmigus albo dyngus).

Zwyczaj farbowania jaj kwitł w całej pełni; najwięcej używano do tego cebuli, nadającej kolor żółty, a później różnych farb chemicznych. W południowej części Królestwa zą pomocą wosku rysowano desenie na skorupie.

Niektórzy zbierali takie jajka, zwane "pisankami", jako wzory ludowej pomysłowości ornamentacyjnej. Oglądałem kiedyś album piasanek.

Królową ciasta wielkanocnego była "baba" a jej dworzanami — "mazurki" przeróżnych autoramentów, nazw i wewnętrznych kombinacji. Baba miała ciasto jak koronka brukselska. Najlepiej mi smakowała "petynetowa" i "sakramentka". Jeśli baba się nie udawała i wychodziła z pieca z zakalcem, albo skrzywiona czy opadła, była to katastrofa, niepowetowana klęska domowa. Wybornie kiedyś taki tragiczny moment przedstawił Michał Elwir Andriolli, Włoch z pochodzenia, a powstaniec wileński z r. 1863, ilustrator wielu arcydzieł naszej literatury i scen rodzajowych z życia polskiego, nazywany "polskim" Gustavem Doré.

Po ś.p. mojej żonie miałem śliczny portrecik jęj matki, jako młodziutkiej panienki, pędzla Andriollego. Teściowa moja, jak wspominałem, była córką Odyńca, Andriolli zaś był jego przyjacielem. Nie wiem, gdzie się teraz tuła po Niemczech ten obrazek!

Obrus pod święconym bywał przystrojony festonami z zieleni a z każdego półmiska uśmiechała się odpowiednio wetknięta gałązka bukszpanu, widłaka lub jemioły. Na środku stołu stał zawsze mniejszy lub większy baranek z chorągiewką.

W Warszawie, w kilkunastu bogatych domach, m. in. u ks. arcybiskupa Wincentego Chościaka-Popiela, bywały tradycjonalne proszone święcone bardzo wystawne. Ale kawalerowie mogli nawet nie zapraszani odwiedzać kolejno od południa do wieczora znajome domy, bo w każdym stało święcone i można było najeść się do woli.

Jeżeli z biegiem czasu obfitość i wystawność święconego z różnych powodów kurczyła się i w wielu domach zanikała, to znowu wilia i same święta Bożego Narodzenia bywały wówczas skromniej obchodzone, niż ostatnimi czasy. Elektryczność i różne inne wynalazki pozwoliły daleko efektowniej dekorować dla dziatwy choinki, które zresztą tak samo już

na tydzież przed wilią zalegały gaikami wszystkie place. Zwiększyła się też później ilość ryb, o które dawniej było u nas najtrudniej. Z krajowych nawet szczupaki, sandacze i karpie były dość drogie, a cóż dopiero rzadsze sielawy augustowskie i słynne sieje z jeziora wigierskiego. W domach kresowych, a nawet w Warszawie, obok ryb podawano " kutię " (rodzaj kisiela), łamańce z makiem i kompot z gruszek suszonych. Ostatnimi czasy przybyło także bakalii i owoców zamorskich, daleko smaczniejszych, bośmy wtedy mieli tylko dość suche figi i daktyle, rodzynki, orzechy włoskie i tureckie i suche marmoladki pośledniejszego gatunku. Gryzło się te bakalie, pamiętając, aby się nie spóźnić na pasterkę o północy, chociaż dostać się do kościoła wobec niezliczonych tłoczących się tłumów było zwłaszcza dla starszych i słabszych niepodobieństwem, tak samo jak i na rezurekcję wielkanocną (chyba do kaplicy).

Ale wzruszający wyłącznie polski zwyczaj łamania się przed wilią święconym opłatkiem, jak był od wieków, tak pozostał bez zmiany, jako symbol, według słów mojej matki, dzielenia się wspólną dobrą i złą dolą.

W sam dzień wilii Bożego Narodzenia zasobniejsze redakcje, jak "Tygodnik Illustrowany i "Kurier Warszawski", oraz Resursy Kupiecka i Obywatelska urządzały śniadania, zwane "rybkami", gdzie pod pretekstem, ażeby nie przeszkadzać żonom w przygotowaniach świątecznych, płeć męska posilała się kawiorem i rybami, nie zapominając o tym, że ryby potrzebują płynów. Silnie w tym kierunku działały jakieś nadzwyczajne nalewki starego pana Gustawa Gebethnera, z którymi chyba tylko nalewki p. Władysławowej Bogusławskiej mogły iść w paragon. Ale w wilię Nowego Roku nie było " nocy Sylwestrowych " po restauracjach.

Do ostatniego dziesiątka lat ub. w. Tow. Wioślarskie urządzało w swoim domu na Foksalu w wilię Trzech Króli wspaniałe " drzewka " dla członków i zaproszonych gości. Była to obfita uczta, przeplatana licznymi toastami wierszem i prozą i rozdawaniem upominków.

A szopki, kochane szopki z królem Herodem i z tradycyjnymi figurkami, były wówczas jeszcze popularniejsze niż później.

Roznosiły je w ciągu dwóch tygodni chłopaki z Powiśla po kamienicach ku uciesze dziatwy i całego domu.

Na odchodnem śpiewano chórem :

Skończyła się ta zabawa
I Zosi wesele,
Każdy powraca do domu,
Zabawił się wiele.
Ojda dana. Ojda dana.
Tańcujwa wesoło,
Jedni w prawo, drudzy w lewo,
Wszyscy razem w koło!

Znamienną było rzeczą, że nawet u chłopców z Powiśla wysuwała się tendencja do jedności : " Wszyscy razem w koło".

BILARD — EPIZOD ALGERSKI — LANDOWSCY

Cukiernie warszawskie, oprócz pokoików dla szachistów, o czym wspominałem, miały dwie atrakcje: gazety i bilardy. Większe abonowały wszystkie czasopisma warszawskie,— galicyjskie i poznańskie były niecenzuralne, — po kilka poważniejszych francuskich, niemieckich i angielskich dzienników politycznych, a także ilustracje i pisma humorystyczne. Można było za swoje " pół czarnej " naczytać się do woli, a zabawną rzeczą było widzieć t. zw. " rekinów gazetowych", co pożerając jedną gazetę, już pod sobą na krześle trzymali drugą.

Bilardy w owym czasie miały wielu zwolenników, narzekano nawet iż rozpróżniaczają młodzież. Ja sam zawsze grywałem słabo z powodu złego wzroku, odstręczyło to mnie również od myślistwa. Nauczyłem się nieco tej gry w Jaszunach, na starym bilardzie z łuzami, na którym grywał jeszcze Jan Śniadecki.

Ale mistrzem moim, i to już w karambole, był słynny skrzypek belgijski Vieuxtemps, teść dr. Edwarda Landowskiego, u którego przez trzy miesiące mieszkałem w Algerze.

Vieuxtemps wskutek reumatyzmu nie mógł już grywać ani w bilard ani na skrzypcach. Ale że mnie polubił, zwłaszcza gdym mu zanucił pierwsze takty jego mazurka na skrzypce, opowiadał mi o swoich " tournées artistiques " i dużo pouczał o muzyce i jej arkanach, nazywając m. in. Sarasatego " ce charlatan espagnol ". Chętnie dawał mi też wskazówki, jak uderzać kijem w kulę, a po każdym pudle powiadał z uśmiechem pobłażliwym : " Bien pensé, mal exécuté ". Mnie mówił to uprzejmie, ale na młodych skrzypków, którzy przyjeżdżali do starego mistrza po wskazówki, gderał bez miłosierdzia. Jeden z nich, Węgier Hubay, w wiele lat później dawał koncert w Warszawie. Miałem sposobność przypomnienia mu naszego przelotnego spotkania w Algerze. Nazwał wtedy mistrza Vieuxtemps " cette vieile ganache (stary safanduła)".

Dr Landowski i brat jego Paweł, także lekarz lecz stale osiadły w Paryżu, byli rodem z Lublina i za udział w powstaniu 1863 r. zostali oddani pod sąd wojenny z groźbą kary śmierci. Matka ich zdołała dostać się do Ems, gdzie Aleksander II. bawił na kuracji, i złożyć mu osobiście petycję o darowanie życia jej nieletnim synom. W jakiejś ilustracji niemieckiej umieszczono nawet rysunek damy w żałobnej sukni, klęczącej w parku przed ubranym po cywilnemu carem. Tym razem uwzględnił on prośbę matki. Młodych Landowskich zesłano do wschodniej Syberii, skąd potrafili szczęśliwie uciec przez Chiny do Europy i skończyć medycynę w Paryżu.

Edward, utraciwszy po krótkim pożyciu pierwszą żonę Polkę, zdaje się Januszkiewiczównę z domu (syn po niej został znanym we Francji rzeźbiarzem), ożenił się z panną Vieuxtemps i założył rodzaj sanatorium w Algerze, w ślicznej willi na Mustapha Supérieur, na samym zawrocie

tej alei w stronę letniej rezydencji generał-gubernatora, którym za mojej bytności był Albert Grévy, brat ówczesnego Prezydenta Republiki Francuskiej.

Trafiłem wtedy do Algeru, jako młody studencik, bardzo szczęśliwie, bo na Wielkanoc odbył się tam kongres najpoważniejszego stowarzyszenia uczonych francuskich — Association pour l'Avancement des Sciences. Jakie tam zjechały się asy, dość powiedzieć, że musiałem ustąpić swego pokoju dr. Listerowi i jego żonie z Londynu, których ulokowano u Landowskiego; że znakomitość przyrodnicza i filozoficzna ówczesna, Vogt z Genewy, który także tam stanął, dał mi wykład o skorpionach, przy czym jeden właśnie wysunął się spod kamienia, gdyśmy rozmawiali w ogrodzie. Młody Bertillon, odkrywca daktyloskopii, przy którym siedziałem podczas bankietu urządzonego przez Landowskiego, mówił mi o różnicy w powierzchniach palców ludzkich i z wielkim zajęciem słuchał, gdy mu opowiadałem, że u Słowian, a zwłaszcza u długo niepiśmiennych bojarów moskiewskich, podpis na dokumentach stwierdzano przyłożeniem uczernionego końca wielkiego palca, których odbicia dawały się podobno rozróżniać.

Zacny Landowski mimo wszystko tęsknił za krajem. Spotkałem go raz w ogrodzie, nucącego ze łzami w oczach: " Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja doliną"... Intendentem jego był także powstaniec z Warszawy, Józef Faltin. Postać tego Faltina, jego sposób zachowania się, horoskopy polityczne i wewnętrzny entuzjazm przypomniały mi się później w Rzeckim z " Lalki " Prusa. Kucharza Landowski miał także Polaka, nazwiskiem Sadowski, ale ten choć umiał doskonale przyrządzać zrazy, nie popisał się, bo w przedzień owego bankietu zażądał podwyższenia pensji pod groźbą odejścia. Musiał na to doktor przystać, ale zaraz potem wymówił mu miejsce. Pianistka p. Wanda z Landowskich Godowska była córką mecenasa Landowskiego z Warszawy, dalszego krewnego doktorów Edwarda i Pawła.

W Warszawie w ogóle później już nie grywałem w bilard, ale czasami zachodziłem na t. zw. " górki " na antresolach przy cukierniach, żeby wyciągnąć jakiegoś kolegę, i przypatrywałem się toczeniu się kul po zielonym suknie, chociaż piramidki, które najbardziej były grywane w Warszawie, mniej mnie zajmowały niż karambole. Na górce u Janowskiego pod teatrem stale podobno grywał z zapałem Bolesław Leszczyński.

DALSZY ROZWÓJ SPORTÓW

Pociąg do bilardu, ku niezadowoleniu " markierów," którzy z niego żyli, począł ostygać z rozwojem sportów, zwłaszcza cyklistyki. Jazda na rowerze, dopóki składał się z ogromnego koła z siodełkiem u szczytu i drugiego malutkiego z tyłu, nie przyjmowała się, bo już samo wsiadanie bez czyjejś pomocy było dość ryzykowne, ale gdy zrównano oba koła i umieszczono między nimi siodełko, zamożniejsza młodzież z zapałem

rzuciła się do cyklistyki, urządzając wycieczki i wyścigi, choć długo jeszcze traktowała rower jako zabawę i sport, a nie jako środek komunikacji. W parę lat po założeniu Tow. Wioślarskiego, założono Tow. Łyżwiarskie; mieściło się ono w środkowym zagł ębieniu Doliny Szwajcarskiej, w al. Ujazdowskich. Wkrótce potem powstało Tow. Cyklistów. Nabyło ono dawny staw na Dynasach na koncu ul. Oboźnej i tam urządziło tereny do nauki z wynajmem rowerów. Ja raz jeden dojechałem do Czerniakowa.

Jazda konna, choć bardzo lubiana, była dostępna w Warszawie tylko zamożniejszym sportsmenom, bo zarówno wynajmowanie wierzchowców jak utrzymywanie własnego kosztowało dość drogo, Najbardziej wzięty był tattersal Wodzińskich przy ul. Trębackiej. Pani Wodzińska, córka rysownika Kostrzewskiego, była wielką koniarką i doskonałą amazonką, a trzeba pamiętać, że kobiety nie dosiadały wówczas konia w spodniach po męsku, ale bokiem na specjalnych siodłach w długich spódnicach, zwanych "amazonkami", za to w męskim cylinderku lub meloniku na głowie. Tak zresztą jeździły panie we wszystkich cywilizowanych krajach, nawet na ryzykownych "steeple-chase" angielskich.

Tow. Wyścigów Konnych już istniało, ale nie rozprządzając większymi dochodami, urządzało tylko kilka dni " biegowych " w roku, zazwyczaj w czerwcu w czasie zjazdu ziemian na " jarmark wełniany", pod egidą Banku Polskiego. Najlepszą stajnię miał wówczas Ludwik Grabowski z Łęcznej w lubelskiem. Najszykowniej było jeździć na wyścigi własnymi lub najętymi eleganckimi powozami i brekami, które stawały wewnątrz toru, możliwie najbliżej trybuny sędziowskiej. Leon Podoski, obywatel z grójeckiego, przyjeżdżał zwykle żółtym brekiem własnego na wsi wyrobu, zaprzężonym w cztery bułane konie swego chowu. Sienkiewicz w " Bez dogmatu " i Prus w " Lalce " umieścili na placu wyścigowym dwa epizody swych powieści. Położenie zmieniło się pod koniec ub. w., gdy rząd w całym państwie udzielił towarzystwom wyścigowym monopolu na t. zw. " totalizatora " (prywatni bookmakerzy, inaczej niż w Anglii, nie byli tolerowani), a zwłaszcza gdy minimalną cenę stawki zakładowej podniósł z 1 rb do 10 rb. Rezultat okazał się odwrotny niż się spodziewano, bo wprawdzie wraz z dochodami Towarzystwa ilość hodowców koni pełnej krwi i dni wyścigowych oraz rozmiar nagród wzrosły niezmiernie, ale jednocześnie rozwinęła się na wielką skalę gra hazardowa wśród szerokich warstw, które poprzednio dość obojętnie traktowały wyścigi. T. zw. " konkursów hippicznych " jeszcze nie urządzano. Nie znano również golfa i footballu, co martwiło wychowanego w Anglii Rogera Łubieńskiego.

KILKA WSPOMNIEŃ O KSIĘŻACH

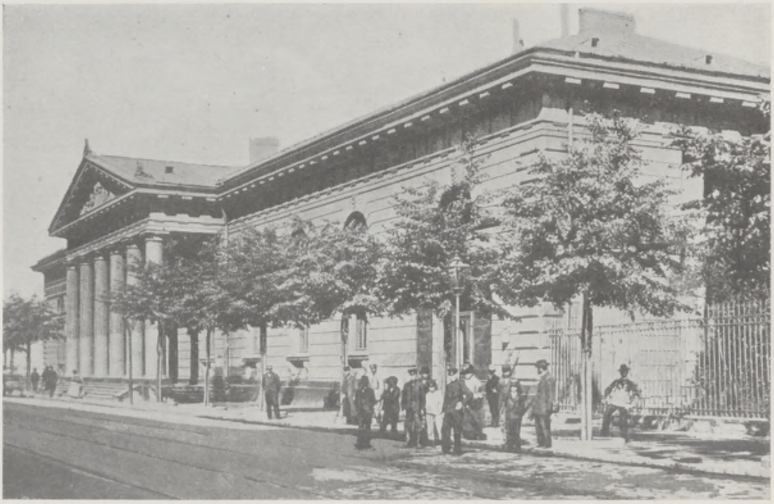
Był on przez kilka lat posłem na sejm krajowy we Lwowie, a potem znowu osiadł w Warszawie, gdzie redagował wraz z ks. Gnatowskim



Plac Saski z Obeliskiem (1835–1900).



Plac Saski z Soborem (1900–1925).



Gmach Giełdy przy ul. Królewskiej.



Róg Szpitalnej i Placu Wareckiego. Lombard.

tygodnik katolicki p.n. "Wiara." Bratem Rogera był znakomity kaznodzieja, przeor redemptorystów ojciec Bernard, a drugim ks. Zygmunt, naprzód wikary u św. Krzyża a potem proboszcz u Karmelitów na Lesznie po ks. Niewiarowskim. Drugim dobrze mi znanym wikarym w tym kościele był ks. Euzebiusz Brzeziewicz; jako proboszcz u św. Aleksandra oddał nuncjuszowi mgr. Achillesowi Rattiemu całe swe mieszkanie w nowo zbudowanym przez siebie domu parafialnym na ul. Książęcej 3. Papież odwzajemniał mu się za tę gościnność, zapraszając do pałacu watykańskiego, kiedy ks. Brzeziewicz przyjeżdżał do Rzymu: był to zaszczyt nadzwyczajny.

Do wybitniejszych kaznodziejów ówczesnych, zwłaszcza dla młodzieży, należał ks. Jan Gralewski, po ks. Krupińskim rektor kościoła popijarskiego przy katedrze. Założył on później średni zakład szkolny na wsi, wzorowany pod wielu względami na angielskich szkołach publicznych. Z późniejszych prefektów znałem ks. Feliksa de Ville, ks. Marcina Szkopowskiego i ks. Romana Archutowskiego, rozstrzelanego teraz przez Niemców, który po Jaczynowskim został dyrektorem gimnazjum im. św. Stanisława Kostki przy kościele św. Krzyża. Tu przypomnę, w jaki sposób dyr. Jaczynowski przeforsował na gubernatorze warszawskim Korffe nazwę tego gimnazjum, gdy ten nie chciał się zgodzić na św. Stanisława, jako rzekomo jezuitę. Jaczynowski, który będąc profesorem historii w seminarium katolickim, otrzymał w normalnym biegu rzeczy krzyż orderu św. Stanisława, przejętego w swoim czasie wraz z orderem Orła Białego przez rząd rosyjski, spostrzegł na mundurze Korfa oznakę tegoż orderu I klasy (wstęga amarantowa).

— Jak to? — zawołał — Ekscelencja odmawia dla gimnazjum nazwy św. Stanisława, a sam nosi order jego imienia!

Ten argument przekonał gubernatora.

Wielce czynny i szczególnie dbały o kształcenie młodzieży rzemieślniczej był ks. Franciszek Toporski. Był on założycielem i dyrektorem istniejącego aż do ostatniej wojny zakładu wychowawczego chłopców sierot p.n. Izby Rzemieślnicze św. Antoniego, utrzymującego i kształcącego w różnych rzemiosłach owe sieroty aż do 18-go roku życia.

Główną ofiarodawczynią, w kwocie 50.000 rb, na rzecz tego zakładu była p. Michałowa Stadnicka; później przybywało więcej darów i zapisów, a i sami wychowańcy zarabiali nieco, zwłaszcza przez wypiek doskonałego chleba.

Zarząd, do którego należałem, nabył duży plac na ul. Grójeckiej przy kościele św. Jakuba i zbudował obszerny budynek. Ks. Toporski ofiarował następnie Izbom swój folwark Łaźniew dla młodzieży kształcącej się w rolnictwie; jeździł tam często ks. nuncjusz Marmaggi.

Ludności Mokotowa zasłużył się wielce proboszcz kościoła św. Michała ks. Franciszek Kaczyński, niezmiernie dbały o rozwój tego przedmieścia.

Ale innymi zgłoskami zapisali się w dzialalności duchowieństwa ks. Kirchner i zakonnik kapucyn Antoni Wysłouch. Zrzucili oni sukienki

duchowne. Kirchner poświęcił się fotografii i podobno ożenił się, a Wysłouch, który z największym trudem uzyskał pozwolenie od rządu na wstąpienie do kapucynów, zaczął pod pseudonimem Szecha publikować różne dziwaczne pomysły religijno-społeczne. Ks. Feliks Oraczewski i ks. Okoń, poseł na sejm, poświęcili się polityce krańcowo demagogicznej. Nie będę już wspominał o powstałej wtedy a popieranej przez rząd rosyjski sekcie mariawitów, do której przyłączyło się kilku duchownych z osławionym ks. Teofilem Kowalskim na czele.

DZIEWECZKA Z BROWARNEJ

Ks. Zygmunt Łubieński opowiadał mi kiedyś o zdarzeniu, którego duchowieństwo zalecało nie rozgłaszać, lecz o którym wieść długo krążyła na Powiślu.

— Byłem o tej porze dyżurnym — mówił — gdy do zakrystii wsunęła się dziewczynka lat około dwunastu w białej wełnianej chustce na głowie. Poprosiła o udanie się na ul. Browarną. Chociaż tamta strona Krakowskiego Przedmieścia nie należy do parafii świętokrzyskiej, ale do parafii św. Antoniego na Senatorskiej, jednak bez chwili wahania poszedłem za nią. W jednym z pierwszych od Oboźnej starych domostw na Browarnej wpuściła mnie do izby wprost z dziedzińca, gdzie leżała kobieta, wyglądająca istotnie na dogorywającą. Udzieliłem jej Ostatnich Sakramentów, a potem poleciłem stróżce, która nadeszła, żeby zajęła się chorą, obiecując przysłać siostrę miłosierdzia ze szpitala św. Rocha.

— Ale gdzież — zapytałem — podziała się dziewczynka w białej chustce, która sprowadziła mnie do matki?

Stróżka przeżegnała się przerażona:

— Proszę księdza proboszcza, ona łońskiego roku umarła! . . . Jeszcze mój miał kram z pogrzebem. Pochowaliśmy ją w białej chustczynie na główce. . .

ZMIERZCH OTYŁOSCI

Żeby już skończyć ze sprawą odżywiania się i sztuki kulinarnej, które zresztą i w życiu prywatnym i społecznym odgrywały i odgrywać będę niezmiernie ważnę rolę, jako jeden ze wskaźników obyczajów, stopnia kultury i poziomu życia, przypomnę że w opisywanym przeze mnie okresie jadano jeszcze w Polsce dużo, a zawsze " tłusto i mięsiście " (na jaroszów patrzano jak na rarogów), jednak już mniej a racjonalniej niż w okresach poprzednich. Coraz rzadziej spotykano mężczyzn z " wypiętymi

brzuszkami", bardziej zaś otyli byli znani w całym mieście. Do nich należał np. Donimirski, ze "Słowa" i Wacław Orłowski ("Wacek") sprawozdawca giełdowy "Kuriera Warszawskiego", przez pewien czas wydawca i redaktor tygodniczka "Sport" o wąskim, podłużnym formacie, jakby na przekór figurze właściciela. Z żoną, również okazałą, nie mógł się pomieścić w jednokonnej dorożce. Najotylszy ze studentów a następnie młodszych prawników był Andrzej Śmiarowski, łomżanin, kuzyn znanego adwokata i polityka Eugeniusza, za najprzystojniejszego zaś studenta uchodził niejaki Szaramowicz, który się ożenił z młodą i obiecującą śpiewaczką p. Babicką i wywiózł ją z Warszawy. Panna Babicka zyskała powodzenie w roli Małgorzatki w jakiejś sztuce wiedeńskiej. Nawet andrusy znad Wisły nucili i gwizdali piosenkę z tej operetki, zaczynającą się się od słów:

Małgorzatko godna uwielbienia,
Małgorzatko, nie bądźże z kamienia!

W Wilnie, gdzie tłustych nie brakło, imponowali długo swą opasłością stary ks. Gedrojć i p. Niemorszański, którego "zwoszczyki" (tak nazywano tam dorożkarzy, najszczerszych zresztą Polaków, z racji ich ultramoskiewskiej liberii) bali się jak ognia, bo nadwerężał swym ciężarem resory.

Damy jeszcze usilniej zaczęły już wówczas dbać o zachowanie możliwej szczupłości, nie tylko w talii, jak dotąd, ale powyżej i poniżej od niej.

Wpłynęło to na wydłużanie gorsetów, jak mi mówiła najmodniejsza ich dostarczycielka, p. Aurelia, ciotka komediopisarza, ś.p. Stefana Kiedrzyńskiego.

W Warszawie znane były z pełności kształtów p. Wańda Manowska, niegdyś gwiazda teatrów ogródkowych, później artystka operetki miejskiej, przewyborna w roli Katichy z "Mikada", oraz pani B., ziemianka z Kujaw czy też grójeckiego. Kiedyś ks. Chełmicki, idac za nią na jakiejś przechadzce, powiedział po cichu do towarzysza:

— Dwie są na świecie rzeczy nieograniczone — głupota ludzka i tusza pani B.

System jedzenia był niehigieniczny, dość nieregularny i nieskoordynowany, gdyż nie ustaliły się nigdy, jak we Francji i w Anglii, uświęcone dla wszystkich bez wyjątku godziny na wczesny obiad i kolację.

Śniadanie poranne — między 8-ą i 9-ą — było zazwyczaj nieobfite: herbata albo kawa i bułki z masłem, a że obiad bywał przeważnie około 4-ej, — bo na tę godzinę wracali mniej więcej do domu uczniowie i pracownicy biurowi, gdyż poobiednich zajęć już nie było,—nasuwała się biologiczna konieczność przegryzienia czegoć w południe, a więc dawano dzieciom bułkę z szynką lub z powidłami do tornistra, starsi zaś bądź pijali herbatę w biurze, bądź wpadali do cukierni lub handelku na przekąskę.

OBIADY

Obiady były na ogół sute. Nawet w średnio zamożnych domach, jeżeli wypadała sztuka mięsa, dodawano drugie danie mięsne, pieczyste albo cielęcinę i zawsze jakiś deser.

O ile w Warszawie już wtedy brakło mieszkań, tak że wielu robotników musiało gnieździć się w suterenach, a studenci i młoda inteligencja na poddaszach " w sąsiedztwie nieba", jak pisał Wiktor Gomulicki, o tyle obfitość i taniość wołowiny, wieprzowiny i słoniny, a także kartofli, kapusty i buraków sprawiała, ze nawet najbiedniejsza ludność nie cierpiała głodu, tym bardziej że i chleb żytni, zarówno pytlowy jak razowy, był dobry i niedrogi. Na Boże Narodzenie, Ostatki i Wielkanoc wszystkie warsztaty podjadały nieźle, a u rzemieślników cechowych pani majstrowa musiała nawet uczni i terminatorów ugościć pieczoną gęsią z jabłkami w dniu św. Marcina Biskupa, 11 listopada, kiedy po południu zaczynało się pracować przy świetle. Taka gęś na św. Marcina była w zwyczaju ogólnym.

Z wyjątkiem mięsa, kupowanego u rzeźników i wędliniarzy, główne zakupy do kuchni czyniono na rynkach, z których najbardziej zaopatrzony we wszystko znajdował się za Żelazną Bramą, na straganach i stołach na świeżym powietrzu, bo dwie wielkie hale murowane wzniesiono dopiero około r. 1900. Były również zasobne rynki na Nowym Świecie koło Ordynackiej, w domu, należącym do rodziny Strumiłłów z Wilna, na rogu Hożej i pl. św. Aleksandra (targ Rybińskiego), i w domu Janasza na Granicznej.

Sałat i świeżych jarzyn wiosną nie brakło; roznosiły je nawet po dziedzińcach handlarki, wykrzykując : " Do szparagów! ", " Do sałaty! " i t.p. Późną jesienią chodzili tez po domach parami " szatkownicy " do szatkowania i zakwaszania kapusty z główek, w które zaopatrzyły się gospodynie. Wtórowali im nieraz druciarze-górale, wykrzykując: "Garnki drutować! ".

Stosunkowo drogie były ryby, co dokuczało zwłaszcza w czasie Wielkiego Postu. W diecezjach Królestwa Kongresowego trzeba było pościć bez mięsa tylko w środy, piątki i soboty, a w diecezjach wschodnich niemal do wojny 1914 — cały post, przy tym środy, piątki i soboty na sucho, t.j. bez mięsa, masła, mleka i jaj. Głównym pożywieniem w tych dniach były kasza i śledzie. Śledzie bywały różnego gatunku, przez długie lata z wybornych śledzi, zwanych birskimi, słynął Słonim. Główna ich dostarczycielka Mendelowa mawiała zawsze :

— U mnie sam p. Pusłowski z Albertyna bierze śledzie.

Dobra albertyńskie, nazwane tak na pamiątkę Wojciecha Pusłowskiego, który założył tu fabrykę sukna, młyny i tartaki, przylegały do miasta. Wnuczka jego Marta Kazimierzowa Krasińska, właścicielka

Królikarni w Mokotowie, była wielką miłośniczką literatury i sama wydała powieść " Wolny ptak".

KSIĄŻKI KUCHARSKIE

Większość gospodyń w celu poduczenia kucharek radziła się książek kucharskich, a w Polsce było ich dużo. Ja sam, choć niestety nie mogłem dostać " Kucharza doskonałego " p. wojskiego Hreczechy, miałem dwie książki z w. XVIII z dopiskami prababek i babek. W w. XIX p. Adamowa Zawadzka wydała u męża " Kucharkę litewską". Samo odczytanie potraw, radzonych przez autorkę na menu obiadowe co tydzień, już potłuściało człowieka ; każdy przepis na ciasta zaczynał się od słów : " Weź kopę jaj i utrzyj w makotrze".

W Warszawie były popularne książki pp. Aleksandry Borkowskiej, Pauliny Szumlańskiej, Marty Norkowskiej i Monatowej (1-o voto Julianowej Ochorowiczowej); tą posiłkowała się moja żona. Szczególną sławą w owym okresie cieszyła się książka p. Lucyny Ćwierciakiewiczowej p.t. "Trzysta sześćdziesiąt pięć obiadów na pięć złotych", lecz jeszcze bardziej ona sama, bo w całym licznym gronie znajomych pilnowała skrzętności i porządku, a wygarniała prawdę w oczy bez ceremonii. Gdy odwiedzając kogoś, nie zastawała gospodyni, lecz spostrzegła kurz na fortepianie, wypisywała na nim palcem " Lucyna Ćwierciakiewiczowa " i zabraniała służącej wycierać, a potem przy sposobności pytała głośno :

— Czy widziałaś mój bilet wizytowy?

Bano się jej jak ognia.

KOLACJE

Atoli najmniej higieniczne działo się w tym okresie, i bodaj do ostatnich czasów, z jedzeniem wieczornym, kiedy wychodziło się z domu. Po późnym obiedzie za wcześnie było na kolację, np. przed teatrem, więc ją odkładano aż pod północ. Nawet na małych zebraniach karcianych, najprzód koło 8-ej lub 9-ej podawano herbatę z ciastkami, kolację zaś, zwykle bardzo obfitą, najwcześniej koło 12-ej.

Pamiętam, że w radzie miejskiej przez jedną zimę, w celu zatrzymania głodnych radnych, — żeby nie popsuli quorum na posiedzeniach, które zaczynały się o 7-ej wieczór a przeciągały się nieraz dobrze za północ, — przy pomocy członka prezydium Stanisława Hirszla zarządziłem dostarczanie przez " Oazę " między 9-ą a 10-ą potrawy mięsnej, herbaty i kanapek, naturalnie opłacanych przez samych radnych. Zjadano tę kolacją w ulubionej mojej sali Dekerta z portretem jego w środkowej framudze.

Hirszel, sędzia handlowy, po wywiezieniu jesienią w głąb Rosji w r

1914, jako obywatela austriackiego, krakowskiego artysty dramatycznego a później warszawskiego, Michała Tarasiewicza, objął kierownictwo wielkiego przedsiębiorstwa kawowego, pod firmą "Pluton", należącego do rodziny Tarasiewiczów, i doskonale je poprowadził. Tarasiewicz i dr Józef Flach z Krakowa, który przysyłał mi do "Słowa" felietony o literaturze niemieckiej, a w chwili wybuchu wojny znalazł się w Warszawie, przebywali w Riazaniu, pod opieką dyrektora oddziału Banku Państwa, Jana Falewicza, ożenionego z moją kuzynką Marią Balińską z Jaszun. Falewiczowie wrócili do kraju w 1921, po strasznych przejściach, a ich córka Zofia — w ostatnich czasach przełożona domu urszulanek w Mołodowie Skirmunttów — inną drogą przez Konstantynopol. Tarasiewicz i Hirszel zmarli nagle na serce, pierwszy w r. 1929 a drugi w r. 1933.

PRODUKCJA SERÓW

W okresie, który opisuję, poważne miejsce w odżywianiu się zajął ser, nazywany litewskim. Oczywiście, mieliśmy zawsze w Polsce dużo sera białego z kminkiem i bez kminku, chudego i tłustego, — a jeden z tych tłustych, który musiał przez 24 godziny przeleżeć w ziemi, odznaczał się wyborowym smakiem, — ale sery wybredniejsze i trwalsze, jak szwajcarski emmenthaler, holenderski oraz francuskie rocquefort i camembert, przychodziły z zagranicy jako delikatesy. Otóż w latach 1875–1880 dwie panny Brochockie, właścicielki majątku Horodziej przy stacji kolejowej tej nazwy, między Baranowiczami a Mińskiem, wybrały się do Holandii, sprowadziły serowara i zaczęły wyrabiać ser w okrągłych głowach na sposób holenderski.

Niebawem zaczęto w całej dzielnicy wyrabiać też ser rodzaju emmenthalera, w kształcie kamieni młyńskich. Sery te w prędkim czasie, choć nie wyparły całkowicie serów zagranicznych dla smakoszów, stały się poważnym źródłem dochodu dla wytwórców i dobrym pożywieniem dla ludności miejskiej. W opisywanym okresie pośredniczyłem w sprzedaży takiego sera szwajcarskiego, wyrabianego w Rudni i w Reginowie nad Szczarą.

Brali ode mnie hurtownicy Tursz z Żelaznej Bramy i Jodko z pl. św. Aleksandra oraz kooperatywa spożywcza "Merkury". Płacono po 8 rb za pud a sprzedawano po 30 kop za funt w detalu. "Merkury" był to rodzaj zezwolonej przez rząd ówczesny spółki czy też towarzystwa, którego członkowie, opłacając niewielką składkę roczną, mieli pierwszeństwo w nabywaniu wszelkich artykułów spożywczych w sklepach spółki w różnych dzielnicach miasta.

Dyrektorem "Merkurego" był wówczas Wiktor Magnus a wicedyrektorem mój przyjaciel Czesław Gąssowski. Główne biuro mieściło się na Podwalu w starym rozległym budynku, którego jedno skrzydło zajmował

cyrkuł policyjny a drugie hotel Słowiański. Nie wspomniałem o nim, pisząc o hotelach, bo o ile mogłem sądzić wówczas z pozorów, nie przynosił zaszczytu Słowiańszczyźnie. Sam budynek przechodził różne koleje. Był to pierwszy lokal Tow. Kredytowego Ziemskiego, zanim się przeniosło do jednego z najpiękniejszych gmachów publicznych w Warszawie, zbudowanego przez Henryka Marconiego, w stylu starych Prokuracji weneckich, na rogu Mazowieckiej i późniejszego pl. Małachowskiego. Od r. 1916 zarząd miejski przeznaczył ten stary budynek na prowizoryczne muzeum miejskie, które wzbogacało się szybko pod kierunkiem płk. Bronisława Gembarzewskiego. Tu jeszcze, obchodząc setną rocznicę śmierci Napoleona dn. 5 maja r. 1921, urządziliśmy wystawę napoleońską, na której otwarciu przemawiał gen. Haller.

KUCHARKI I . . . STRAŻACY

Kiedy się mówi o jedzeniu i kuchni, nie sposób zamilczeć o kucharkach, które w służbie domowej zajmowały właściwie najważniesze stanowisko. W rodzinach, których mieszkanie składało się z sześciu i więcej pokojów, personel służbowy liczył zwykle kucharkę, " młodszą " do sprzątania i "pannę służącą" przy paniach. Bardzo wiele domów trzymało tylko kucharkę i młodszą, wreszcie najwięcej — jedną, zarazem i kucharkę i służącą, słusznie zatem nazywaną "do wszystkiego". Służących mężczyzn spotykało się jeszcze często, ale kucharzy rzadko, i tylko w bardzo zamożnych domach, lub przyjeżdżających na sezon zimowy ze wsi, gdzie jeszcze przeważnie korzystano z ich usług.

Kucharki warszawskie, choć je często nazywano kocmołuchami, były na ogół sympatyczne, co prawda wygadane (" pyskate "), ale pracowite i przywiązane do domu. Nawet te, które przyjeżdżały wprost ze wsi, prędko poduczały się swego kunsztu, jedynie starszych nie można było odzwyczaić od zbyt tłustego gotowania.

Narzekano często, iż nadużywały t. zw. " koszykowego", ale główny ich dochód extra pochodził z prowizji, udzielanych chętnie przez rzeźników i dostawców w celu utrzymania klientek, a zatem nie z nadużycia lub oszukiwania na cenach, czego się wystrzegały jako grzechu, a przeważnie były tercjarkami lub należały do różnych bractw. Na ogół wychodziły za mąż w dojrzalszym wieku, uciuławszy sobie pewien fundusik, i to za młodszych od siebie.

Szczególną słabość czuły do strażaków, do których obowiązków należało także czuwanie nad czystością i stanem kominów w zamieszkałych budynkach. Pani domu zastawała często w kuchni strażaka w pięknym hełmie, zajadającego najsmaczniejsze kąski, ale trzeba to było tolerować, tym bardziej iż strażacy warszawscy byli to dzielni chłopcy, dający stokroć więcej gwarancji uczciwości, niż jacyś przybłędni goście,

którym nie chodziło o zjedzenie czegoś smacznego, lecz o wkręcenie się do mieszkania w celu obejrzenia terenu przyszłej kradzieży, zwłaszcza ze strychu, gdy się suszyła cenniejsza bielizna. A z racji tej bielizny, kolejność dostępu do strychu i zagarnięcie kluczy stanowiły w każdej większej kamienicy najczęstszy powód do sporów i awantur. Te kłótnie praczek i młodszych poskramiał skutecznie stojący na środku dziedzińca, niby kogut Chantecler w sztuce Rostanda, zwykle obficie wąsaty stróż domu.

KOŚCIOŁY

Trzymając się mniej więcej systemu przewodników Baedekera, wypada mi wskazać wybitniejsze gmachy warszawskie i osobliwości przede wszystkim powstałe w opisywanym okresie. Niestety, nie było i nie mogło ich być wiele. Stare Miasto, zawsze z pietyzmem zwiedzane przez przejezdnych, wyglądało — z wyjątkiem kamieniczek Fukiera i Książąt Mazowieckich — raczej na odrapane niż stare.

Na środku rynku znajdował się wodotrysk, przy którym w r. 1863 ówczesnego policmajstra Trepowa spotkał niemiły przypadek. Ów Trepow, później "gradonaczalnik" petersburski, został zastrzelony przez Wierę Zasulicz, której brata, studenta-nihilistę, na śledztwie skatował. Petersburski sąd przysięgłych, ku przerażeniu sfer rządowych, uznał ją za niewinną. Zamiast kary śmierci lub dożywotnich ciężkich robót, uległa zesłaniu administracyjnemu na t. zw. "posielenie" do Syberii. Ale sądów przysięgłych w cesarstwie mimo tego wyroku nie zniesiono; istniały one bodaj do końca 1918 r.

Wodotrysk na Starym Mieście zastąpiono później "Syreną" dłuta Piusa Welońskiego, znanego szeroko rzeźbiarza; w ostatnich czasach przeniesiono ją, jako nie licującą ze stylem rynku Starego Miasta, do parku Ujazdowskiego, założonego dopiero w samym końcu zeszłego stulecia.

Większość starożytnych kościołów, ustępujących zresztą pod wielu względami kościołom krakowskim, wileńskim i lwowskim, była skupiona w najstarszej dzielnicy miasta, wskutek czego rozrastająca się szybko południowa strona odczuwała dotkliwie brak świątyń. W opisywanym okresie zbudowano jeden tylko nowy kościół św. Piotra i Pawła przy starej kaplicy św. Barbary na Koszykach, wykończono kościół Wszystkich Świętych na Grzybowie i znacznie powiększono, według planu budowniczego Józefa Dziekońskiego, nasz miniaturowy Panteon rzymski na pl. św. Aleksandra; nazwiska fundatorki tej wielkiej przebudowy, niestety, zapomniałem. Kościoły: św. Floriana na Pradze, św. Augustyna na Nowolipkach, Zbawiciela na rogu Marszałkowskiej i Mokotowskiej i św. Jakuba na Ochocie, były wzniesione za czasów rosyjskich, ale już po r. 1900. Byłem członkiem komitetu budowy kościoła św. Jakuba pod

prezydencją biskupa Ruszkiewicza; fundusz na budowę powstał z zapisu właściciela rozległych terenów na Mokotowie, Grądzkiego. Egzekutor testamentu, adwokat Dworzaczek, słusznie nie śpieszył się z rozprzedażą tych terenów, bo wartość ich z każdym rokiem wzrastała. Pierwsze miejsce na konkursie zajął młody i nie znany jeszcze budowniczy Oskar Sosnowski, później profesor politechniki, teraz ofiara okrucieństwa niemieckiego.

Fasadę katedry św. Jana przebudował w stylu gotyku angielskiego budowniczy Idźkowski w latach 1840–1842. Ciemna kaplica na lewo od prezbiterium z cudowną figurą Chrystusa Pana na krzyżu była zawsze miejscem szczególnej czci. Nie zapomniano, że przed nią modlił się król Jan Sobieski przed wyruszeniem na odsiecz Wiednia.

Po drugiej stronie prezbiterium była kaplica Archikonfraternii Literackiej w stylu barokowym. Starodawne to bractwo zostało utworzone przy katedrze zamkowej na mocy specjalnego przywileju, udzielonego przez króla Michała Korybuta dla "literatów", t.j. znających litery, czyli umiejących czytać i pisać. Oprócz uroczystej raz na miesiąc wotywy za dusze zmarłych członków, kaplica miała przywilej na nabożeństwo odpustowe w święto Matki Boskiej dn. 8 grudnia.

Byłem, a właściwie jestem członkiem Archikonfraterni, do której wprowadzili mnie późniejszy naczelnik wydziału dobroczynności miejskiej Ludwik Dobraczyński i brat jego Stanisław, intendent szpitala św. Rocha, praez cały czas mego kuratorstwa od r. 1912, przy lekarzach naczelnych dr. Gabszewiczu, dr. Tymienieckim i dr. Kazimierzu Wisłockim. Do fundacji tego szpitala należy wielki folwark Rakowiec, przylegający do miasta; gruntów jego musiałem wciąż bronić przed zakusami kolejnych rządów i magistratów, nie zawsze skutecznie. Archiwum Archikonfraterni ma wiele cennych autografów i podpisy kilku królów.

Osobiście bardzo lubiłem kościół św. Jacka (Dominikanów), na ul. Freta wprost Długiej, cały barokowy, ale z niską fasadą gotycką. W owym okresie jego rektorem był przyjaciel nasz ks. Antoni Marmo; do utrzymania kościoła przyczyniał się wielce zamożny podówczas a tak zasłużony miastu i krajowi cech szewski.

W tym kościele byłem po raz pierwszy na mszy szkolnej przy otwarciu progimnazjum dyr. Szmurły w r. 1873, i miło mi było, że w tym samym kościele mogłem urządzić w marcu 1927 r. nabożeństwo przed pierwszym ogólnym zebraniem trzech połączonych w jedno zrzeszeń sędziów i prokuratorów Rzeczypospolitej Polskiej.

Nowy kościół reformowany ze strzelistą wieżą przy ul. Leszno wykończono koło r. 1882, a synagogę na Tłomackiem parę lat wcześniej. Synagoga słynęła ze swych znakomitych kantorów-basów.

W kościołach naszych nie istniał wtedy zwyczaj zbierania składek podczas nabożeństw, nigdy też nie starano się, by każdy miał siedzące miejsce; byłoby to zresztą w niedziele i święta niepodobieństwem, bo

niewielką ilość ławek już od wczesnego ranka zajmowały zacne ale nieustępliwe dewotki. Płacono więc coś niecoś zakrystianom za dostarczanie krzeseł, o ile ich starczyło. Natomiast długo istniał zwyczaj urządzania we wszystkich kościołach i kaplicach w Wielki Piątek i Wielką Sobotę, podczas nawiedzania Grobów przez tysiączne tłumy, kwest z udziałem zasiadających przy stolikach pań z różnych sfer towarzyskich. Nazwiska kwestarek, pań i panien, ogłaszały zawczasu gazety codzienne, co skłaniało znajomych, a zwłaszcza bywającą w ich domach młodzież męską, do składania hojniejszych datków, tak iż dochód z kwesty bywał dość znaczny, a szedł na remont świątyń. Wśród kwestarek — bo rezultaty również ogłaszano w gazetach — panowała rywalizacja, i próżność ich mile podniecał błysk na tacy, wśród skromnych miedziaków i brudnawych papierków, złotych imperiałów i półimperiałów, których się nie spotykało w obiegu prawie wcale.

CHÓRY W KOŚCIOŁACH

W niektórych kościołach urządzano o tej porze na chórze muzykę i śpiewy. Ja sam przez dwa lata należałem do chóru amatorskiego w kościele św. Krzyża z namowy sąsiada z ul. Widok Ottona Wańkowicza, którego znów pociągnął jego korepetytor Rygobert Jaworski, przyjaciel naczelnego organisty Hordiewicza. Od tego Jaworskiego, który później został sędzią śledczym na Syberii, otrzymałem pocztą aż z Minusińska dwie pożyczone mu niegdyś w Warszawie książki. Drugą podobną przesyłkę otrzymałem od dr. Walerego Grabowskiego, któregom jeszcze jako studenta zarekomendował na nauczyciela dla Cezarego i Kazimierza Stadnickch ze Starej Sieniawy na Podolu, kiedy matka ich, synowica Henryka Rzewuskiego i p. Ewy Hańskiej, 2-o voto Balzac, powróciła do kraju po dłuższym pobycie w Anglii. A powiadają, że Polacy nie zwracają pożyczonych książek.

Pani Ernestyna z Rzewuskich Ignacowa Stadnicka opowiadała mi dużo o swojej ciotce Ewie Balzac, twierdząc, że szczerze kochała ona wielkiego pisarza. Druga jej ciotka, Karolina 1-o voto Sobańska, wyszła za mąż także za pisarza francuskiego, Julien Delacroix; jej salon literacko-polityczny cieszył się wielkim powodzeniem za Napoleona III. Za to z przekąsem wyrażała się p. Stadnicka o córce najstarszego swego stryja, zruszczałego Adama Rzewuskiego, Katarzynie Radziwiłłowej, która później stała się towarzyszką Cecila Rhodesa w jego wyprawach po Afryce Południowej.

Primadonną naszego chóru u św. Krzyża była wtedy amatorka p. Cygańska, żona jednego z administratorów dóbr Feliksa Sobańskiego (Guzów koło Warszawy i Obodówka na Podolu). Feliks Sobański, ojciec działacza katolickiego Michała, a dziad zmarłego niedawno już na

uchodztwie w Londynie utalentowanego publicysty Antoniego, ufundował wtedy wielki zakład dla nieuleczalnych paralityków, o dwóch frontach między ul. Nowowiejską i Śniadeckich. Zakład ten zapoczątkowała pierwotnie w skromnych rozmiarach, na 10 łóżek, ciotka mego teścia, dr. Chomętowskiego, Izabella z Orłowskich Piłsudska. Opiekunkami jego przez wiele lat były moja żona, ciotka jej Borkowska i p. Czerwiakowska, wdowa po profesorze Wszechnicy Jagiellońskiej, skoligacona przez matkę z Adamową Mickiewiczową i rodziną Wołowskich, z której jeden, Ludwik, był jakiś czas za Ludwika Filipa francuskim ministrem finansów. Syn jej, sędzia Feliks Czerwiakowski, towarzyszył sędziwemu Władysławowi Mickiewiczowi w jego ostatniej podróży do Nowogródka w 60 lat po pierwszej, odbytej w r. 1862. Zamieszkał on wtedy w dawnym domu dziadka, który nie był już rezydencją t. zw. " dowódcy " czyli marszałka szlachty, naturalnie Rosjanina (ostatnim był Giers, synowiec ministra spraw zagranicznych), ale dzierżawiony przez dzielną i ofiarną działaczkę narodową Marię Wierzbowską od właściciela, sędziego Dąbrowskiego, który po śmierci jedynego syna zapisał go na Muzeum Mickiewiczowskie.

Córka Adama, Maria Gorecka, która poślubiła Tadeusza, syna poety-emigranta z r. 1831, Antoniego z Duszymiąt pod Wilnem, i jej dzieci mogli przyjeżdżać do państwa rosyjskiego. Pani Maria, będąc w Warszawie, zamieszkiwała zawsze u p. Czerwiakowskiej, a na letnie miesiące jeździła często do krewnych męża na Białejrusi Biszewskich, Lisowskich i Świackich. Jedno lato spędziłą w Tuhanowiczach u p. Józefy Tuhanowskiej, której matka była siostrzenicą Maryli Wereszczakówny. Wtedy zwiedziła ojcowskie strony rodzinne od Zaosia koło Horodyszcza aż poza Niemen. Tam ją poznałem i chodziliśmy razem oglądać, w malowniczym wąwozie leśnym, w pobliżu dworu tuhanowieckiego, istotnie ogromny na miejscowe warunki geologiczne kamień " filaretów". Wracając nocą z tej wizyty do Sienieżyc, ze Stanisławem Jundziłłem, o mało co nie skręciliśmy karku, wywracając się z okropnej góry Łukoszyńskiej za Rajcami. Panna Tuhanowska należała do rzędu licznych we wschodniej Polsce działaczek narodowych i społecznych, które utrzymywały stały kontakt z Warszawą i Krakowem i tę swoją działalność stawiały na pierwszym miejscu. Orzeszkowa wzięła ją za wzór do bohaterki swej powieści " Dwa bieguny". Dwoje starszych dzieci p. Goreckiej, Adam i Helena, zamężna Modlińska, zmarło młodo, tylko drugi syn dr Ludwik przyjeżdżał często do Polski i jakiś czas administrował majątkiem kuzyna swego Biszewskiego, Łyntupy w święciańskiem.

Otóż któregoś Wielkiego Piątku Hordiewicz postanowił wystąpić u św. Krzyża ni mniej ni więcej niż ze " Stabat Mater " Rossiniego, która choć zbyt operowa, robiła w kościele większe wrażenie, niż z estrady koncertowej. Tenor - amator był dość mierny, i fragment " Cujus animam " nie wypadł świetnie, natomiast jakiś młody bas, którego nie wiem skąd wytrzasnął dyrektor i z którym nie wiadomo co się później

stało, tak potężnie huknął " Pro peccatis", że zatrzęsły się nie tylko szyby okien kościelnych, ale niewątpliwie i sumienia bardzo wielu wiernych.

Po pewnym czasie Kuria Metropolitalna zaniechała urządzania kwest ze świeckimi damami, powierzając je tylko księżom i siostrom miłosierdzia, niektóre bowiem panie poczęły zbyt głośno zabawiać się rozmową, a nawet częstować znajomych cukierkami. A i chóry mieszane papież Pius X ograniczył na rzecz średniowiecznej muzyki gregoriańskiej. Nie słyszałem już odtąd swojej ulubionej mszy Gounoda.

PODWÓJNE ŚWIĘTA

Z racji dwoistości kalendarza obchodziłem niemal co roku podwójne święta Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, raz w Warszawie i raz w dwanaście dni później w stronach rodzinnych na wsi lub w Wilnie; stąd użyłem do syta wieczerzy wigilijnych i święconego, więcej niż liczyłem lat życia. W Wilnie, w Wielki Piątek, chór kościoła św. Jana wykonywał stale prześliczne " Litanie ostrobramskie " Moniuszki.

Dwa razy także spotykałem nowy wiek na uroczystych nabożeństwach w noce z 31 grudnia 1899 r. na 1 stycznia 1900 r. w Warszawie w kościele św. Krzyża i u Dominikanów w Wilnie. Trwały one od północy do 3-ej rano z udziałem niezliczonych tłumów pobożnych. Spotykano ten wiek XX z jakimś dreszczem nadziei i obawy zarazem.

PAŁACE PRYWATNE

Z prywatnych pałaców warszawskich, bardzo już nielicznych, można było oglądać tylko wilanowski, z komnatami Jana III, który należał wtedy do ogólnie szanowanej matrony Augustowej z Potockich Potockiej. Tylko dojazd tam był już nieco kosztowny, bo tramwaj konny od rogatki belwederskiej przez Czerniaków urządzono dopiero koło r. 1892. Z publicznych dostępny był nabyty w r. 1818 przez Aleksandra I od sukcesorów ks. Józefa pałac Łazienkowski z częścią parku, i uniwersytecki ogród botaniczny.

OGRODY

Ogród Saski był zawsze starannie utrzymywany przez magistrat, staranniej niż Krasińskich. Latem w niedziele i galówki grywała tu orkiestra wojskowa i biła wielka fontanna, ale instytut wód mineralnych,

funkcjonujący przez lat kilkadziesiąt w trójkącie między wylotem Marszałkowskiej a Żelazną Bramą, w ostatnich czasach oddzielony od całości ogrodu ulicą, został zwinięty już w r. 1882. Był niegdyś niezmiernie modny, pamiętny zaś tym że przy wyjściu z niego raniono w r. 1861 ówczesnego namiestnika, gen. Lamberta; zaraz potem dostał on dymisję.

Zupełnie nie dostępny dla publiczności był należący do rodziny Kronenbergów duży park ze starodrzewiem na rogu Hożej i Marszałkowskiej. Dziedziczka tej schedy po ojcu, 1-o voto Karolowa Zamoyska, 2-o voto Gustawowa Taube, rozparcelowała go, przy czym przeprowadzono załamaną pod prostym kątem nową ul. Sadową.

Krążyły ploteczki w " towarzystwie," że przy rokowaniach przedślubnych stary Kronenberg rzekł do starego Zamoyskiego:

—Mojej córce na śniadanie daję milion . . . Co hrabia da synowi na obiad? . . .

Ten odpowiedział, iż po takim śniadaniu uważa obiad za zbyteczny.

Wspaniały, trzywłókowy niemal park Frascati, z przylegającym doń rozległym ogrodem przeniesionego w r. 1863 z Puław instytutu wychowawczego dla panien, wyglądał jak morze zieloności. Jeszcze wiosną 1913 i 1914 r. słyszeliśmy z żoną z sypialnego pokoju na Wiejskiej śpiew słowików. Co prawda, nalatywały też i chmary komarów. Naprzeciwko odwiecznej murowanki,— gdzie miała kiedyś siedzibę loża masońska, a później mieszkali: znakomity przyrodnik Antoni Waga i ornitolog Jan Sztolcman w latach zaś 1886 - 1888 Maria Konopnicka, — właściciel hr. Branicki ze Stawiszcz zbudował pałac, który po rozparcelowaniu parku zburzono w celu wzniesienia ambasady francuskiej. Ogród instytutu dla panien zajęły zabudowania sejmowe.

Zanim ten pałac rozebrano, mieściło się w nim poselstwo rumuńskie, i tam królewska para rumuńska (Ferdynand i Maria) za swej bytności w Warszawie wydala obiad dworski, a po nim przyjęcie. Poprzedniego dnia witaliśmy królestwo na ratuszu, gdzie przemawiałem do nich w sali rady miejskiej i podejmowaliśmy śniadaniem w sali portretowej magistratu. Śniadanie, urozmaione śpiewem naszej świetnej " Liry", udało się. Przy czarnej kawie miałem chwilę niepokoju, gdy król z kilku pudełek cygar wybrał " Kościuszkę " naszej marki, ale że je wypalił calutkie do końca, rozmawiając z ożywieniem, poprawiło to moją opinię o monopolu tytoniowym.

W Bagateli, nabytej przez nowo założone (staraniem Emeryka Paprockiego, prof. Jerzego Aleksandrowicza i Edmunda Jankowskiego) Tow. Ogrodnicze, miał siedzibę niezbyt zasobny ogród zoologiczny. Pl. Ujazdowski był jeszcze polaną, gdzie na Wielkanoc urządzano zabawy ludowe, a w r. 1884 rozmieszczono krajową wystawę rolniczą. Zjechali się na nią licznie ziemianie domatorzy, którym nawet do " powiatu " i do " gubernii " było ciężko się wybrać, a cóż dopiero do stolicy. Opisał ich w wybornej humoresce p.t. " Przygody pp. Marka i Agapita " Jordan (Julian Wieniawski).

ZACHĘTA SZTUK PIĘKNYCH

Wystawa obrazów Tow. Zachęty Sztuk Pięknych była w niedziele i święta licznie odwiedzana, ale właśnie w tych czasach Towarzystwo przechodziło kryzys lokalowy, bo pierwotną galerię przy kościele Bernardynów zajęło Muzeum Przemysłu i Handlu, a budowę własnego gmachu, na miejscu zapisanej przez p. Górecką kamienicy przy kościele ewangelickim, dopiero rozpoczynano. Skorzystało więc ono czasowo dla swego niewielkiego zresztą zbioru z " Barbarą Radziwiłłówną, Józefa Simmlera na czele i dorocznych wystaw, z wielkiego drewnianego baraku, zbudowanego na podwórcu pałacu Stanisława Potockiego (później własność Józefa z Antonin) przez Gracjana Ungra. Gracjan Unger, synowiec drukarza Józefa, wydawcy przez wiele lat popularnego kalendarza w zielonej okładce z obfitym materiałem informacyjnym i literackim w cenie 50 kop (konkurował z nim podobny kalendarz Jana Jaworskiego), był nader pomysłowy i ruchliwy. Prowadził agencję pism i ogłoszeń w gmachu teatru od Wierzbowej. Wówczas zbudował ten prowizoryczny pawilon, przeznaczony na wystawy przywożonych od czasu do czasu celniejsztch obrazów.

Pamiętam oglądane tam m. in. ogromne płótna Węgra Muncascy' ego " Chrystus przed Piłatem", Czecha Brożika " Hus na sądzie cesarza Zygmunta", cykl Wiereszczagina z odwrotu Napoleona spod Moskwy. Wszystkie te obrazy, przeważnie o treści historycznej, co wtedy najbardziej ceniono, gromadziły liczną publiczność. Ale raz ściągnął na siebie p. Gracjan wielką burzę, wystawiając obraz Marcelego Suchorowskiego, przedstawiający bohaterkę rozgłośnej powieści Zoli, Nanę. Nadobna kurtyzana, rozebrana, jak mówiono niegdyś, " do rosołu", leżała rozciągnięta na skórze lamparciej z podniesionym nieco do góry jednym kolanem. Postać była stale oświetlona światłem sztucznym a w celu powiększenia efektu, niewątpliwie trochę pornograficznego, widzowie przyglądali się jej z głębi przyciemnionego korytarza. Vox populi wpłynął na skrócenie trwania tej wystawy, a władze szkolne zabroniły uczniom jej zwiedzania.

" GRUNWALD "

Nie jestem pewny, w jakiej sali wystawiono " Świeczniki chrześcijaństwa" Henryka Siemiradzkiego, atoli w tej szopie ungrowskiej Warszawa po raz pierwszy oglądała " Grunwald " Jana Matejki. Wrażenie, jakie zrobił " Grunwald " na społeczeństwie ówczesnym, było wstrząsające i dla tych, co go doznali, chyba niezapomniane.

Sztuka polska — obok wielkiej poezji romantycznej, obok muzyki Chopina i Moniuszki — stanęła w nim na wyżynach artystycznych tego zadania, które wówczas poczytywano za główne i święte wprost posłannictwo: stwierdzania przed światem żywotności, odrębności i wielkości

narodu polskiego. Zapewne coraz częściej talent twórców i forma utworów nie dorównywały podniosłości treści; nadużywano jej i pokrywano nią miernotę, co wywołało niebawem znaną słuszną reakcję, ale z drugiej strony przez pewien czas (zdaje się przeważnie pod wpływem " Życia " krakowskiego i " Chimery " warszawskiej, a w malarstwie — Stanisława Witkiewicza), przesadzano w trzymaniu się wyłącznie zasady " sztuka dla sztuki", której czystość wszelka tendencja, nawet patriotyczna, miała mącić. Nigdy jednak wówczas nie żywiono uczucia, aby istnienie Polski w poezji i sztuce wystarczało realnym aspiracjom narodu polskiego. Już Krasiński wołał: " Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje! ".

Po obejrzeniu " Grunwaldu " długo pozostawał w oczach wszystkich ów rozpędzony Witołd, tratujący odwiecznego wroga, i we wszystkich uszach brzmiał ogłoszony bodaj nazajutrz po otwarciu wystawy wiersz Konopnickiej:

Z drogi, z drogi tej przeszłości,
Co z zamierzchu i z nicości,
Cała krwawa
Zmartwychwstawa,
Jak zwycięstwa duch . . .

I tak samo dzisiaj ona wciąż ożywia i podżega ten duch zwycięstwa.

ULICE

Ruch sprawunkowy i elegantszy spacerowy toczył się najczęściej ulicami głównymi, do których należały wtedy Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat, Marszałkowska od al. Jerozolimskich do ogrodu Saskiego, Wierzbowa i Czysta (Ossolińskich), Senatorska, przecięta pl. Teatralnym, i w mniejszym stopniu Miodowa i Bielańska. Ruch handlowy, hurtowy zwłaszcza, koncentrował się w okolicach Nalewek, a drugorzędny i trzeciorzędny w okolicach Żelaznej Bramy i pl. Kercelego. Później tak popularny Kercelak był jeszcze przedmiotem wieloletniego procesu między rodziną niejakiego Kercelego, który na początku XIX w. w celu wyzyskania należących do niego terenów plac ten otworzył, a magistratem warszawskim, reprezentowanym na sądach przez prokuratorię Królestwa Polskiego. Nie byłem, na szczęście, referentem tej zawikłanej sprawy, ale nasłuchałem się o niej do znudzenia na wielu sesjach.

Ale i mnie na krótko przed wojną dostała się bodaj jeszcze cięższa sprawa z rzędu tych, któreśmy nazywali " kobyłami " : sprawa mieszczan-rolników miasta Parczewa ze skarbem państwa o rozległe lasy podmiejskie. " Kobyle " tej trudno było dać miano młodej. Rozpoczęta w w. XVIII z akcji mieszczan, wędrowała bez końca po różnych dykasteriach warszawskich i petersburskich. Zdawało się, że zasnęła, aliści jeden z

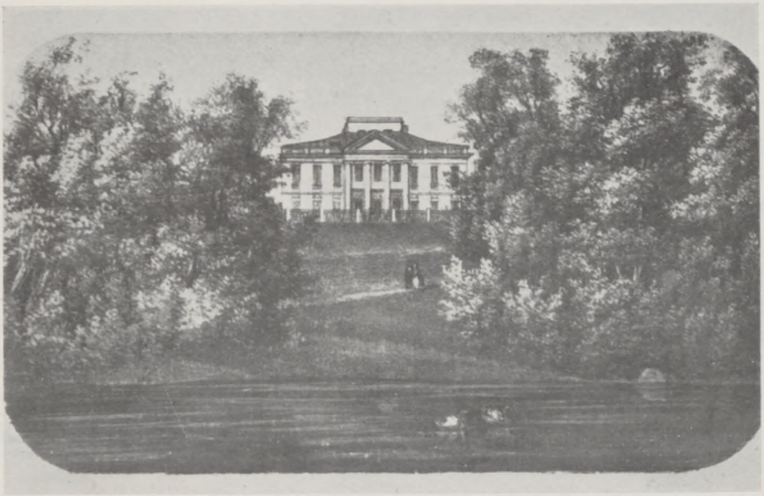
wybitniejszych adwokatów siedleckich, Sunderland, uzyskał rozporządzenie, aby właściwe sądy ostatecznie ją rozstrzygnęły. Wypadki historyczne znowu stanęły temu na przeszkodzie, jednakowoż musiałem wertować i studiować stosy planów i dokumentów, wśród których było pięć nadań królewskich, pierwsze z nich z podpisem jeszcze Zygmunta Augusta. Że nie jest to łatwa robota, potwierdzą — myślę — moi dwaj młodsi koledzy z prokuratorii, jako znawcy, Jan Kucharzewski i Jarra, jeżeli te słowa będą czytali.

Spacerująca publiczność chodziła zwykle prawą stroną Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata, licząc od zamku, lecz przy wkraczaniu w al. Ujazdowskie koło dawnego mego gimnazjum IV przenosiła się na lewą stronę, opuszczając prawą. Działo się to zawsze ze stałością i precyzją “ Golf-Strom ”u.

Szyldy sklepowe musiały być albo rosyjskie, albo w dwóch językach, rosyjskim i polskim, albo wreszcie w jednym cudzoziemskim — najczęściej francuskim — w cudzysłowie. Wogóle żaden plakat czy afisz na zewnątrz domów — choćby np. “ lekarz”, po rosyjsku “ wracz ” — nie mogły się obejść bez tekstu rosyjskiego, z wyjątkiem klepsydr, jak nazywano zawiadomienia o czyjejś śmierci i pogrzebie, umieszczane przy wejściach do kościołów. W Wilnie i poza obrębem Królestwa, na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej oraz w Suwalszczyźnie, język polski we wszystkich obwieszczeniach, nawet obok tekstu rosyjskiego, był zakazany.

Z takich sklepów o jednojęzycznym szyldzie “ Magasin Français ” na ul. Trugutta (wówczas hr. Berga) cieszył się długo wziętością; był on założony przez syna emigranta Kwasieborskiego z różnorodnymi t. zw. “ articles de Paris”. M. in. rozprzedawał on pewnego sezonu w ogromnej ilości sztuczkę, zwaną “ cri-cri”, do której jakiś pomysłowy Francuz użył stalek z wyszłych z mody krynolin i turniur. Te kawałki stalek, odpowiednio pocięte i osadzone, przy pociskaniu palcem pstrykały niby świerszcze, i dlatego nazwano je “ cri-cri.” Była to właściwie jeszcze bardziej bezmyślna zabawka, niż owo “ jo-jo”, z podnoszącym się na sznurku kółeczkiem, które grasowało wszędzie przed piętnastu mniej więcej laty.

Okna wystawowe nie były jeszcze na ogół duże, dopiero w nowych magazynach pojawiały się większe. Wystawy miały raczej informować niż nęcić i kusić. Mój dobry znajomy, Stefan Zyndram-Kościałkowski, który przeniósł się ze Żmudzi do Warszawy i w latach 1888–1892 bawił się w utrzymywanie magazynu tytoniowego w al. Jerozolimskich, prawie naprzeciwko Kruczej, szczycił się, iż sprowadził z Wiednia ogromnego Murzyna, trzymającego tacę z cygarami, bo ta postać gromadziła koło sklepu wielu gapiów i służyła za reklamę. W oknach pierwszorzędnych fryzjerów damskich ukazywały się coraz częściej głowy woskowe z rozmaicie utrefioną koafiurą, ale żadnemu pończosznikowi nie śniło się nawet wystawiać sztucznych łydek w pończochach koloru cielistego, sięgających nieraz poza kolana; wątpię zresztą czyby policja na to zezwoliła.



Pałac Belwederski od strony Łazienek.



Palac Łazienkowski w świetle księżyca.



Wielka fontanna w Saskim Ogrodzie.



T-wo Kredyt. Ziemskie i Kościół Ewangelicki.

Największą fabrykę wyrobów tytoniowych w Warszawie założyli niebawem, pod firmą " Noblesse", Kalinowski i Przepiórkowski z głównym magazynem w hotelu Europejskim. Paliłem długo wcale niezłe ich papierosy " Renoma " po 10 kop za dziesięć sztuk. Można też było, kupując różnego rodzaju tytonie i gilzy osobno, robić sobie papierosy w domu lub dawać prywatnym pracownicom do roboty. Często robiły je poczciwe małżonki dla mężów.

Zyndram - Kościałkowski był wielkim dziwakiem. Spacerował po ulicach z dwoma wspaniałymi " dogami " duńskimi. Co dwa tygodnie urządzał regularnie partie winta dla kilku stałych partnerów, do których i ja należałem z młodszym kolegą i druhem Zygmuntem Starczewskim z Kniaża pod Horochowem, synem Leona, jednego z ostatnich powiatowych marszałków szlachty na Wołyniu. Starszy brat Zygmunta, Eugeniusz, został wybitnym adwokatem w Łucku. Po osiedleniu się po pierwszej wojnie w Warszawie wydał wartościową książkę z dziedziny polityki międzynarodowej. Ostatni raz widziałem się z nim w Karlsbadzie. Umarł nagle w pociągu na Rivierze.

WARSZAWIANKI

Po tych głównych ulicach przesuwała się, a w niektórych godzinach dnia przeciskała się po dość jeszcze wąskich chodnikach elegancka publiczność, ubrana starannie i gustownie, a panie zawsze modnie. Tu miało się najlepszą sposobność przypatrywania się " foremnym " warszawiankom. Co prawda, według mnie, nie istniał i nie istnieje specyficzny typ " warszawianki," jak istnieje np. typ rozlazłej wiedenki z Grabenu, albo płaskonogiej walkirii berlińskiej, albo nawet fertycznej paryżanki. Nie zdarzyło mi się widzieć obrazu pod nazwą " Warszawianka " albo figury w rodzaju słynnej " La Parisienne", jak gdyby patronującej Paryżowi przy głównym wejściu na wyszawę światową w r. 1900. I nie dziwię się temu. W mieście, w którym od r. 1860 do r. 1900 ludność z niespełna 200.000 tysięcy podskoczyła niemał do miliona, nie mógł wytworzyć się jakiś typ o specjalnie własnych lub przeważających cechach zewnętrznych. Do Warszawy przyjeżdżały i osiadały na stałe lub na czas dłuższy Polki z całego rozległego kraju, córki całego naszego narodu, a więc z przeróżnych plemion o rozmaitej barwie włosów i kolorze oczów. Myślę, że tyle było i jest odmian warszawianek, ile Polek — tylko że w stolicy szybciej nabierały szyku, gustu, dystynkcji i pewnej subtelnej zalotności, niż na prowincji.

W naszym języku nie ma, jak np. we francuskim, partykuł "un" i "une", " le " i " la ", i dlatego trudniej wykazae różnicę, jaka w mowie francuskiej istnieje między powiedzeniem " une Marseillaise " i " la Marseillaise". Otóż wyznam, że za owych czasów nazwa " warszawianka " w

świadomości naszej kojarzyła się najpierw nie z pojęciem mieszkanki Warszawy w ogóle, lecz przede wszystkim z pewną pieśnią z r. 1830–1, której nutę trzeba było tłumić w piersiach, albo z postacią w żałobnej powłóczystej sukni z " Polonii " Grottgera.

W każdym razie widok spacerujących żywych warszawianek "radował oczy", tak samo jak w teatrze, gdy z pierwszego lub drugiego rzędu krzeseł, obróciwszy się w antrakcie tyłem do sceny, przyglądało się parterowi i lożom. Tu przypomnę, że do końca ub. w. nie uchodziło paniom siadywać w tych dwóch pierwszych rzędach. Nie uchodziło im także bywać na widowiskach i koncertach, nawet wieczornych, bez kapelusza, z wyjątkiem lóż, gdzie znowu należało być ubraną po wieczorowemu, a więc bez kapelusza. Sprawa kapeluszy damskich w teatrach wywołała długotrwałą burzę, gdyż w okresie mody wielkich kapeluszy — i to jeszcze przytwierdzanych do włosów długimi już nie szpilkami, ale szpikulcami, które zagrażały oczom sasiadów — zasłaniały one widok na scenę dalej siedzącym widzom. Słuszność sprawy, co się rzadko zdarza, zwyciężyła i wstępu kapeluszom na głowach właścicielek wszędzie wzbroniono; trzeba je było zostawiać w kontramarkarni. To też zimową porą panie chodziły bądź w futrzanych czapeczkach, bądź w bardzo " do twarzy " (wyraz " twarzowy " nie był jeszcze w użyciu) kapturkach i szalikach.

Na ogół w naszym kraju, jak przez wiele wieków na całym świecie, sprawa nakrycia głów kobiecych grała jeszcze wówczas rolę obyczajową i społeczną. Z odkrytymi głowami chodzono tylko latem przy domu, przy czym — poza małymi dziewczynkami—nigdy z rozpuszczonymi włosami. Nawet podlotkom splatano włosy w warkocze, zwane także " kosami ", ale żadna zamężna białogłowa nie poważyłaby się pokazać ze spuszczonymi warkoczami, a cóż dopiero z rozpuszczonymi włosami. Na wsi dziewczęta i mężatki, zależnie od okolicy, w różny sposób zawiązywały sobie na głowach chustki. W słonimskiem, wołkowyskiem i w całej Słuczczyźnie aż po Berezynę zamężne włościanki nosiły nieznany w wileńskiem i nowogródzkiem ubiór głowy z kunsztownie owiniętej kilkułokciowej płachty płóciennej, zwanej " namiotką".

Po miasteczkach zamężne Żydówki, przestrzegając surowo dawnych tradycji, już od ślubu wkładały peruczki. Z przesiedlaniem się do więszych miast następował dla wieśniaczek proces, że się tak wyrażę, " ukapeluszowania się", najprzód na wychodne w niedzielę i święła do kościoła, potem na stałe, co uważało się jakby za symbol przechodzenia do wyższej klasy społecznej.

Na ulicach panie, choć często ubierały się jasno, zwłaszcza gdy aura pozwalała wychodzić " do figury," nie używały zbyt jaskrawych kolorów sukien, szczególnie nie używano koloru zielonego. Bez rękawiczek nie wychodzono z domu, a parasolki, które były też konieczne, jeżeli nie groził deszcz, odznaczały się barwnością i żywością kolorów. Pewnego razu stało się gadką całego miasta, że w modnej podmiejskiej restauracji

letniej " Marcelinie " (obok niej była druga również wzięta, " Sielanka "), pani mecenasowa K. i doktorowa J. w sporze o pewnego adoratora połamały na sobie dwie świeżo nadeszłe z Paryża parasolki "dernier cri ".

Podobno miał się odbyć między nimi pojedynek, ale do tego nie doszło, gdyż adorator, zaniepokojony taką żywością temperamentów, wolał zwiać (bo już poczęto używać tego wyrazu obok " drapnąć "), nie było więc właściwie o co się pojedynkować.

POGRZEBY

Na ulicach pryncypalnych i arteriach handlowych ruch dorożek, wozów, tramwajów konnych i różnego rodzaju ekwipaży był zawsze duży i hałaśliwy.

Rzucał nań cień melancholii — jakby przestrógę : " vanitas vanitatum "— widok częstych konduktów pogrzebowych. Na karawanach, ciągnionych noga za nogą przez okryte żałobnymi derami konie, od jednego do czterech, spoczywała wysoko — stosownie do klasy karawanu — trumna. Najczęściej spotykało się lub mijało pogrzeby poczynając od ul. Bielańskiej, na Nalewkach, Dzikiej i Powązkowskiej. Najwięcej zapełniał się w tym okresie cmentarz na przestrzeni między drugą a trzecią bramą, przy czym zapełniał się tak szybko, że trzeba było założyć drugi na Brudnie, po stronie Pragi.

W Warszawie nie było domow przedpogrzebowych. Zwłoki spoczywały zwykle co najmniej przez dobę w mieszkaniu, potem, przez drugą dobę, już w zamkniętej trumnie, w kościele parafialnym, do którego ją pod wieczór przenoszono. Raz rozeszła się pogłoska, że w kościele Kapucynów na Miodowej znajduje się śpiąca w letargu pani Latalska, bo złożono ją do trumny z różowymi policzkami. Tłum w groźnej postawie zebrał się przed kościołem. Z polecenia proboszcza, w obecności sedziego śledczego i lekarzy otworzono trumnę i stwierdzono, że zgon nastąpił niewątpliwie. Tu wspomnę, że była to ostatnia z rodu Latalskich, jednego z kilku rodów, które w w. XV i XVI otrzymały od króla i sejmu tytuł hrabiowski, zanim na mocy dwóch konstytucji sejmowych za królów Michała Korybuta i Jana III zabroniono szlachcie polskiej używania tytułów, pod karą infamii.

Jednakże wielu ludzi obawiało się letargu, a p. Józef Karnicki, osiadły w Warszawie ziemianin z Witebszczyzny, sporządził specjalny przyrząd, łączący trumnę z domem grabarza i tak czuły, iż sygnalizował najlżejsze drgnienie. Nazwał on ten przyrząd " karnicą", ale nie wiem czy go opatentował. W każdym razie nie mógł znaleźć szerokiego zastosowania jako zbyt kosztowny.

Osobiście słyszałem o jednym tylko zupełnie pewnym przypadku letargu, i to nie ze słynnego opowiadania Zoli, ale z ust świadka, powieś-

ciopisarki Żmijewskiej. Była jeszcze dziewczynką, gdy matka jej na drugi dzień po pozornej śmierci podniosła się z katafalku i żyła potem lat k lka. Działo się to na wsi na Podolu, a zdarzenie to potwierdził mi kolega uniwersytecki Adrian Bieńkiewicz, zamieszkały w okolicach Baru, który zbierał materiały do historii swego powiatu, ale zdaje się, że jej nie opracował. Na tym samym kursie miałem drugiego kolegę " Adriana", Mazarakiego, który potem osiedlił się na Wileńszczyźnie w okolicach Michaliszek, nad górną Wilią.

Za najskromniejszym konduktem pogrzebowym zawsze szła gromadka ludzi. Przed karawanem postępował co najmniej kościelny z krzyżem, ale prawie zawsze — kapłan, a nader często — liczniejsze duchowieństwo. Rodzina i odprowadzający zmarłego szli za karawanem. Stały zwyczaj składania na trumnę kwiatów i wieńców ze wstęgami zaczynał się dopiero przyjmować, chociaż Deotyma twierdziła zawsze, iż to nie jest chrześcijański, ale starorzymski, pogański zwyczaj.

Najliczniejszy, gdy chodzi o ilość duchowieństwa i najuroczystszy co do ceremoniału kościelnego, był w końcu opisywanego okresu pogrzeb ks. arcybiskupa warszawskiego Chościaka-Popiela, wygnańca do Rosji środkowej w latach 1863–1867.

STRAŻ OGNIOWA

Ruch uliczny wstrzymywał niekiedy przejazd straży ogniowej. Przepyszny to był widok! Przodem pędził cwałem jeździec konny, o parę staj za nim także cwałem jechały dwukonne i czterokonne w poręcz wozy ze strażakami w pełnym rynsztunku, drabinami i sikawkami. Mnie się wydaje, że widok daleko szybciej pędzących samochodów czy czołgów nie może dorównać pod względem efektu widokowi cwałujących rumaków.

Straż ogniowa była zawsze "oczkiem w głowie" Warszawy. Zorganizował ją wzorowo, jeśli się nie mylę, płk. Abramowicz jeszcze na kilkanaście lat przed powstaniem styczniowym. Strażacy rekrutowali się z warszawiaków, przy czym służba w straży ogniowej zwalniała od służby w wojsku. Każdy oddział — a było ich pięć, przy czym pierwszy na ratuszu — miał konie odmiennej maści; były to przeważnie dość rosłe mierzyny, rasy zwanej niegdyś polską.

Dla nas, którzyśmy nie widzieli ani naszej husarii, ani naszych szwoleżerów i ułanów, te konie pędzące karierem po ulicy choć w drobnych zwarciach, budziły dziwny dreszcz, jakiś podświadomy napływ dziedzicznego afektu do tych wiernych towarzyszy w każdej " potrzebie," tylu pokoleń przodków. Zapominano prawie, że się przecież coś pali, że komuś grozi niebezpieczeństwo i straty.

Szybkiemu gaszeniu pożarów przed urządzeniem całkowitej sieci wodociągowej stawała głównie na przeszkodzie trudność w dostawaniu

dostatecznej ilości wody, bo strażacy i komenda odznaczali się zawsze sprawnością i odwagą. To też w owych czasach przyglądającą się publiczność pociągano nieraz do tworzenia łańcuchów w celu prędkiego podawania wiader z wodą. Ja, będąc uczniem, wpadłem raz tak z kilku kolegami przy pożarze wielkiego bloku domów, w znacznej części drewnianych, przy zbiegu ul. Wielkiej i Śliskiej, i przyczyniłem się w ten sposób do zwalczania, jak mówiono wtedy, "ognistego żywiołu".

W prasie wielkim protektorem straży ogniowej był założyciel " Kuriera Porannego " Fryze. Jeździł na wozie ze strażakami na większe pożary, ale co ważniejsze, zainicjował utworzenie kasy zapomogowej i pogrzebowej dla członków straży.

NIEZWYKŁY GRAD

Wśród rękawiczników, których było dużo, cieszył się długo powodzeniem niejaki Vetter, zdaje się Szwajcar. Twierdził, że jego rękawiczki są lepsze, niż paryskie od Jouvina. Utkwił on w mojej pamięci w związku z rzadkim zjawiskiem atmosferycznym. Było to 4 maja 1886 r. Otrzymawszy zaproszenie od p. Eugeniuszowej Sianożęckiej z Wiejny pod Mohylewem na wieczorek w dzień imienin jej młodszej córki Stanisławy (starsza Eugenia wyszła później za Augusta Potockiego z Jabłonnej), zaszedłem w południe do Vettera, żeby kupić białe rękawiczki. Dzień był słoneczny i wprost upalny. Nagle ściemniło się, i na zachodnią część Warszawy spadł tak ogromny i rzęsisty grad, że na całej długości Marszałkowskiej literalnie potrzaskał wszystkie szyby w oknach, obróconych na zachód. Nigdy potem takiego gradu nie widziałem, choć nad Warszawą często letnią porą przechodziły nawałnice i burze z piorunami. Nazajutrz przyszła wiadomość z Paryża — i to się jakoś w pamięci złączyło — o strasznym pożarze bazaru dobroczynnego urządzonego na jakimś placu, otoczonym z trzech stron blokiem szczytowych ścian. Wśród stu przeszło ofiar znalazła się księżna Alençon, siostra cesarzowej austriackiej Elżbiety.

FRYZJERZY

Fryzjerzy damscy w czasie karnawału pędzili od klientki do klientki nieraz od południa. Już wtedy, zdaje się według tradycji wersalskich sprzed wielkiej rewolucji, znani byli tylko z imion a nie z nazwiska. Długo w opisywanym okresie wzięty był i modny—Roman z Mazowieckiej. Goleniem mężczyzn — żyletki nie były jeszcze wówczas wynalezione — zajmowali się głównie felczerzy utrzymujący zakłady golarskie. W soboty bywały one zwykle przepełnione ku tym większemu zaniedbaniu wymagań elementarnej higieny. Golenie kosztowało 10 kop, strzyżenie — 15; do mnie

przychodził zwykle z rana młodzieniec z pobliskiego zakładu, pobierając 3 a później 4 rb na miesiąc.

Lecz na strzyżenie włosów chodziło się do Ludwika w hotelu Europejskim lub do Aleksandra na rogu Niecałej i Wierzbowej. Brody i bakenbardy powoli wychodziły z mody, ale wąsy kwitły stale, bądo usztywniane poziomo za pomocą gorącego żelazka albo węgierskiej pomady, bądź à la Kaiser Wilhelm z podniesionymi do góry szpicami, co wymagało znowu trzymania pod nosem i dokoła głowy, przez kilka minut przynajmniej, t. zw. bindy. W świecie literackim wspaniałymi brodami imponowali Smoleński, Ignacy Matuszewski, Mścisław Godlewski, Znatowicz i bracia Stanisław i Gabriel Kempnerzy. Zwolna też od gotowych krawatów, przeważnie czarnych atłasowych kokard, przechodzono do wiązania plastronów o jaśniejszych kolorach, ze szpilkami, i do wąskich i długich, dzisiejszego typu, zwanych regatami.

KRAWCY I GARDEROBA

Wśród krawców męskich prym trzymali Chabou, Starkman, Januszkiewicz, później Zborowski i kilku innych. Polacy, jak mówiono, są bardzo zdolni do krawieczyzny, szczególnie jako krojczy. Koło r. 1900 jednym z pierszorzędnych krawców berlińskich był Polak Berkman, który udzielał uprzejmie kredytu kilku wybitniejszym pisarzom rodakom, co mu przysporzyło nie tyle może marek niemieckich ile listów z komplementami i autografami, posiadających dzisiaj bez wątpienia większą wartość rynkową od owych marek.

Surdut, zwany także tużurkiem, był głównym ubiorem męskim. Zmieniał on także fason, to bywał wysoko zapinany (nazywano go wtedy angielskim), to bardziej otwarty. Szczytem szyku było pokazać się latem, zwłaszcza na wyścigach, w jasnopopielatym długim i takiegoż koloru cylindrze. Kamizelki również bywały rozmaitego kroju; długi czas noszono przy czarnych surdutach kamizelki innej barwy, sztuczkowe w różne desenie, podchodzące wysoko pod szyje. Przeciętna cena garnituru marynarkowego wynosiła od 40 do 50 rb. Gorsy koszul, zwane podobno w Poznaniu przodkami, oraz mankiety były zawsze zimą czy latem suto nakrochmalone, twarde i sztywne, jak pancerze. Ród męski może wiele win i błędów wybaczyć królowi włoskiemu Wiktorowi Emanuelowi II, bo to jemu a nie Edwardowi VII przypisują wprowadzenie mody miękkich kolorowych koszul dziennych. Krol Edward VII wprowadził natomiast smokingi, t.j. frak bez pół, co także jest wielką zasługą, i niezapinanie ostatniego guzika w kamizelce.

Ineksprymable, czyli po prostu spodnie, zmieniały również umiejscowienie kieszeni i szerokość nogawic. Około r. 1880 szerokość nogawic przybrała kolosalne rozmiary. Opowiadają, że z tego powodu generał-

gubernator warszawski Albiedinskij raz jeden skorzystał z prawa wysiedlania niepożądanych obywateli z granic Królestwa. Na balu publicznym w ratuszu na rzecz szpitalika dla dzieci, patronowanego przez p. Augustową Potocką z Wilanowa, na którym tradycyjnie ukazywał się " Zamek," generał spostrzegł szastającego się po sali młodzieńca w spodniach jak gdyby w dwóch spódnicach, z wyciętym na kilka cali od szyi gorsem u koszuli i na dobitek z ogromną czerwoną kamelią w butonierce. Takiego widoku nie mógł znieść lew niegdyś salonów dworskich petersburskich z okresu obcisłych ineksprymabli, nawet przy mundurach, i dystynkcji we wszystkich szczegółach. Na raport oberpolicmajstra, że jest to Kazimierz Korwin - Piotrowski, syn marszałka szlachty pow. łuckiego z Kiwerc, wyrzekł:

— Tak niech on zaraz jutro w tych sztanach wraca do swego Łucka.

Młodzieniec ów osiadł później w Warszawie jako zdolny adwokat i założył tygodnik "Ziarno", ale odznaczał się zawsze wielką próżnością i chęcią rozgłosu. Ojciec-marszałek — przed wstąpieniem do stanu duchownego, czego sobie życzyła jego matka — przyjechał do Warszawy i po pierwszej bytności w teatrze tak się zakochał w jakiejś tancerce, iż stante pede, uzyskawszy indult, ożenił się z nią.

Temu małżeństwu, choć na pozór niedobranemu, powieść i teatr polski zawdzięczają wiele: zawdzięczają Gabrielę Śnieżko-Zapolską, siostrę Kazimierza. Jej przesadną zgryźliwość i zgrzytliwość, szczególnie w pierwszych utworach, można niewątpliwie przypisać bardzo nieszczęśliwemu małżeństwu z Konstantym Śnieżką z brzeskiego, oficerem gwardii. Poznałem ją młodą mężatką, a ostatni raz widziałem chorą i złamaną życiem w jakiejś lecznicy we Lwowie, kiedy późną jesienią 1909 r. udałem się tam, jako wiceprezes Tow. Literatów i Dziennikarzy, na wielki zjazd dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Słowackiego.

ATMOSFERA LWOWA

Nie było jeszcze wówczas kolei od Ostrowca do Sandomierza, tak że z Warszawy do Lwowa trzeba było zataczać ogromne koło przez Kraków. Utrudniało to przez wiele lat stosunki między Warszawą i Lwowem. Ale kilku lwowian przyjeżdżało na dłużej lub krócej do Warszawy, że wymienię ks. Józefa Teodorowicza, Tadeusza Smarzewskiego, Czapelskiego, z z drugiej zaś strony inni przenosili się z Warszawy do Lwowa, jak mój przyjaciel, prof. Józef Kallenbach, i Marian Gawalewicz, gdy objął dyrekcję teatru lwowskiego. Dzięki nim poznałem się bliżej z prof. Bronisławem Dembińskim, z Edwardem Porębowiczem, z inspektorem Dębowskim, z Tarasiewiczem, który przyjechał z Krakowa na występy w dramatach Słowackiego, i z licznym gronem literatów i literatek, z Adamem Krechowieckim, prezesem Tow. Literackiego, na czele.

Uważaliśmy z żoną, że atmosfera Lwowa jest bardziej zbliżona do atmosfery Warsawy niż atmosfera Krakowa, że jest tam więcej serdeczności i łatwości w stosunkach. W Krakowie wszystko było jakby wyższe, uroczystsze, trochę napuszone, w Krakowie nawet " Zielony Balonik " był instytucją, a cóż dopiero Wszechnica Jagiellońska, Akademia Umiejętności, redakcja "Czasu". Tak nam się wówczas wydało, ale półtoramiesięczny pobyt przymusowy na początku wielkiej wojny przekonał nas o skarbach serca u krakowian, pomimo pewnego protekcjonalizmu w stosunku do Warszawy.

Drugi raz byłem we Lwowie na wielkim zjeździe Związku Miast polskich i znowu bankietowałem w pięknej — o ile sobie przypominam — sali hotelu Żorża. Ówczesny wojewoda Grabowski, przedtem kolega mój z Sądu Najwyższego, udzielił mi uprzejmie gościnności w pałacu " Pod Kawkami", w pokoju gdzie miał nocować car Mikołaj II. Nieszczęsny jego duch nie zmącił mego snu, ale po tej drugiej bytności we Lwowie tym bardziej nie dziwię się Kallenbachowi, że mówił do mnie: " Sam nie wiem, co więcej kochać, Syrenę czy Lwa", bom mu kiedyś wymawiał, że Syreny opuszcza łono i rzuca się w objęcia Lwa.

NOWE KAMIENICE

Styl i rozplanowanie budowanych w tym okresie kamienic były z pewnymi wyjątkami niefortunne. A zbudowano ich wtedy wiele, i frontowych i oficynowych, wyzyskując dawniejsze obszerne dziedzińce i nadbudowując po jednym a często i po dwa piętra. Sprzyjał temu coraz szybszy wzrost ludności w mieście oraz racjonalny kredyt amortyzacyjny, udzielany przez Tow. Kredytowe Miejskie. Po śmierci głównego jego inicjatora, ks. Tadeusza Lubomirskiego, ojca Zdzisława, prezesem komitetu był przez długie lata Leopold Kronenberg syn, a najbardziej czynnymi w tym czasie dyrektorami — Wiktor Czajewicz, Aleksander Makowiecki i Czesław Janiszewski. Oni przeprowadzili powiększenie w dwójnasób siedziby Towarzystwa na ul. Czackiego, wówczas zwanej Włodzimierską. Syn Makowieckiego, Zygmunt, nabył przed samą wojną 1914 r. gazetę "Goniec Poranny", który przez długi czas był organem stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, ale zmienił jego kierunek i stał się t.zw. aktywistą, choć nie tak proniemieckim, jak redaktor założonej za okupacji gazety "Godzina Polska", której lokal i drukarnie przy ul. Wareckiej zajął w listopadzie 1918 r. "Robotnik".

Wstąpiłem później do zarządu Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości, założonego staraniem mecenasa Adolfa Suligowskiego i współwłaściciela wielkiego browaru, Juliana Machlejda. Warto zaznaczyć, że rodzina Machlejdów nie jest pochodzenia niemieckiego, jak powszechnie mniemano, ale szkockiego.

Od swoich pożyczek hipotecznych Towarzystwo popierało 6¼% wraz z amortyzacją a płaciło od listów 4½ i 5%. Hipoteczne pożyczki prywatne, dające 7% i 8%, tedy więcej niż listy zastawne i inne papiery publiczne, były poszukiwane. Jeden z ówczesnych notariuszy stołecznych, Włodzimierz Kretkowski, idąc za wzorem notariuszy francuskich, zajmował się dla swoich klientów, przeważnie ze sfer arystokratycznych, wyborem lokat, pobieraniem procentów, pilnowaniem terminów i t.p. Kretkowski, ziemianin z Kujaw, był w latach powstaniowych prezesem dyrekcji głównej Tow. Kredytowego Ziemskiego, a więc właściwie kierownikiem najpotężniejszej podówczas organizacji obywatelskiej, opartej na wyborach. W terminie płatności kuponów od listów zastawnych w końcu czerwca 1863 r. polecił wymienić je niezwłocznie pierwszego dnia wszystkim zgłaszającym się. Na drugi dzień przyszedł od rządu nakaz wstrzymania wypłat, do czasu wyjaśnienia, które z kuponów należą do osób podejrzanych o dostarczenie funduszów powstańcom. Chociaż Kretkowski był formalnie w porządku, zesłano go administracyjnie na trzy lata do Wołogdy czy do Wiatki; towarzyszyła mu tam żona, Amelia z Terleckich. Od tego czasu prezes dyrekcji głównej nie był już wybierany, lecz mianowany przez rząd z grona emerytowanych dygnitarzy rosyjskich (niektórzy z nich nawet nie mieli majątku w Królestwie). Do kilku języków, którymi Kretkowski wybornie władał, dodał jeszcze na wygnaniu znajomość języka hiszpańskiego, stąd wszystkie akty, wymagające przekładu na język obcy, sporządzano w jego kancelarii. Kretkowski należał do rzędu najpokaźniejszych i najdystyngowańszych "starszych panów" w Warszawie. Stał się nawet bohaterem jednoaktówki p.t. "Hrabia rejent". Autorką jej była p. Aniela Tryplinówna, córka dr. Teodora Tryplina, poczytnego w swoim czasie kompilatora podróży po krajach europejskich, a ciotka Ignacego Szebeki, wybitnego później polityka i dyplomaty, oraz koleżanki mojej z Koła Ludowo-Narodowego w pierwszym senacie, senatorki Józefy Szebekówny, która wraz z posłanką na sejm Ireną Puzynianką, zmarłą w r. 1937, przewodniczyła Narodowemu Związkowi Polek.

Po Kretkowskim kancelarię jego objął Zygmunt Wasiutyński, brat mego szwagra Juliana.

MEBLE I DYWANY

Domy ówczesne budowano z przesadnym wyrachowaniem i oszczędnością, zwłaszcza gdy chodziło o małe i średnie mieszkania; sypialnie i przedpokoje były ciasne, nie było pomieszczenia dla służby, a dla stróża i jego rodziny przeznaczano klitkę pod schodami. Dopiero w końcu XIX w. ten stan rzeczy pod każdym względem zaczął się poprawiać.

Ale posadzki i piece były zawsze pierwszorzędne. W całej Polsce, a szczególnie w naszych dzielnicach, obfitujących w różnorodne rodzaje

drzewa, a po rzekach — w pokłady sczerniałego na heban dębu, posadzki były prześliczne i stosunkowo niedrogie. Jedną z większch fabryk posadzek miał ojciec mojej synowej Janowej, Niezabytowski, w Bacewiczach koło Berezyny pod Bobrujskiem. Przeniósł się później do majątku żony, Chotowa w pow. stołpeckim, gdzie zbudował duży kościół w stylu romańskim. Nowogródek słynął dość szeroko z nader trwałych i z wykwintną glazurą kafli do pieca, które bodaj wkrótce po powstaniu zaczął wyrabiać, korzystając z dobrej glinki, przybyły z Czech północnych Herman, potem spolszczony zupełnie, a następnie zięć jego Leitnecker. Rodzina ta wzniosła w Nowogródku, już jako w stolicy województwa, pierwszy " drapacz chmur" czteropiętrowy ; widok z niego wart był przynajmniej 44 pięter. Ozdobność posadzek, zawsze starannie froterowanych, oraz należyte ciepło w mieszkaniu sprawiały, że prawie nie używano dywanów. W średnich salonach zwykle leżał jeden dywan pod otoczonym fotelami i krzesłami stołem, utrudniającym dostęp do monumentalnej kanapy. Największą fabrykę dywanów już wtedy prowadził w Warszawie Kiltynowicz. Rzadkością były dywany z fabryki grodzieńskiej, założonej przez podskarbiego litewskiego Tyzenhauza.

SZTUKA " STOSOWANA "

Ale w każdym małym nawet saloniku, jak i w każdym prawie dworze wiejskim, stał fortepian lub pianino, i rzadko która panienka " z inteligencji " nie uczyła się grać na nim. Narzekano na to i nawet wydrwiwano, zdaniem moim, niesłusznie. Nie było wówczas ani gramofonów ani radia, a potrzeba muzyki istniała, choćby już nie na poziomie " wielkiej sztuki," lecz "stosowanej", dla zabawienia dzieci, dla potańczenia, dla przypomnienia sobie jakiegoć ulubionego motywu, zasłyszanego na koncercie czy granego przez dobrych muzyków-amatorów, których u nas nie brakło, i.t.p.

Ludność wiejska, oprócz organów w kościele, miała skrzypeczki i gęśliczki, przy czym zaznaczę, że choć spotykało się dość dużo istotnie utalentowanych grajków, nie zdarzyło mi się nigdy widzieć dziewczyny wiejskiej grającej na skrzypcach, czy nawet wybijającej takt na patelni lub miednicy z brzękadłami. Po miastach i miasteczkach popularniejsze były harmonijki, no i katarynki, które stróże radzi wpuszczali na dziedziniec pomimo zakazu kapryśnych lokatorów, a którym my, dzieci, rzucaliśmy z radością zawinięte w papierek dziesiątki. Cymbałów, granych umiejętnie, nie słyszałem nigdy; myślę, że cymbały zacnego Jankiela z " Pana Tadeusza " przeszły do legendy.

Z fabryk fortepianów istniały już wtedy w Warszawie : Krala i Seidlera oraz Kerntopfa, którego dosyć cenił Paderewski, a Wilnie — Małeckiego. Największe składy fortepianów i pianin do kupowania i

wynajmowania należały do Feliksa Gebethnera, krewnego księgarza, oraz do firmy Herman i Grossman na Mazowieckiej, wprost Kredytowej. Za wynajem pianina pobierano 10 rb a fortepianu 15 rb miesięcznie; od mniej pewnych klientów żądano zastawu, zwłaszcza odkąd jacyś sprycarze zorganizowali tajną wyprzedaż wynajętych instrumentów na prowincję.

" SPAGHETTI A LA VERDI "

Ludwik Grossman, główny kierownik firmy, napisał operę " Duch wojewody ". Prowadził on z nader gościnną żoną salon, ujmujący nie tyle swoim umeblowaniem w stylu Louis XV (nabytym od pierwszej, krótkotrwałej faworyty Aleksandra II), ile pierwszorzędnymi artystami, którzy przyjeżdżając do Warszawy, zawsze ten salon odwiedzali i nie mijali pokoju stołowego, gdzie wśród akordów " uwertury kolacyjnej " zachwalano pierożki ze szpinakiem à la Patti i spaghetti à la Verdi. A nie da się zaprzeczyć, sprawiało przyjemność porozmawiać z Mierzwińskim, kibicując mu podczas pokera (kiedy śmiał się, zgarniając pulę, to jakby koń rżał), ścisnąć dłoń Czajkowskiego, być przedstawiony pani Sembrich-Kochańskiej czy Russelce, albo przetańczyć walca, mając za taperkę samą p. Zofię Menter-Popper o aksamitnyem uderzeniu palców.

Tu raz Franciszek Brzeziński, jeden z najzdolniejszych muzyków-amatorów, jakich znałem, wygrał zgromadzonym prima vista najpiękniejsze ustępy z tylko co otrzymanego pierwszego egzemplarza partytury na fortepian " Cavaleria rusticana ". Cały salon " achał " i " ochał " z admiracji. Po śmierci Grossmana i otwarciu Filharmonii p. Aleksandrostwo Rajchmanowie urządzali często w popołudnia niedzielne podwieczorki dla przejeżdżających wielkości artystycznych. Wtedy też osiadł w Warszawie późniejszy dyrektor opery miejskiej w teatrze Wielkim, jeden z najznakomitszych dyrygentów współczesnych, Emil Młynarski.

MEBLE

Meble tapicerskie w stylu drugiego cesarstwa (Napoleona III) nie były ładne, ale były wygodne: wolałem je od " secesyjnych ", również nieładnych lecz mniej wygodnych. Nie lubiłem ozdabiania buduarkow pseudo-japońszczyzną i wachlarzami à la gejsza. Meble stolarskie, w których celowali Simmler i Czajkowski, choć masywne i ciężkie, były estetyczniejsze. Przez wiele lat panowała moda portier, t.j. długich do posadzki firanek przy drzwiach i oknach, z tego samego materiału co pokrycie mebli, a więc adamaszkowe, aksamitne, pluszowe (najczęściej koloru bordeaux) i rypsowe. Jutę zaczęto — zdaje się — wyrabiać później.

Portiery te zimą nadawały pokojowi wiele przytulności, ale z biegiem czasu wyszły z użycia, jako niehigieniczne i kosztowne. Dłużej u góry okien przy ażurowych firankach przetrwały t. zw. lambrekiny.

Obicia, których głównym dostarczycielem był Franaszek, pokrywały wszystkie ściany; bielone ściany uchodziły za zbyt proste. W salonie były jaśniejsze, w innych pokojach zanadto ciemne. W braku obrazów i sztychów w salonie zawsze była profuzja luster: owalne, prostokątne, stojące przez całą wysokość pokoju z konsolami, w ramach pozłacanych lub koloru drzewa meblowego.

Oświetlenie codzienne stanowiły lampy naftowe: wisząca w pokoju stołowym, stojąca z kloszem spuszczonym białym lub zielonym na biurku i rozwartym lub kulistym w salonie. Później przyszła moda na abażury. Lampy te świeciły dobrze, ale Boże ratuj, gdy "filowały"; to też z większych przyjęć i wieczorów nafta była wykluczona, panowały świece: w żyrandolu, zwieszającym się z sufitu pośrodku salonu, w kinkietach, t. j. bądź podwójnych bądź potrójnych lichtarzach, przy ścianach, i wreszcie w kandelabrach na stołach i konsolach. Świece te dawały światło niezmiernie przyjemne, korzystniejsze dla kolorytu cery, niż elektryczne, i bardziej efektowne dla błysków drogich kamieni. Co prawda, te świece stearynowe, szczególnie t. zw. "newskie" z jakiejś ogromnej fabryki pod Petersburgiem, były wyborne, nie topniały i nie kapały, tak że nie trzeba było prawie używać przy nich profitek, a już nigdy szczypców do obcinania knotów, jak przy dawniejszych łojówkach.

KWIATY I ZEGARY

Kwiaty doniczkowe nie były jeszcze tak modne, jak później, ale za to prawie w każdym salonie stały wazony z zielonymi roślinami: palmy rozmaitych gatunków, nieraz bardzo wyrosłe i rozłożyste, fikusy, rododendrony i t.p. W bukietach przez długi czas osadzano kwiaty na drucikach a całość na tekturowym, płaskim jakby talerzu z tekturową rączką. Dopiero koło r. 1890 nasze główne firmy ogrodnicze braci Kaczyńskich, Hoserów i Ulrichów utworzyły spółkę "Flora" we wspaniałej nowej kamienicy Szajblerów z Łodzi na Trębackiej i wprowadziły w modę bukiety z wolnych kwiatów w kształcie wiązanek. Oni też wraz z Tow. Ogrodniczym urządzali parodniowe wystawy kwiatowe zwykle przy końcu czerwca w t.zw. starej oranżerii w parku łazienkowskim, na których brylowały głównie róże i bratki. Zimą do butonierek męskich hodowano specjalnie goździki i gardenie. Zaczęły się też ukazywać coraz częściej wczesną wiosną azalie i jesienią — chryzantemy.

Lubiono ustawiać w salonie, na gzymsie kominka albo na konsoli, zegary z figurami mitologicznymi w stylu rozmaitych epok. Wśród zegarmistrzów najwięcej znani byli Augustynowicz, Babczyński i Wo-

roniecki, a z mniejszych Grabau i Modro. Wymienić też należy Lilpopa z ul. Wierzbowej, który miał swego czasu głośny spór z gubernatorem radomskim Zasiadką o złoty chronometr, nabyty przez gubernatora od podejrzanej osobistości a ukradziony u Lilpopa. Zegarmistrze warszawscy od czasów Gugenmussów, których trzy pokolenia tytułowało się " horlogers du Roi", cieszyli się wielką sławą.

Porcelany i srebra stołowego było na ogół dość dużo, nawet w mniej zamożnych rodzinach. Przekazywano je w drodze spadku i przy wyprawach dla córek. Najwięcej posiadano starej porcelany saskiej, choć nie brakło i serwskiej. Z pietyzmem strzeżono naszej porcelany koreckiej i z Baranówki, która była najrzadsza. Współczesną tańszą porcelanę wyrabiał już Ćmielów w sandomierskiem bodaj jeszcze z inicjatywy jego pierwszego właściciela, ministra Ksawerego Lubeckiego. Na codzień używano fajansu niekiedy także cennego. Moja matka otrzymała m. in. od ojca Stanisława Jundziłła, który był porucznikiem w wojsku Księstwa Warszawskiego, kilkanaście francuskich fajansowych talerzyków deserowych z rysunkami bitw napoleońskich słynnego batalisty Raffeta. Niestety, dość prędko "stłukłszy się", jak zawsze mówiła służba, ale było w tym dużo mojej winy, bo chciałem ciągle je oglądać. Jeden z tych talerzyków, który przedstawiał Napoleona pod Waterloo, patrzącego, na rozpartym białym koniu, jak się tłoczy i depce w zdradzieckim jarze kawaleria Neya, sam stłukłem umyślnie w dziecięcym porywie gniewu czy żalu do historii, że się tak właśnie stało.

ZAKŁADY PRZEMYSŁOWO-HANDLOWE

Na codzień używano nie srebra, ale sztućców platerowanych najlepszej i wciąż rozwijającej się fabryki Juliana Frageta przy ul. Elektoralnej, której dyrektorem po śmierci Frageta był długo profesor akademii handlowej Bronisław Dmochowski.

Z większych zakładow przemysłowo-handlowych kwitł już wówczas, i bodaj od połowy XIX w., skład narzędzi rolniczych p. f. Alfred Grodzki, w osobnym skrzydle pałacu Błękitnego ordynacji Zamoyskich od strony kościoła Reformatów. Trzeci czy czwarty z rzędu Alfred Grodzki na parę lat przed wojną w przystępie melancholii pozbawił się życia.

Zaczynała się już wtedy rozwijać fabryka i magazyn wyrobów metalowych Krzysztofa Bruna, na rogu Bielańskiej i pl. Teatralnego. Syn założyciela, Stanisław, był moim kolegą w Kole Ludowo-Narodowym pierwszego senatu. Napracowałem sie z nim i z posłem na sejm, w ostatnich czasach posekretarzem stanu w ministerstwie sprawiedliwości Adamem Chełmońskim, nad uzgodnieniem projektu pierwszej ustawy patentowej. Z synem Stanisława Bruna, Henrykiem, honorowym

konsulem duńskim, organizowałem Tow. Polsko - Duńskie. Zginął z rąk okupantów.

Niewielki w ósmym dziesiątku lat ub. w. skład materiałów aptecznych Ludwika Spiessa, zwyciężywszy konkurenta Gallego, przeobraził się zwolna w nowożytną fabrykę chemikalii, która w ostatnich latach mogła być śmiało nazwana warszawskim Bootsem. Wśród zakładów nie środków, ale narzędzi leczniczych i opatrunkowych, wyróżniał się, oprócz Jakuba Pika na Miodowej, jeszcze Koch, krewny albo imiennik cukiernika Kocha, bardzo przez kilka lat wziętego. Z dość wulgarnych dowcipów, opartych na brzmieniu nazwiska (jak np. "Nie rozpędzaj się, Rozpędowski! ", gdy jakiś Rozpędowski budował z małymi pieniędzmi szereg domów na Żurawiej), krążyło także powiedzonko : " Koch Kochową kocha, a Kochowa Kocha nie kocha".

Z wielkich fabryk żelaznych zaraz po powstaniu, czy może nawet pierwej, powstała spółka Lilpop, Rau i Löwenstein. Lilpopowie i Rauowie mieli tuż przy sobie dwa pałacyki w al. Ujazdowskich. Löwenstein otrzymał od króla belgijskiego tytuł i nazwisko barona de Lenval. Ufundował on na rogu Marszałkowskiej i Litewskiej zakład opiekuńczo-wychowawczy dla sierot po robotnikach. Kiedy w ostatnim dziesiątku lat ub. w. rozwinęła się w Warszawie gra giełdowa,— i to najryzykowniejsza, bo na termin,— najwięcej grano na warszawskich Lilpopach oraz rosyjskich Putiłowach i Brańskich. Wielu bankierów porobiło wtedy fortuny, a wielu ludzi prywatnych, zwykle liczących na "haussę", zostało zrujnowanych. W związku z tym hazardem giełdowym nastąpiło bankructwo i zaginięcie bez wieści mniejszej miary bankiera o klienteli przeważnie ziemiańskiej — Rawicza. Pałacyk po nim, z różowym oblicowaniem fasady na pl. Dąbrowskiego nabyli Adamostwo Czartoryscy na pied-à-terre, gdy przyjeżdżali z Gołuchowa w Poznańskiem.

Największym przedsiębiorcą budowy mostów stał się wówczas Konstanty Rudzki, założyciel towarzystwa akcyjnego, które już przed mostem Poniatowskiego w Warszawie skonstruowało wiele mostów, i to nie byle jakich, w Rosji i na Syberii, nawet na Amurze czy na Sungari w Mandżurii.

Raz go tylko potem widziałem, jako rzeźkiego starca, ale bywałem u wdowy po nim, na Bagateli, kuzynki Jeleńskich i Oskierków z Wileńszczyzny (nie pamiętam jak z domu). Dużo o jego energii jako selfmademana opowiadał mi wicedyrektor Andrzej Wierzbicki, z którym w połowie września 1914 r. wracaliśmy furmaneczkami przez Miechów i Żarki z Krakowa do Piotrkowa, przemykając się dziwnie pomyślnie wśród oddziałów niemieckich. Jechała wtedy z nami, oprócz mojej żony i jej siostry, p. Władysława Ordon-Sosnowska, artystka naszego teatru Rozmaitości. Po rozwiązaniu małżeństwa z kolegą swym, znanym aktorem, Józefem Sosnowskim, wyszła za mąż za szefa pierwszorzędnej, od dawna istniejącej wytwórni szczotkarskiej na ul. Senatorskiej Aleksandra Feista.

Przy końcu tego okresu powrócił do kraju, jako przedstawiciel kilku przedsiębiorstw belgijskich, Władysław Kiślański. Przyczynił się on hojnie do rozwoju instytucji prowadzonych pod egidą Muzeum Przemysłu i Handlu, m. in., gdy stało się to możliwe, do założenia i utrzymywania Wyższych Kursów Rolniczych, nieodzownie potrzebnych dla kraju, zwłaszcza gdy instytut agronomiczny w Puławach po jego kompletnej rusyfikacji uległ bojkotowi Polaków. Kursy te, pod dyrekcją Józefa Mikułowskiego - Pomorskiego, przenosiły się zwolna z wielkiej kamienicy Lessera, nabytej przez miasto przy ul. Miodowej, do własnego gmachu na Rakowieckiej. Po Bronisławie Boufalle, który był przez rok pierwszym naszym posłem w Rydze z synem moim Józefem, jako sekretarzem poselstwa, wykładałem tam prawo w latach 1912–1939.

Kiślański miał piękną willę z parkiem w Tarchominie nad samą Wisłą, do której zapraszał profesorów i studentów, oraz pałacyk na ul. Szopena, oddany później przez wdowę po nim w dzierżawę ambasadzie tureckiej.

FIGLE KOREKTY

Gdy drukowałem w " Dzienniku Polskim " jedno z moich wspomnień, chochlik drukarski zrobił figla zacnej p. Julii Bogkowej, przypisując jej — przez opuszczenie wyrazów "książek odpowiednich dla" — jakąś "wypożyczalnię panienek". Otóż idealna korekta drukarska jest jedną z najtrudniejszych rzeczy. Twierdzę zawsze, iż nie ma żadnej książki na świecie i w żadnym języku, która byłaby wolna od omyłki drukarskiej, a cóż dopiero powiedzieć o dziennikach, gdzie działać musi "Blitzdruck". Jest też w tym nieco winy samych autorów z racji ich niewyraźnego pisma; do nich i ja, niestety, należę, chociaż mój nauczyciel pisał się pompatycznie " profesor obojga kaligrafii " i był biegłym sądowym badania autentyczności dokumentów. Nie mogę zaś używać maszyny do pisania z dwóch powodów: po pierwsze, nie mam jej, po wtóre, nie umiem na niej pisać.

Bardzo drażliwa na błędy korektorskie była Deotyma. Skarżyła mi się ona nieustannie na omyłki w kilku pieśniach poematu " Sobieski pod Wiedniem", który wydawał Gadomski przy "Gazecie Polskiej", i żądała zmiany korektora, a na dobitkę (nomen — omen!) miał on nazwisko Omyliński. Piekło pono robił w drukarni Przesmycki szczególnie przy składaniu pism Norwida. Niezmiernie wymagający był również adwokat Jan Jakób Litauer, główny redaktor wydawanego przez nas w Tow. Prawniczym nowego przekładu z komentarzami ustaw cywilnych, bo w ustawach i dekretach każdy przecinek ma znaczenie. Raz w liście kwestarek wielkotygodniowych figurowała Anna z Czortów (zamiast z Czorbów) Okęcka.

Słynna było w swoim czasie decyzja cara Mikołaja I co do jakiegoś

urzędnika z prowincji, który coś przeskrobał, a miał dużo przyjaciół u dworu. Na jego petycji o darowanie winy car napisał na marginesie: " Prostit' nielzia sosłat' w Sibir (Przebaczyć nie można zesłać na Sybir) ", ale nie postawił nigdzie przecinka. Petycja wróciła z przecinkiem po wyrazie "prostit',", i winowajca uniknął kary.

JESZCZE SKLEPY

Zanim przejdę do księgarń, przypomnę jeszcze kilku sklepów, modnych w opisywanym okresie, pomijając te, które pod tą samą firmą przetrwały do ostatnich czasów, jak np. jubilerzy Wapiński, Turczyński, Mankielewicz, Golińska ("objets d'art", z wielkim wyborem albumów do fotografii, które kładziono wtedy na stolikach w salonie), grawer Lipczyński, oraz optycy Berent, Gerlach i Dreher. Binokle nazywano pincenez, bo trzymały się tylko na ściskającej nos sprężynie, ale okularów nikt nie nosił i uchodziły jedynie starym belfrom, tak samo jak wykładane kołnierzyki męskie, które przynajmniej na jakie dwadzieścia lat ustąpiły miejsca kołnierzykom stojącym z rozmaitym, węższym lub szerszym, rozchyleniem rogów. Galanterię męską (krawaty, spinki, laski) radzono kupować u Jeziorowskiej na Nowym Świecie i u Kubalskiego na Krakowskiem, później przybyli Fertner, Bednarowski, Chojnacki, istniejący dotychczas. Najwytworniejszą bieliznę męską miał Bobrowski w hotelu Angielskim, a ubranka dziecinne — siostry Heurichówny na Miodowej.

Najlepsze cylindry i melony krajowe oraz dobór zagranicznych można było znaleźć u Wejchta na rogu Królewskiej i Krakowskiego, w domu, gdzie na drugim piętrze długi czas istniała także pierwszorzędna pracownia kapeluszy damskich Kuhnkowej. Dom ten w ostatnim dziesiątku lat ub. w. powiększył i przerobił nowy właściciel Salerno di Colonna, potomek jednej z rodzin włoskich, które w końcu XVIII w. (jak Bacciarellowie, Orsettiowe, Tomassiniowie, Dal Trozzowie, Dzianottowie (Gianotti) a w Wilnie Fiorentiniowie), osiedliły się w naszym kraju i gruntownie spolszczyły. Przeróbka domu Salerny przypadła na czas budowy soboru na pl. Saskim, do której sprowadzono z zagranicy bez opłaty cła jakąś nadzwyczajnie trwałą cegłę w ilości, której by starczyło niewątpliwie na dwa takie sobory. Stąd wynikła sprawa kryminalna o potajemny handel tą cegłą; wciągnięto do niej Salernę, ale oskarżenie okazało się niesłuszne.

Wśród zakładów fotograficznych, obok Bajera, Brandla, Karolego i Puscha, pierwsze miejsce zajmował Jan Mieczkowski, który nawet zbudował specjalny dom na rogu Koziej i Nowomiodowej. Polacy wykazywali już wtedy zdolności i pomysłowość w kunszcie fotograficznym; słyszałem, że najmodniejszym fotografem w Paryżu za Napoleona III i za prezydentury Thiersa był "Valéry", emigrant polski, który wolał na firmę użyć swego imienia niż nazwiska. Po Mieczkowskim osiadł Tdzikowski.

Na miejscu gdzie stanął dom Mieczkowskiego i gdzie przeprowadzono ul. Nowomiodową, w w. XVII istniał rozległy dwór "Pod Gwiazdą", sprzedany przez Dobrogosta Krasińskiego, gdy zbudował wspaniały pałac, zwany dotąd pałacem Krasińskich, choć po nabyciu go w r. 1768 przez rząd stał się pałacem Rzeczypospolitej (obecnie Sąd Najwyższy). Opowiedział mi to starszy kolega z Prokuratorii, historyk Smoleński, gdyśmy wracali razem z sądów.

— A tu,— rzekł, kiedyśmy stanęli u zbiegu Miodowej, Senatorskiej i Koziej, — tu właśnie, w listopadzie 1771 r. kilkunastu konfederatów barskich ze Stanisławem Strawińskim na czele porwało Stanisława Augusta.

Na detalicznym handlu papierem (rejestra, bilety wizytowe, zaproszenia, papier listowy i t.p.) zrobił fortunę Szuster i nabył rozległy ogród w Mokotowie. Później zaczął z nim konkurować, ale tylko w zakresie najwykwintniejszej "papeterie", Watson na Trębackiej.

Apteki, których liczba była ograniczona, przy dość wysokiej taksie lekarstw robiły doskonałe interesy. Przed pierwszą wojną zwinięto bardzo wziętą Heinricha na pl. Teatralnym, obok słynnego magazynu mydeł i perfum własnego wyrobu pod firmą Fryderyk Puls. Mydła Pulsa, zwane "glicerynowe", w pomarańczowym opakowaniu po 15 kop za sztukę, rozchodziły się po całym kraju, roznoszone po wsiach przez t. zw. kramników lub węgrzynów. Fabrykę tę wraz z firmą nabyła w owym czasie rodzina Neprosów i bardzo ją rozwinęła. Jedną z panien Neprosówien poślubił malarz Stanisław Lenc.

Tu zaznaczę, że chociaż już wówczas nadużywano zastrzyków morfiny, jak i usypiania po wsiach niemowląt naparem z makówek, o kokaizowaniu się nigdy nie słyszałem.

Na szczególną wdzięczność "ludzi pióra" zasłużył właściciel apteki na ul. Granicznej, Apolinary Kowalski, bo zaraz niemal po utworzeniu Kasy Literackiej około r. 1900 zapisał jej kamienicę "Pod Bocianem" na rogu Pięknej i Poznańskiej, żona zaś jego — połowę swojej sumy, zabezpieczonej na tymże domu. Przynosił on w ostatnich latach przeszło 20.000 zł czystego dochodu rocznie.

KSIĘGARNIE

Księgarnie dzieliły się na sortymentowe i sortymentowo-wydawnicze. I te i tamte przyjmowały prenumeratę na wszystkie wydawnictwa periodyczne, pobierając od nich 10% ceny abonamentu. Przedpowstaniowe księgarnie Glücksberga, Kowalskiego, Sennewalda przestały już były istnieć od siódmego dziesiątka lat ub. w., a o dwóch księgarniach sprzed 1850 r., Manickiego i Nowoleckiego na Świętojańskiej, nawet zapomniano; ustąpiły one miejsca składom skór, które to składy nie wiem dlaczego jeszcze za moich młodych lat upodobały sobie tę ulicę.

W obu dziedzinach zajęła i zajmuje dotąd naczelne stanowisko spółka Gebethner i Wolff. Założycielami jej byli Gustaw Gebethner i Robert Wolff, pierwszy — niski i krępy, drugi — wysoki i chudy; pono nigdy się nie kłócili. Około r. 1900 wznieśli wspaniały dom na rogu ul. Zgoda i Sienkiewicza, zachowując jednak kolebkę swego powodzenia na Krakowskiem. Nie mieli własnej drukarni w Warszawie, nawet "Tygodnik Illustrowany" drukował się u Laskauera; wszystkie swe książki i wydawnictwa drukowali w oficynie Anczyca w Krakowie, której byli współwłaścicielami. Maurycy Orgelbrand, syn Samuela, pierwszego księgarza-wydawcy tego nazwiska, w dawnej kamienicy Andrzeja Zamoyskiego, miał najsuciej zaopatrzoną wypożyczalnię romansów francuskich, stale wówczas rozchwytywanych. Wydawał tylko wielkie zeszytowe dzieła w rodzaju " Encyklopedii ". Spadkobiercy jego w końcu XIX w. — wraz z sukcesorami Władysława Maleszewskiego, wydawcy " Biesiady Literackiej ", drukarza Emila Skiwskiego oraz Henryka Rundy — utworzyli spółkę akcyjną, która m. in. zaczęła niebawem wydawać tygodnik " Świat " pod redakcją Stefana Krzywoszewskiego. Dobrze zaopatrzona, szczególnie w książki zagraniczne, była księgarnia Emila Wendego, na Krakowskiem, którą zarządzał wówczas Tadeusz Hiż. Ferdynand Hoesick, drugi po Małeckim szczegółowy biograf Słowackiego, — po ożenieniu się z jedną z panien Lewentalówien, współwłaścicielek " Kuriera Warszawskiego ",— sprzedał księgarnię ojcowską wraz z firmą i przeniósł się do Krakowa. Opowiadał mi kiedyś, że nabywszy na wystawie powszechnej w Chicago w 1893 r. egzemplarz " Daisy Waltz " za pół dolara, odbił na wydaniu tego walca w Warszawie znaczną część kosztów swej podróży.

Przestały istnieć po kilku latach księgarnie Lessmana i Świszczewskiego na Mazowieckiej (Aleksander Lessman był ojcem poety Bolesława Leśmiana) oraz Teodora Paprockiego na Nowym Świecie 41, w domu Lewentala. Z Paprockim łączyły mnie serdeczne stosunki. Był on niezmiernie rzutki i energiczny; gdyby żył dłużej (umarł w r. 1896), jako wydawca niezawodnie dorównałby Gebethnerowi i Wolffowi. W latach 1885 — 1889 wydawał pod redakcją Zenona Przesmyckiego i z moim stałym współpracownictwem tygodnik literacki " Życie," który przyczynił się do ożywienia, przytłumionego przez t. zw. pozytywizm, ruchu poetyckiego.

W ciasnym pokoiku za księgarnią, gdzie perorowali Teodor Jeske-Choiński i Junosza-Szaniawski a zaglądali często Dygasiński, psycholog Władysław Dawid, Antoni Lange, początkujący Or-Ot i inni, odczytywaliśmy wiersze w rękopisie, i to nie tylko ówczesnych matadorów, ale nieznanych z różnych stron, zachęcanych przez nas i ośmielanych. Pamiętam pierwsze romantyczne strofy Kazimierza Glińskiego spod Kijowa, który wkrótce przeniósł się do Warszawy, śliczne obrazki myśliwskie z Mińszczyzny Jana Niesłuchowskiego (stryja Prezydentowej Jadwigi Raczkiewiczowej), liryki Józefa Stanisława Wierzbickiego z

Mińska i wielu innych. Pisywał do " Życia " niekiedy nestor ówczesnych poetów Ujejski, a Porębowicz ze Lwowa przesyłał przekłady średniowiecznych poetów prowansalskich i Calderona.

Nowe rosyjskie książki szkolne trzeba było kupować w księgarni rosyjskiej, ale handel używanymi i z roku na rok zmienianymi koncentrował się w małych antykwarniach, przeważnie na ul. Świętokrzyskiej, która aż do ostatnich czasów miała do tych księgarenek szczęście. Kajetów i utensylii szkolnych dostarczali; Müller, Szyller, Winiarski, Błaszkowski, Marcinowski i inni. Antykwarnie starych druków prowadzili Gieysztor i Wilamowski.

Po przeniesieniu się z Lublina, księgarnia Michała Arcta mieściła się najprzód na rogu Nowego Świata i Wareckiej, w starym domu niegdyś Stadnickich, później zaś pod nr 35. Rozwinął on, a następnie syn jego, Julian, i synowa, p. Maria Buyno-Arctowa, nader szeroką działalność wydawniczą w różnych kierunkach.

Były jeszcze wówczas mniejsze księgarnie, jak Sadowskiego na Marszałkowskiej, Frylinga pod filarami Teatru od strony Nowosenatorskiej i in.

W Wilnie w latach 1830–1880 była jedna tylko słynna księgarnia wydawnicza Zawadzkiego, W r. 1880 otrzymała koncesję na księgarnię Orzeszkowa, ale wkrótce odstąpiła ją Wacławowi Makowskiemu, ojcu czy też stryjowi Wacława, profesora prawa karnego, tuż przed wojną marszałka sejmu.

Biblioteka publiczna była tylko jedna — uniwersytecka; na pół publiczny charakter miały Ordynacji Zamoyskich, gdzie głównym bibliotekarzem był historyk Tadeusz Korzon a przez jakiś czas jego pomocnikiem — Stefan Żeromski, i Ordynacji Krasińskich, w lewej oficynie pałacu teraz Raczyńskich z frontem na ulicę Traugutta. Po śmierci stryja mojej żony, Władysława Chomętowskiego, długi czas dyrektorem jej był autor historii pułku szwoleżerów Aleksander Rembowski, heidelberczyk i tak wytrawny znawca wina Rüdesheimer, że jeszcze po dwudziestu latach imponował znawstwem tamtejszym winiarzom. Odwiedzał często redakcję "Słowa" i pociągał nas wszystkich swym rubasznym, staropolskim humorem.

On to podobno ocalił żywot co najmniej pół tuzina dzikom, gdy kolega jego z Heidelbergu Olendzki, nazywany majorem, opowiadał o swoich polowaniach.

— Stoję na stanowisku,— powiada,— wychodzi dzik. Strzał — trup! Wychodzi drugi. Strzał — trup! Wychodzi trzeci...

Tu odezwał się Rembowski :

— Słuchaj major, jeśli ustrzelisz tego trzeciego, to ci kości pogruchotam.

A Olendzki, nie tracąc kontenansu, najspokojniej ciągnie dalej :

— A no właśnie tego trzeciego chybiłem.

Sam słyszałem narrację Olendzkiego, jak nie chcąc być zdybany na

schadzce w zamku nadreńskim koło Bingenbrück z żoną powracającego niespodzianie Freiherra, wskoczył do rzeki z krużganku i dopłynął szczęśliwie do wysepki z wieżą, gdzie w średnich wiekach myszy zjadły pewnego nielitościwego biskupa, jak naszego króla Popiela w Kruszwicy.

Wielkie ułatwienie w dostarczaniu książek jak najszerszym warstwom — nie mówiąc o działalności prywatnej, w ukryciu przed władzami — stanowiły coraz liczniejsze czytelnie ludowe pod egidą Tow. Dobroczynności. Za 5 kop tygodniowo, a często za darmo, można tam było dostać jeden tom na tydzień. Rozdawaniem w popołudnia sobotnie zajmowały się głównie młode panienki pracujące za darmo. Jakiś czas w lokaliku na Nowym Świecie współpracowałem z Krzemińskim, Boguskim, Teodorem Paprockim, Antonim Pileckim i panną Idalią Kotarbińską, później żoną Tadeusza Pawlikowskiego z Medyki, pisarza i dyrektora teatru krakowskiego, w urządzeniu czytelni i wypożyczalni książek treści naukowej, która stała się następnie zawiązkiem bardzo zasłużonej Czytelni Naukowej. Idalia było siostra aktora Józefa.

Kolportaż książek i innych towarów po mieszkaniach nie był wtedy w Warszawie praktykowany. Za to w miasteczkach, zwłaszcza na wschodzie, jak w Słonimie, Nowogródku, Lidzie, faktorzy, a szczególnie faktorki, przynosili do domów i zajazdów wszystko co komu było i nie było potrzebne, tak że nie chodziło się wcale do " kramów " (sklepów) a często miało się ochotę zbyt natrętnych wypraszać z numeru. Razem z towarami przynosili oni różne wiadomości i ploteczki.

Wielkim przyjacielem naszej rodziny i całego domu był pierwszy krawiec nowogródzki, wszechwiedzący Mołczadzki, który zjawiał się w zajeździe, zanim jeszcze zdołano wysiąść z powozu. Był on kiedyś we Francji i miał bliskich krewnych w Paryżu a nawet w Pau. Kiedy MacAdam, wiceprezes Międzynarodowej Konfederacji Studentów (C.I.E.), przyjechał po raz pierwszy do mego syna Jana do Sienieżyc, Mołczadzki znalazł się w mgnieniu oka w pokoju hotelowym. Obejrzał starannie garnitur londyński gościa, próbując palcami sukna...

— Materiał fajn,— orzekł,— ale krój...

Tu pogardliwie machnął ręką.

Okres świąt Bożego Narodzenia, to były, jak się zdaje, wszędzie żniwa dla księgarń. Długo istniał zwyczaj, że w ostatnie przedświąteczną niedzielę wszystkie księgarnie były otwarte, a przy sprzedaży asystowały wówczas zaproszone panie, opiekunki różnych tajnych i jawnych organizacji społecznych, otrzymując za to pewien procent od obrotu na swoje cele. Ruch bywał tam wtedy ogromny, a flirt w atmosferze książek pełen dowcipu.

Utkwiła mi w pamięci jedna z takich niedziel, 6/18 grudnia 1894 r., pierwsze imieniny czy urodziny Mikołaja II po wstąpieniu przed miesiącem na tron. Śnieg spadł gęsty i suchy. " Tysiączną sanią — jak pisał Mickiewicz w " Zimie miejskiej "— szlifowano ulice". Powietrze było przesycone radością, i może po raz pierwszy i ostatni bez niechęci

ustawiano lampiony galówkowe wzdłuż rynsztoków. A nowiny, nowiny urzędowe spadały jak złote jabłka w ogrodzie Hesperyd! " Apuchtin, kat polskości, usunięty. Na jego miejsce liberalny rektor uniwersytetu odeskiego Ligin! Prezes cenzury Jankulio wyrzucony! A przede wszystkim na Zamku, zamiast Hurki i jego osławionej małżonki Marii Andrejewny — Europejczyk, ambasador z Berlina, hr. Szuwałow".

Rozpowiadano, że gen. Iwanow, który z ramienia ministerstwa dworu zarządzał pałacem łazienkowskim i majątkiem carskim kategorii prywatnej, a stale darł koty z Hurkami, zatrzymał i odebrał aż na dworcu w Twerze (obecnie Kalinin) dwa bezcenne serwisy meisseńskie po królu Auguście II, które Maria Andrejewna zabrała z zamku bez krzywdy wszelako dla ogólnego inwentarza, bo na ich miejsce zostawiła dwa serwisy współczesnej porcelany rosyjskiej Kuzniecowa. " Zamienił stryjek na siekierkę kijek".

Oczywiscie nie spodziewaliśmy się żadnej zasadniczej zmiany systemu. "Point de revêries" wisiało wciąż nad Polakami, ale doznaliśmy momentu ulgi, jak więźniowie w dusznej, nieprzewietrzanej celi, gdy niespodzianie otworzą im okienko, przez które buchnie nieco świeższego powietrza, i gdy zmienią najbardziej znienawidzonych dozorców i klucznikow.

CECH RZEŹNICZY

Ustrój prawny rzemieślników i pracowników zawodowych opierał się jeszcze głównie na prawodawstwie z czasów Królestwa Kongresowego, z pewnymi zmianami.

Wprawdzie nie trzymano się już tak uroczystego ceremoniału przy wyzwolinach terminatorów na czeladników i na majstrów, jak to szczegółowo opisał Korzeniowski w powieści " Krewni ", ale zachowywano jeszcze częściowo łącznie z wymaganiami przy awansowaniu na coraz samodzielniejsze stopnie. Raz jeden byłem na uroczystości takich wyzwolin w cechu stolarzy, i uderzyła mnie patriarchalność stosunków między starszymi i młodszymi, chociaż w życiu codziennym majstrowie trzymali uczniów i terminatorów ostro i podobno, zwłaszcza szewcy, nie żałowali " pocięgla " w myśl staroświeckiej zasady : " Różdżką dziateczki Duch św. bić radzi ".

Każdy cech miał wyznaczony sobie kościół lub kaplicę i szczycił się posiadaniem pięknych, nieraz starożytnych chorągwi cechowych, które występowały w pewne święta, a zwłaszcza na procesjach Bożego Ciała.

Cech rzeźniczo-masarski w Warszawie urządzał w pierwszy czwartek Wielkiego Postu, nazajutrz po Popielcu, uczty z mięsiwami, obficie zraszanymi "wódecznością", które trwały noc całą i często kończyły się bójkami. Był to sposób wynagrodzenia za wzmożoną w czasie mięsopustu pracę.

Ale warszawski cech rzeźniczy nie miał tak wspaniale wyglądającego "starszego", jak toruński. Kiedy gen. Haller obejmował Toruń, wkraczając na czele oddziału wojska polskiego przez szeregi łuków tryumfalnych, powitaliśmy go przy ratuszu, gdzie spod pomnika Kopernika przemówiłem w imieniu Warszawy. Oczekując nań, spostrzegłem w pobliżu opasłego męża w krwawego koloru szacie na równie opasłym białym koniu z olbrzymim mieczem dobytym jakby do cięcia. Myślałem zrazu, że to jest kat miejski. Nie — to był starszy cechu rzeźników toruńskich.

W kilka dni później jeźdźcy gen. Hallera zanurzyli kopyta swych koni w Bałtyku, w pobliżu ujścia Wisły, a w jakiś czas potem miałem sposobność asystowania przy otwarciu sejmu krajowego w Katowicach w sąsiedztwie jej źródeł. Spełniło się wezwanie do matki rzek naszych:

Wisło, ty podchwyć morza pieśń i nieś ją wstecz aż w góry!
Nie przenikają nurtów twych już nigdzie wraże sznury,
I każda kropla twoich wód, co z śląskich wzgórz wypłynie,
Przez polski wolny dąży kraj i w polskim morzu ginie. . .

SZWALNIE

Kobiety-rzemieślniczki i pracownice zawodowe nie należały do cechów i nie tworzyły związków, chociaż stały często na czele poszczególnych warsztatów i zakładów, wywiązując się ze swych zadań nieraz lepiej od niejednego mężczyzny. Słynny przez lat wiele w Krakowie zakład masarski na ul. Grodzkiej (jak się teraz dowiedziałem od Stanisława Węgrzyna, syna zmarłego w Moskwie w r. 1916 znanego aktora Maksymiliana), prowadziła znakomicie wdowa po wcześnie zmarłym mężu p. Kurkiewiczowa, wychowując jednocześnie rodzinę, składającą się z czterech synów i trzech córek. Z jedną z nich, Anną, ożenił się Józef Wegrzyn. A takich dzielnych administratorek i kierowniczek można było znaleźć na całym terytorium Polski nie setki ale tysiące, i w handlu, i w rzemiośle, i na kilkomorgowej działce, i na wielowłókowym majątku. Świadczą o tym nie tylko tradycje rodzinne, ale powieści ówczesne: Kraszewskiego (" Resurrecturi "), Prusa, Orzeszkowej, Rodziewiczówny, Jeleńskiej-Dmochowskiej i in.

W najcięższym bodaj położeniu były wówczas szwaczki. To też w ostatnim dziesiątku lat ub. w. znalazł się liczny poczet ich opiekunek pod formalną egidą Tow. Dobroczynności. Zorganizowano w kilkunastu dzielnicach grupy opiekunek p.n. Szwalnie, które gromadziły raz na miesiąc pracownice ze swojej dzielnicy, dostarczały im książek, pomocy materialnej i wyszukiwały pracę. Znałem dobrze działalność jednej z takich szwalni, noszącej kolejny urzędowy numer "czwarty", albowiem do jej zarządu należała siostra mojej żony Jadwiga, dwie panny Warn-

kówny, Jadwiga i Waleria, Helena z Marcinkowskich Orłowska, żona psychiatry dr. Stanisława Orłowskiego, i Paulina z Natansonów Dicksteinowa, żona matematyka prof. Samuela Dicksteina. Po śmierci Świętochowskiego i filologa prof. Chojki, Dickstein i pomolog Jankowski byli to ostatni, jakich znałem, wychowańcy b. Szkoły Głównej, urodzeni przed r. 1850. Zostawiłem ich w dobrym stanie zdrowia w r. 1939. Sędziwy Jankowski przychodził stale o godz. 10 rano na mszę do kościoła św. Krzyża.

NAUCZYCIELKI

Na parę lat wcześniej przed założeniem owych " szwalni ", bo około r. 1881, zajęto się losem nauczycielek prywatnych, które w starszym wieku nie otrzymywały żadnej emerytury, z wielką trudnością mogły były zaoszczędzić jakiś kapitalik i jedynie w rzadkich wypadkach pozostawać do końca życia w domu którejś z dawnych uczennic.

Za staraniem Augustowej Potockiej z Wilanowa i Emili z Kronenbergów Blochowej, żony wielkiego bankiera Jana Gottlieba Blocha, zdołano wbrew intrygom Apuchtina uzyskać w Petersburgu zatwierdzenie statutu instytucji p.n. Schronienie dla Nauczycielek, ze wszystkimi atrybucjami " osoby prawnej ", mogącej pobierać składki, otrzymywać dary i zapisy, urządzać imprezy dochodowe oraz kierować się własnym samorządem.

Każda nauczycielka nie zdolna do pracy, gdy złożyła co najmniej 1000 rb, które wolno jej było nawet wpłacać częściowo wraz ze składką członkowską w okresie zarobkowania, mogła otrzymać bezpłatne utrzymanie w Schronieniu do końca życia łącznie z opieką lekarską. Po przeniesieniu się z ul. Chmielnej do znacznie większego lokalu przy ul. Zielnej 15, urządzono tam jeszcze parę pokoików hotelowych dla przyjeżdżających na krótko do Warszawy nauczycielek czynnych oraz biuro pośrednictwa, które prowadziła przez lat przeszło dwadzieścia panna Rolbiecka.

O ile pamiętam, do pierwszego zarządu, oprócz honorowych założycielek, należały m. in. Borkowska, Reslerowa, właścicielka wielkiej kamienicy między Krakowskim Przedmieściem i Senatorską, zwanej długo "domem przechodnim Reslera", Świacka z Mohilewszczyzny, Maria z Przeździeckich Walewska z Czarnego Ostrowia na Podolu, a z grona pedagogiczek — Anna Helbichówna, Paulina Krakowowa i Sikorska. Dyrektorem był ks. Chełmicki, radzą prawnym — sędzia Moldenhawer, skarbnikiem — Jan Bielski. Ja wszedłem koło 1890 r. do zarządu, którego skład co trzy lata ulegał częściowej zmianie w drodze wyborów.

Do rozwoju tej instytucji przyczynili się najbardziej ks. Chełmicki, Bielski i wieloletnia administratorka naczelna Zofia Piaskowska. Dzięki niesłabnącej sympatii społeczeństwa do nauczycielek, ujawniającej się przez liczne i nieraz znaczne darowizny i zapisy, zdecydowano się około

r. 1899 nabyć duży ogród w Zielonce, tuż przy pierwszym przystanku kolei Warszawsko-Petersburskiej, i zbudować wielki dom na 50 stałych emerytek, z kaplicą, wspólnym salonem, czytelnią, jadalnią i t.p. W samej Warszawie zachowano tylko mały lokal z pokojami dla przejezdnych i biurem pośrednictwa.

Z początku emerytki były niezadowolne z tych przenosin, które utrudniały im kontakt ze znajomymi i korzystanie z drobnych rozrywek miejskich, a przede wszystkim z podwieczorków z kawą w cukierniach, ale wkrótce poczuły się dobrze, zyskały zaś bardzo na zdrowiu. W ostatnich czasach zarząd spoczywał w rękach p. Zofii Zachertowej, Emilii z Blochów Ordężyny, l-o voto Hołyńskiej, i Zofii Ośniałowskiej, która — po śmierci wieloletniej ksieni kanoniczek i prezeski Katolickiego Związku Polek, Elżbiety Mycielskiej — została przełożoną kanoniczek. Szwagrem jej był pisarz i senator Władysław Jabłonowski, synowiec historyka Rusi Aleksandra, którego jubileusz, zdaje się, 60-letniej pracy obchodziliśmy przed dziesięciu laty. Gospodarstwo domowe w Zielonce prowadziły w ostatnich czasach siostry felicjanki.

Nauczycielki - cudzoziemki, nazywane — jeżeli mieszkały w domu swych uczennic — " guwernantkami ", miały w Warszawie własne domy opiekuńcze. Najwięcej było Francuzek i Szwajcarek z kantonów francuskich. Długi czas przodowała wśród nich w udzielaniu lekcji literatury i stylistyki Laure Disière. Z Angielek, daleko mniej licznych, oprócz dwóch sióstr Mirk, Jane i Sary, u których sam się uczyłem, znałem jeszcze szczególnie popularną w domach kresowych Miss Ellen Aymer. Największą w ostatnim dziesiątku lat ub. w. powagą cieszyły się panny Gardiner. Jedna z nich, bardzo ceniona przez Sienkiewicza, była przez kilka lat nauczycielką jego córki Jadwigi i jej koleżanki Zofii Abakanowiczówny, później żony artysty-malarza Stanisława Pstrokońskiego. Ojciec jej, zmarły w sile wieku Bruno Abakanowicz, zdaje się z ziemi lwowskiej, był znakomitym konstruktorem nowych urządzeń elektrycznych w miastach, niezmiernie wziętym we Francji. Nabył on wysepkę na Atlantyku u wybrzeży Bretanii, i dlatego jego córkę jedynaczkę nazywaliśmy "władczynią wyspy".

Drugim takim prywatnym władcą wyspy, ale na Adriatyku, do której dopływał na własnym jachcie " Litwa", był Ignacy Korwin - Milewski, brat Hipolita, członka Rady Państwa z gub. wileńskiej, właściciel historycznych Gieranon w oszmiańskiem, niegdyś rezydencji wojewody Gasztołda, pierwszego męża Barbary Radziwiłłówny, a w w. XVIII własności korpusu artylerii wojska litewskiego.

Nauczycielki - cudzoziemki były zazwyczaj bardzo szanowane i dobrze traktowane, przywiązywały sie do Polski i otoczenia, tak że często nie wracały do swego kraju. Zaznacza to w jednej ze swych powieści (zdaje się, " Le sens de la vie ") Edouard Rod, znany w końcu XIX w. autor genewski wysokiej miary.

Na ogół, niezależnie od wpływu czynników politycznych, cudzoziemcy

wszelkich zawodów, dłużej przebywający w naszym kraju, przywiązywali się do niego i do nas. Atmosfera Polski, charakter i sposób bycia Polaków przyciągały obcych i ujmowały ich — śmiem twierdzić — więcej niż atmosfera innych narodów. I ujmowały ich może więcej nieraz niż samych Polaków, zanim musieli być od nich oderwani.

" Ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił". Myślę zaś, że na stosunek nasz do tych obcych w wielkiej mierze wpłynęła zasada, przenikająca od wieków wszystkie warstwy naszego narodu : " Gość w dom, Bóg w dom".

PRZYJAZD DOMEYKI

Niedawno wpadło mi w ręce wychodzące w Chile czasopismo polskie, zawierające artykuł o Domeyce, znakomitym chemiku-górniku, założycielu uniwersytetu w Santiago i pierwszym jego rektorze — z pewnym wyrzutem, iż o nim w Polsce zapomniano, pamiętając raczej nazwisko ze sporu Domeyki i Doweyki w " Panu Tadeuszu". Skłania mnie to do przypomnienia, iż w sierpniu 1884 r. Domeyko po raz pierwszy od wyemigrowania z kraju w r. 1831 — otrzymał pozwolenie odwiedzenia Polski, z zastrzeżeniem, aby nie urządzano mu publicznych przyjęć. Przyjechał z dziećmi z matki Hiszpanki, synem Ernanim, który wkrótce został księdzem, i z córką; ta wyszła w kraju za kuzyna swego Leona Domeykę z Żyburtowszczyzny i już została w kraju. Czcigodny gość zamieszkał u rówieśnika swego, także filarety wileńskiego, Odyńca, w domu jego córki (przyszłej mojej teściowej, Teresy Chomętowskiej) na Marszałkowskiej, gdzie przez kilku dni odwiedzał go cały świst uczony i literacki i witały delegacje młodzieży uniwersyteckiej. Liczniejsze zebrania odbyły się u Odyńca i Deotymy.

Następnie obaj dawni koledzy, siwi jak gołąbki, udali się koleją do Baranowicz, żeby odwiedzić strony rodzinne, nie omijając i słynnej karczmy Niedźwiadki, przyjmowani ze zrozumiałą serdecznością przez domy licznych krewnych i powinowatych i całe obywatelstwo. Częstokroć po kolacji młodzież zawodziła im chórem pieśń filarecką :

Precz, precz, smutek wszelki!
Nałóż fajki, staw butelki!
Niech wesoły z przyjacioły
Słodko spływa czas!

Odwiedziny te stały się dla młodszego pokolenia jakby żywym przypomnieniem świetnej epoki sprzed pięćdziesięciu laty : filaretów, uniwersytetu wileńskiego i 1830 roku. W Wilnie, o ile pamiętam, generał-gubernator Kachanow nie pozwolił Domeyce się zatrzymać, mógł tylko przejazdem przyklęknąć pod Ostrą Bramę i rzucić okiem na mury świętojańskie.

Ja, bawiąc wtedy na wakacjach w nowogródzkiem, miałem sposobność zobaczenia dostojnych gości na podwieczorku u pp. Antoniostwa Puciatów w Zamirzu, dokąd zajechali, zwiedzając wspaniałe ruiny zamku mirskiego przy gościńcu nowogródzkim; rozchodziły się stąd wielka droga na Nieśwież ku Wołyniowi i mniejsza przez Stołpce do Mińska.

Dobra mirskie należały wtedy do księcia Piotra Sayn-Wittgensteina jako cząstka olbrzymiego, bo liczącego już po uwłaszczeniu włościan przeszło 700.000 ha dziedzictwa po matce, z domu księżniczce Stefanii Radziwiłłównie, której przyznano alodialne dobra Radziwiłłów nieświeskich po ojcu Dominiku, poległym pod Napoleonem w r. 1813 w Niemczech. Po śmierci Wittgensteina, który utrzymywał ludność polską na dzierżawach i w administracji, cała fortuna przeszła do siostry jego, księżnej Hohenlohe-Schillingfürst, żony kanclerza cesarstwa niemieckiego, ale na mocy ukazu z r. 1887, zabraniającego cudzoziemcom posiadania i dzierżawienia nieruchomości poza granicami miast w Królestwie Kongresowym i dziewięciu t. zw. "guberniach zachodnich," była ona zmuszona w ciągu trzech lat rozprzedać za bezcen te ogromne połaci gruntów i lasów, z wyłączeniem osób pochodzenia polskiego i wyznania katolickiego, co wówczas oznaczało to samo.

Setki Polaków z rodzinami, osiadłych od wieku wieków na tych ziemiach w charakterze większych lub mniejszych dzierżawców, oficjalistów, służby folwarcznej i leśnej, utraciło warsztaty pracy. Najechało zaś mnóstwo spekulantów ze wszystkich stron Rosji. Tak np. słynną puszczę Nalibocką nad Małą Berezyną, ze wspaniałym na wysokim lewym brzegu Niemna zamkiem lubczańskim — gdzie już w w. XVI istniała drukarnia ariańska czy socyniańska, a przez ostatnie dziesiątki lat siedział na dzierżawie bibliofil Nargielewicz — nabył niejaki Grek Falc-Feyn, wzbogacony hodowca bydła z południowej Rosji. Podobno Aleksander III gotów już był w drodze wyjątkowej łaski pozwolić na zatrzymanie tych majątków w naturze drugiemu synowi kanclerzyny pod warunkiem by przyjął poddaństwo rosyjskie, ale cofnął tę łaskę kiedy Hohenlohowie nie od razu lecz po namyśle przyjęli ten warunek.

Antoniowa Puciatowa, z Wołcy koło Sienieżyc, była stryjeczną siostrą inż. Leona Gnoińskiego, który po inż. Michale Chrzanowskim był dyrektorem kolei Terespolskiej i Nadwiślańskiej i mieszkał w Warszawie. Obaj ci dyrektorzy należeli do licznego w XIX w. polskiego pocztu wybitniejszych inżynierów technologów w państwie rosyjskim, z gen. Stanisławem Kierbedziem na czele, który zbudował pierwszy most żelazny na Newie w Petersburgu i nasz na Wiśle w Warszawie. Tu przypomnę, że jedna z córek inż. Kierbedzia, Eugenia, zamężna Kierbedziowa (druga wyszła za mąż za członka Koła Polskiego w Dumie, Lubomira Dymszę), zasłużyła się wysoce Warszawie jako fundatorka wielkiej Biblioteki Publicznej z czytelnią na Koszykowej. Znałem obu tych dyrektorów, a u inż. Chrzanowskiego, już emeryta, w jego pałacyku przy ul. Królewskiej bywałem dopuszczany do słuchania dyskusji ze starym Olgierdem

Żukowskim z Daszówki nad Dnieprem o przyszłych wydarzeniach w życiu państw i narodów, opartych na wyliczeniach wyższej matematyki, przy czym krytykowali niektóre wywody Józefa Hoene-Wrońskiego. O ile pamiętam, Żukowski ogłosił swoje teorie w mało znanej książce p.t. " Idea".

Rektor Domeyko po powrocie do Chile zmarł w rok czy dwa po Odyńcu.

STOSUNKI Z POLAKAMI W AMERYCE

W tym samym mniej więcej czasie opinia publiczna zajęła się gorąco sprawą emigracji na drugą półkulę i stosunkami z rodakami zza morza. Zelektryzowała nas wiadomość, że kaliszanin Stefan Szolc-Rogoziński, na własnym statku " Łucja Małgorzata " i własnym kosztem, z dwoma towarzyszami, Leopoldem Janikowskim, warszawianinem, którego poznałem, i Klemensem Tomczakiem z Poznania, udał się do Kamerunu, w celu zbadania nieznanej jeszcze Europejczykom krainy w podzwrotnikowej Afryce i ewentualnego założenia tam kolonii polskiej. Przewędrował wzdłuż całego biegu rzeki Mungo, najwyższemu szczytowi dał miano góry Kraszewskiego (który w tym czasie właśnie był osadzony w więzieniu magdeburskim), a jesienią 1884 r. zawarł traktat pokoju i przyjaźni z Jej Królewską Mością Monarchinią Wielkiej Brytanii i Cesarzową Indiij, oraz z jakimś sąsiednim królikiem murzyńskim.

Ale rząd Wielkiej Brytanii zlekceważył Kamerun; zagarnęli go Niemcy, a Rogoziński przeniósł się na wyspę hiszpańską Fernando Po. Żona jego, powieściopisarka Helena Janina Bogucka, używająca w swych książkach pseudonimu Hajota, po owdowieniu wróciła do Warszawy i wyszła powtórnie za mąż za inż. Tomasza Pajzderskiego.

Niespodzianie we wszystkich trzech zaborach wybuchł, szczególnie wśród ludu wiejskiego, pęd emigracyjny do południowych stanów brazylijskich. Wydał się on niepożądany, zwłaszcza, że kierował się przeważnie przez Bremę i był w znacznej mierze przypisywany propagandzie agentów okrętów przewozowych, dostarczających obficie za dobrą cenę z góry t. zw. "szyfkart". W literaturze i publicystyce starano się temu przeciwdziałać.

Władysław Ludwik Anczyc napisał cieszący się dużym powodzeniem w teatrach prowincjonalnych melodramat " Emigracja chłopska", a Konopnicka — wielki poemat oktawami p. t. " Pan Balcer w Brazylii ", drukowany pierwotnie w " Bibliotece Warszawskiej ". Nawet w tygodniku dla młodzieży " Wieczory Rodzinne", odziedziczonym po ciotce Borkowskiej przez moją żonę, a kilkanaście lat prowadzonym przeze mnie przy udziale jej i sekretarki Wiktorii Daniszewskiej, stała współpracowniczka i przyjaciółka nasza, Zofia z Konarskich Bukowiecka (matka Stanisława, długoletniego prezesa Prokuratorii Generalnej), umieściła p. t.

" Stefek Luty w Brazylii " udatną powieść o przygodach chłopca emigranta, rodem z Wągrowca.

Mąż kucharki mojej teściowej Krajewski uległ także temu prądowi, a gdy nie dawał żadnych wieści, żona pojechała go szukać; niestety, nadaremnie. Po powrocie opowiadała tylko, że w tym kraju nie umieją gotować, zamiast kartofli jedzą czarną fasolę, " a węże tam łażą, jak u nas nie przymierzając glizdy, tylko większe". Na szczęście nie zapomniała swych celujących potraw: bitych kotletów cielęcych z sosem " amoretkowym " i — puré z kasztanów z bitą śmietanką.

Pożyteczną dla naszych osadników była wycieczka do Brazylii ks. Chełmickiego i Mikołaja Glinki ze Szczawina pod Ostrołęką, ojca Władysława (przed wojną prezesa Tow. Kredytowego Ziemskiego), gdyż oprócz pomocy materialnej dla najbiedniejszych, skłonili, za zgodą władz wiedeńskich, konsulów austriackich do roztoczenia pewnej, nieformalnej choćby, opieki nad uchodźcami z dwóch innych zaborów, o których ich konsulowie nie dbali.

O środkowej Ameryce wydał wówczas kilka interesujących książek podróżniczych młody Witold Szyszło, syn dobrych moich znajomych, dr. Wincentego, znanego lekarza i jednego z filarów winta w Resursie Kupieckiej, i Jadwigi z Grabkowskich.

Rozwijały się też coraz bardziej stosunki kulturalne z rodakami w Stanach Zjednoczonych, dzięki zwłaszcza tamecznej prasie polskiej, wymianie dzienników i częstszym wzajemnym odwiedzinom. Niedawny jubileusz 50-letniej działalności dr. Franciszka Fronczaka w Buffalo przypomniał mi, że sam przed tyluż laty pisałem w " Kurierze Codziennym " z dumą notatkę o otrzymaniu przez niego, bodaj jako jednego z pierwszych tam Polaków, dyplomu lekarskiego.

Sewer-Maciejowski Ignacy, podróżnik po Stanach i Wielikiej Brytanii, autor odznaczonej na którymś konkursie i granej w teatrze Rozmaitości komedii z historii Anglii XVIII w. " Pojedynek szlachetnych", a później powieści " Nafta " na tle gorączki naftowej w Małopolsce Wschodniej, po ujawnieniu źródeł pod Borysławiem, opowiadał nam, jak lubiany był przez Amerykanki utwór muzyczny Tekli Bondarzewskiej " Modlitwa dziewicy (La prière d'une vierge, morceau musical) ", już u nas z repertuaru fortepianowego wykreślony z racji zbytniej sentymentalności. Co prawda nie miało także u nas powodzenia, choć we Francji było długo popularne, nader buńczuczne " Przebudzenie się lwa (Le réveil du lion) " Antoniego Kątskiego, syna osiadłego w Algerze emigranta z r. 1830; jego brat Apolinary przyczynił się do założenia konserwatorium muzycznego w Warszawie.

Naturalnie Paderewski otworzył przed Ameryką muzyce polskiej — i jak mniemam, w ogóle muzyce — nowe świetniejsze horyzonty i niewątpliwie wpłynął na poziom gustu w Stanach. Jedna z jego paryskich uczennic, Antonina Szumowska, osiadła około r. 1894 w Bostonie i tam z mężem Józefem i szwagrem Tymoteuszem (może Tytusem?) Adamowskimi

zorganizowała bardzo ceniony stały zespół tercetowy. Była ona córką znanego w Warszawie prof. Aleksandra Szumowskiego, a wnuczką Antoniny z Fafiusów Roszkowskiej z Kijowszczyzny, która dwukrotnie raz mężowi, drugi raz synowi, towarzyszyła w wygnaniu na Syberię. Druga jej wnuczka, Julia Jentysowa, jest matką powieściopisarki Wandy Miłaszewskiej, żony dramatopisarza Stanisława, trzecia, Maria, wyszła za mąż za Adama Grzymała-Siedleckiego, czwarta, Anna, za pierwszorzędnego adwokata warszawskiego Jana Nowodworskiego, brata b. prezesa Sądu Najwyższego.

Dom pani Roszkowskiej, gdzie poznałem panią Paderewską, jeszcze jako panią Górską, był niezmiernie gościnny. Panowała w nim w sojuszu z flirtem muzyka, literatura i historia. W 25-ą rocznicę powstania styczniowego (22 stycznia 1888 r.) odbył się tam bardzo liczny i uroczysty obchód pamiątkowy pod przewodnictwem syna gospodyni Stanisława Roszkowskiego, sybiraka. Takich obchodów, oczywiście cichych i potajemnych, odbyło się w owych dniach rocznicowych i w Warszawie i w innych miejscowościach bardzo wiele.

Jeszcze w ósmym dziesiątku lat u. w. osiadła w Bostonie malarka Kazimiera Dziekońska z Mazurkowszczyzny pod Zelwą. Była ona krewną córki ostatniego podskarbiego litewskiego, po Tyzenhauzie, Antoniego Dziekońskiego, pani Bronisławowej Zaleskiej, żony emigranta z r. 1831, którego korespondencja polityczna z Kraszewskim między Paryżem i Dreznem przyczyniła się do wytoczenia Kraszewskiemu słynnego procesu i do osadzenia go w Magdeburgu.

Pani Zaleska po rozstaniu się z mężem zamieszkała w Grodnie; miała ona wiele listów Norwida, którego dobrze znała z Paryża. Utrzymywała bliskie stosunki z Orzeszkową i z Wilą Zyndram-Kościałkowską, tłumaczką z angielskiego powieści Bret-Harte'a i — na moją propozycję — kilku powieści ks. Bensona, które drukowałem w "Dzienniku dla Wszystkich".

Dziekońska była średniej miary portrecistką; nie można jej porównywać ze współczesną naszą malarką, dziś osiadłą w Kanadzie, Anną z Sołtanów Romerową, siostrzenicą Józefa Weyssenhoffa, a siostrą kolegów moich synów: docenta fizyki na uniwersytecie warszawskim Jędrzeja i zmarłego w r. 1941 Jana, redaktora "Messager Polonais," zdolnego publicysty ze szkoły Bolesława Koskowskiego.

Na wystawie w Chicago w r. 1893 rozkupiono dużo polskich obrazów, przesłanych z Warszawy staraniem Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. O dwóch, pędzla przyjaciela mego Romana Szwoynickiego, wiem na pewno, bo mu przełożyłem z angielskiego serdeczne listy nabywców i skoncypowałem w tym języku odpowiedzi. Poprawiło to jego finanse, pozwoliło na urządzenie wspaniałej uczty w pracowni przy ul. Oboźnej 5 (obok pracowni Wojciecha Gersona) oraz na sprawienie sobie rodzaju bekieszy na baranach z jasnosiwym pokryciem i takiejże wysokiej czapki. Wyglądał w niej niby jakiś Waligóra. Drugim malarzem takiegoż wzrostu, o postawie komtura krzyżackiego, był Józef Ryszkiewicz. Gdy czasami maszerowali

we dwóch zamaszystym krokiem, rozstępowano się przed nimi jakby na hasło : " Z drogi tłumie, sztuka idzie".

BŁĘDY I NALECIAŁOŚCI JĘZYKOWE

Ze szczegolnych wyrażeń, których w owym czasie zaczęto używać w gwarze warszawskiej, zapamiętałem takie, jak " andrus " (urwis znad Wisły), " frajer " (coś jakby lwowski " batiar "), " nape " (na pewno), " pedam " (powiadam), " rubeliony " i " rubeliansy " (ruble). W mowie potocznej często było słychać przymiotniki i przysłówki zgoła nie odpowiadające rzeczownikom i czasownikom, z którymi je łączono, np. " nie mieć zielonego pojęcia", " on mnie strasznie kocha " albo " byłam szalenie spokojna". Chociaż warszawianie sami nieco "mazurzyli", wymawiali np. często : " drzwiamy i oknamy", a w takich wyrazach, jak "muzyka" i "matematyka", akcentowali przedostatnią sylabę — mimo to stale wyśmiewali się z przeciągania przybyszów z litewska i z lwowska.

Lecz w gwarze miejskiej ucierały się wyrażenia, przyswajane z rosyjskiego, istotnie szpecące mowę. Na zapytanie, dokąd poszedł mąż, stróżka odpowiadała : " poszedł do części " (z ros. " uczastok " — t.j. cyrkuł policyjny), albo : " poniósł powiestkę mirowemu " (wezwanie — sedziemu pokoju). Coś podobnego zdarzało się i w Poznaniu. Poszukując tam kiedyś Kazimierza Puffkego, który ze " Słowa " warszawskiego przeniósł się do " Dziennika Poznańskiego", dowiedziałem się, iż mieszka " w drugim kiju " jakiejś kamienicy (niemiecki " Stock " oznacza i kij i piętro), praczka zas w " Bazarze", jednym z najmilszych w Polsce hoteli, indagowała mnie, czy chcę mieć " twarde piersi", bo tak nazywano tam nakrochmalone gorsy koszul męskich.

Ale takie — że się wyrażę — dzikie naleciałości w mowie ustnej zanikają szybko z ustąpieniem warunków, które je wywołały. Zdaje mi się, że jest gorzej, gdy zwroty z obcego języka zyskują bez koniecznej potrzeby prawo obywatelstwa w mowie pisanej.

Nie jestem bynajmniej zwolennikiem zasklepiania mowy narodu i nieprzyswajania nowych słów i zwrotów, nawet czerpanych z obcych źródeł, ale tylko w miarę istotnej potrzeby; nie widzę też racji wprowadzania odmian własnych słów, np. " wymogi " i " wypowiedzi", kiedy się ma ustalone od wieków słowa " wymagania " i " wypowiedzenia".

Wspomniałem już raz o słowach : " odnośnie", " względnie " i "zaistnieć ", którym od dawna wytoczyliśmy z prof. Jarrą walkę, lecz myślę, że i wyrażenia pochodzenia wiedeńskiego, więc "czynniki miarodajne", " w międzyczasie " (zamiast " tymczasem ") nie są ani potrzebne ani szczęśliwe, tak jak świeżo upieczone w angielskiej kuchni " morale " i " serwis radiowy "; przecież dotąd, nawet po wprowadzeniu radia, znaliśmy w Polsce tylko " serwisy stołowe "!

Najbardziej jednak nas, prawników warszawskich, raziło używanie przez kolegów z b. zaboru austriackiego wyrażeń " zaczepić wyrok ", " wyrok zaczepiony", jak gdyby wyrażenia " zaskarżyć " i " zaskarżony", aczkolwiek może nie tak plastyczne, nie były w dziedzinie procedury sądowej wystarczające i właściwsze, niż wzięte z dziedziny t. zw. rękoczynów. Ale trudno! Od nałogów językowych można się odzwyczaić jedynie przez dobrą wolę i uwagę; reglamentacja niewiele tu pomoże. Przekonał s ę o tym p. Witold Korytowski, będąc ministrem skarbu cesarstwa austriackiego. Cyrkularz z odpisem jego rozporządzenia, wywołanego podobno interwencją prezesa Akademii Umiejętności, o zaniechaniu niewłaściwego używenia zaimka " takowy " zamiast " ten," rozesłano do urzędów niższych z adnotacją : " O takowym rozporządzeniu Pana Ministra podaje się do wiadomości dla wykonania" . . . Słyszałem o tym na posiedzeniu komisji ortograficznej Akademii w Krakowie w styczniu 1918 r.

Oczywiście, wskutek nakazanego używania wyłącznie języka rosyjskiego we wszystkich szkołach i urzędach, rusycyzmy wchodziły w obieg pomimo skrupulatnego ich wystrzegania się. Najbardziej rozkrzewiło się używanie spójnika "a" w znaczeniu " lecz" lub "ale". Przestrzegali przed tymi naleciałościami i plenili je zajadle nauczyciele, nauczycielki i redaktorowie pism, niekiedy nawet przesadnie, bo poczytywali czasem za rusycyzm to co Rosjanie uważali za polonizm. Z nauczycieli prywatnych języka polskiego z owych czasów pamiętam Skrzypińskiego, Hipolita Skimborowicza, Bałbaszewskiego, Jana Nitowskiego, Jana Chęcińskiego, nie mówiąc już o takich powagach, jak Kazimierz Król, Adam Antoni Kryński i Piotr Chmielowski, którego " Stylistyka " zasługuje ze wszech miar na przedrukowanie.

Wśród nauczycielek — obok wybitnych pisarek dla młodzieży Teresy Jadwigi, Bukowieckiej, Zofii Urbanowskiej i innych — niezmiernie dbała o poprawność języka, również autorka wielu powieści historycznych dla młodzieży, Zuzanna Morawska. Prowadziła ona przez wiele lat potajemnie zbiorowe kursy dla dorastających panien, narażając się na grzywny i areszty; równie gorliwych i oddanych swej pracy nauczycielskiej było w całej Polsce bardzo wiele, że wymienię jeszcze dobrze mi znaną Kierznowską. Wśród ludu wiejskiego jednym z najczynniejszych propagatorów znajomości i poprawności języka był Konrad Prószyński (Kazimierz Promyk), redaktor tygodnika " Gazeta Świąteczna ", szczególnie szykanowanego przez urzędy rosyjskie.

Od współpracownika jego, Mieczysława Kozłowskiego, słyszałem, że do Stanów Zjednoczonych wysyłał on egzemplarze z wielu artykułami patriotycznymi, które cenzura warszawska skreślała. Ten mińszczanin, urodzony w Tomsku, gdzie też skończył gimnazjum, zdołał z wielkimi trudnościami przedostać się do Warszawy, skończyć tu Szkołę Główną i stać się jednym z najcelniejszych znawców języka i krzewicielem oświaty wśród ludu. Opracowany przez niego nowy system nauki czytania

(" Elementarz bez sylabizowania " i " Nauka czytania i pisania dla samouków ") był jednym z najskuteczniejszych instrumentów zwalczania analfabetyzmu. Wziąłem udział w jego pogrzebie z dolnego kościoła św. Krzyża. Za konduktem postępowało wielu czytelników " Gazety Świątecznej ", delegatów różnych bliższych i dalszych wiosek.

Błędy i obce naleciałości językowe wyszydzały także dowcipnie ówczesne pisma humorystyczne: " Kurier Świąteczny", " Mucha " i " Kolce". Wynurzenia niejakiego Połusztannikowa w żargonie polsko-rosyjskim, pióra Wacława Orłowskiego, były podobno czytywane przez samych generał-gubernatorów, a pewien żartowniś z " Kolców " prowadził rubrykę niezdarnych przekładów, które by można nazwać " słownikowymi " : np. " Przez błękitne! " — zawołał margrabia i wychylił kieliszek św. Juliana, (" Parbleu! — s'écria le marquis et avala un verre du St. Julien)" albo odwrotnie, z polskiego na francuski: " O femme, vain édredon, toi, être venteux (Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto!)". Przytaczał też ustępy bezsensowne; jeden z takich długo powtarzano, aż mi utkwił w pamięci: " Kiedy Genowefa zobaczyła, że już nic nie widzi, krzyknęła niemym głosem: " Hrabio, wziąłeś mi wszystko, zabierz i resztę! ". Z ostatnich już lat zapamiętałem przekład tytułu memoriału francuskiego " Le bien-être général en Pologne " na " Dobrze być generałem w Polsce".

Osób, powtarzających stale pewne wyrażenia w rodzaju radziwiłłowskiego " Panie kochanku", w Warszawie nie spotykałem, Dużo osób miało tylko zwyczaj mówienia bez potrzeby: " proszę pana", " proszę pani", "proszę państwa", a młode pokolenie w późniejszych czasach nadużywało w dyskusjach retorycznego pytania: " prawda? ". Natomiast w moich stronach rodzinnych w dzieciństwie i pierwszej młodości zdarzały się przykłady ustawicznie powtarzanych zwrotów. Stary lekarz nowogródzki Tomasz Siemiradzki, który w promieniu około trzydziestu kilometrów objeżdżał chorych, powożąc sam jednokonną kałamaszką na drążkach, jak tu w Anglii lekarze wiejscy swoim samochodem, co zwalniało pacjentów od posyłania własnych bryczek czy furmanek, ciągle powtarzał: " Panie dobrodzieju mój", " Dać malcowi łyżkę stołową rycyny, panie dobrodzieju mój! ". To bywały jego najczęstsze wyroki.

Opowiadał nam raz " rozmowę herbową", zasłyszaną przez dziadka na polowaniu na niedźwiedzie z księciem " Panie Kochanku". Zatrzymali się na przekąskę u jakiegoś szlachcica w błotnistym ostępie.

— Cóż to, panie kochanku,— zapytał książę,— zaszyłeś się w takiej mokrej dziurze, czy nie boisz się wilgoci?

— Nie, nie boję się, książę panie, bo mam herb " Suche komnaty".

Na to odezwał się któryś z myśliwych:

— Teraz rozumiem, czemu moja córka tak się napierała na to polowanie, bo my mamy w herbie " Pannę na niedźwiedziu " !

A książę dodał:



Gimnazjum IV. Dawny Kościół Św. Aleksandra.



Kościół Karola Boromeusza na Chłodnej.



Plac Bankowy.



"Gościnny Dwór" za Żelazną Bramą.

— Dowiedziałem się też, czemu ja Radziwiłł jestem głośny. (Radziwiłłowie mają w herbie — trąby).

Po dr. Siemiradzkim osiadł w Nowogródku na długie lata lekarz Jan Pietkiewicz, dorpatczyk, a później Stanisław Szymanowski. Z bocznych okien nabytego przez niego dworku roztaczał się śliczny widok na ruiny zamku Mendoga i farę, w której w 1424 r. brał ślub Władysław Jagiełło z czwartą swoją żoną, Zofią Holszańską, matką Warneńczyka i Jagiellończyka.

Ks. Dauksza, proboszcz parafii kossowskiej, w której się urodził Kościuszko, miał nałóg powtarzania: " dyli, dyli, dudki". Raz podobno, odwracając się od ołtarza, powiedział:

— Dominus vobiscum, dyli, dyli, dudki.

Następca jego ks. Adam Kisiel, przez lat trzydzieści zarządzał parafią. Dawał on ślub mojej siostrze w Reginowie i pochował moich rodziców i wielu najbliższych krewnych w grobach rodzinnych na Suchowierszy w Rudni koło rzeki Szczary. Był zamknięty i małomówny, ale nocami spowiadał potajemnie unitów miejscowych i znad Bugu; nieraz cudem prawie uniknął zesłania.

REZYDENCI

Jeden z bratanków mojej babki Jundziłłowej, Henryk Połubiński z Łobzowa w słonimskiem, stale wykrzykiwał " Mater Dei ". O drugim, Napoleonie, wspomnę z innego powodu. Był on jednym z tych zanikających zarówno w miastach jak i na wsi typów, mających pewne zalety umysłowe, ale nie lubiących pracować; nad pracę przekładają życie towarzyskie, zabawy, zebrania i t.p. Jeżeli osiadali u kogoś na stałe, nazywano ich rezydentami; często przejeżdżali z miejsca na miejsce, wypatrując, z jakiego komina się kurzy. Zjednywali jednak sobie w kołach krewnych i znajomych miłe przyjęcie dzięki wesołości, pogodnemu humorowi i drobnym usługom wyświadczanym gospodarzom.

Napoleon Połubiński z Zenopola pod Kossowem wychowywał się w konwikcie bazylianów w Żyrowicach, gdzie co sobota wymierzano plagi złym uczniom, żeby się poprawili, i dobrym, żeby się nie popsuli. Potem służył w pułku litewskim, który w r. 1830 pod wielkim księciem Konstantym konsystował w Warszawie. Zachował do późnej starości marsową postać ówczesnego polskiego wojaka. Kochany " pan Napoleon " był przez nas młodszych niezmiernie lubiany i pozwalał, jako bliższym krewnym, płatać sobie figle. Śpiewał też i deklamował różne wiersze z r. 1830/1 przeważnie ułańskie. Większość tych śpiewek znana jest i powtarzana teraz, lecz nie zdarzyło mi się słyszeć piosenki: " Poszły panny na śliwcy, na śliwcy, na śliwcy, a za nimi myśliwcy, myśliwcy, myśliwcy", ani też " Moja mamo, był tu żołnierz, miał z granatem żółty kołnierz"... Przy gitarze nucił po francusku: " Si tu veux, charmante

brune, t'asseoir au clair de la lune, ce gazon sera ton lit". A na zapytanie, co śpiewał gdy się trafiła blondynka, mówił:

— Zmieniam dwa pierwsze wiersze: " Si tu veux, charmante blonde, t'asseoir au bord de cette onde"...

Najchętniej dłuższymi okresami przesiadywał w naszych domach, u Józefostwa Ordów w Derewianczycach i u Henrykostwa Śliźniów w Nowych Dziewiątkowiczach. Latem 1920 r. ówczesny właściciel Dziewiątkowicz Henryk Ślizień, ożeniony z Marią Ostromecką z Choroszczy, zdołał wysłać żonę z dziećmi do Warszawy, ale sam z siostrą Zofią został na miejscu. Zawleczono ich do Słonima i tam wraz z dziekanem słonimskim ks. Weberem, bodaj na pół żywych, wrzucono do wspólnego dołu. Jeden z naszych oficerów, którzy pierwsi odbili Słonim, pokazał mi fotografię rozkopanej mogiły z pokurczonymi zwłokami. Groza takiego widoku — nawet oglądanego tylko na fotografii — nie da się zatrzeć: czasem ni stąd ni zowąd wdziera się jakby z wewnątrz na siatkówkę pamięci.

BEZPIECZEŃSTWO PUBLICZNE

W opisywanym okresie napady i rozboje na ulicach Warszawy zdarzały się nader rzadko. Przez lat dwadzieścia wracałem często późną nocą aż na nie zabudowany jeszcze prawie koniec Marszałkowskiej i przez pustą Mokotowską, a nigdy nikt mnie nie napadł ani zaczepił. Tu przypomnę, że podróżujący po Polsce w w. XVIII Anglik Coxe i ks. Lauzun podziwiali bezpieczeństwo dróg w naszym kraju. Rozboje i nożownictwo zaczęły być częstsze, zwłaszcza w dzielnicach Woli i Ochoty, dopiero w początkach b. w.

Ale złodziei nie brakło, szczególnie kieszonkowych i mieszkaniowych. Pick-pocketom ułatwiały zadanie przesuwanie się w ciasnych tramwajach i ścisk w kościołach i przy wyjściu z teatrów. Odyńcowi w czasie sumy u św. Krzyża wyciągnięto czapkę bobrową z kieszeni, kuzynowi zaś memu Konradowi Turskiemu z Poradunia w lidzkim zdarzył się przykry przypadek: wskutek ścisku niebacznie włożył rękę do kieszeni palta sąsiada, zamiast do swojej, i musiał się legitymować w cyrkule. Ostrzegano też, aby jadąc otwartą dorożką na wieczorne pociągi do dworców praskich, nie kłaść drobnych pakunków za sobą w odchylonej budzie, bo je zręcznie stamtąd ściągano.

Przyznaję, że nie znam nikogo, kto by nie był kiedykolwiek w taki lub inny sposób okradziony, lecz zauważyłem, iż okradzeni jakby się tego wstydzili i niechętnie o tym wspominali. Mnie wyciągnięto w tramwaju letnim z kamizelki złoty repetier po ojcu i w kaplicy na Jasnej Górze papierośnicę spod paltota z bocznej kieszeni kurtki. Stratę w gotówce poniosłem na dworcu w Wilnie, jadąc kiedyś z żoną i z jednym z synów do Rygi. W korytarzu wagonu dostałem się między dwóch idących

naprzeciwko siebie pasażerów. Spostrzegłem natychmiast, co mnie spotkało, ale ptaszki już znikły z moim portfelem. Na pociechę powiedziano mi, że Wilno po Kolonii i Zürichu jest trzecim w Europie miastem z najlepiej zorganizowaną bandą złodziei kolejowych.

Przedmiotem kradzieży po domach była głównie bielizna, susząca się na strychu, oraz srebro i rzeczy wartościowe z mieszkań źle strzeżonych, szczególnie w czasie dłuższej nieobecności lokatorów. Co prawda, nie bardzo dbano o bezpieczeństwo drzwi zewnętrznych. T. zw. zatrzask można było otworzyć kazdym odpowiednio zagiętym ćwiekiem. Ja sam raz na Wiejskiej, zamiast wejść do siebie na IV piętro, wszedłem, używając swego klucza od zatrzasku, na III piętro do mieszkania p. Heleny Bispingowej i spostrzegłem omyłkę dopiero po zapaleniu elektryczności. Wycofałem się cichutko, nie strasząc nikogo.

Znacznie później zaczęto zaopatrywać drzwi wejściowe w łańcuchy, w sztaby żelazne i w angielskie zamki systemu yale. Boothe zaś, główny dostarczyciel kas ogniotrwałych, zaczął coraz bardziej je doskonalić, żeby utrudnić zabiegi włamywaczy.

Specjalistki od okradania magazynów w czasie robienia sprawunków nazywano szopenfeldziarkami, a noszenie modnych torebek bardzo im ułatwiało ukrywanie " ściąganych " przedmiotów. O kleptomankach, tak częstych w Paryżu, u nas nie słyszałem.

Ale zdarzali się i dowcipni złodziejaszkowie. O jednym z takich opowiadał mi mój kolega z rady miejskiej, Władysław Strakacz, którego ojciec miał wielki magazyn ubiorów i utensyliów kościelnych w pałacu arcybiskupim na Miodowej. Pewnego dnia letniego, gdy był sam w sklepie, wszedł jakiś dobrodusznie wyglądający proboszcz prowincjonalny w celu poczynienia, dzięki otrzymanemu legatowi, zakupów do swego kościoła. Oglądał i wybierał wszystko nader starannie, wreszcie poprosił Strakacza, aby włożył albę, ornat i stułę, ażeby lepiej obejrzeć. Potem wsunął mu do jednej ręki kropidło a do drugiej kociołek do wody święconej, obrócił się nagle tyłem do drzwi i porwawszy z szuflady w kasie co tylko mógł zagarnąć, wybiegł... Strakacz, naturalnie, niewiele myśląc, pognał za nim. Ale przechodnie i nawet stójkowy, widząc biegnącego z krzykiem księdza w ornacie i z kropidłem w ręku, wzięli go za wariata i przytrzymali, a rzezimieszek umknął.

Sensacyjnym wydarzeniem było ukradzenie z przedpokoju samego prokuratora izby sądowej na Długiej (obecnie ministerstwo sprawiedliwości) wspaniałej szuby jakiemuś prokuratorowi z prowincji. Po dwóch dniach policja śledcza doniosła, że futro będzie natychmiast zwrócone, jeżeli się zaniecha poszukiwania przestępcy; w przeciwnym razie winny może być wykryty, ale futro napewno przepadnie. Poszkodowany wolał odzyskać stratę, niż dobywać miecza sprawiedliwości.

Na wsi, jeżeli nie najczęstszym, to najdotkliwszym występkiem przeciwko własności było koniokradztwo. Oburzało ono ludność do tego stopnia, że niekiedy dopuszczano się na przyłapanych złodziejach sa-

mosądu. Rynki na Pradze bywały zazwyczaj miejscem zbywania kradzionych koni, którym nieraz maść farbowano. Często również zdarzały się wypadki podpalania przez zemstę albo w celu uzyskania wynagrodzenia asekuracyjnego za stare budowle. W Królestwie od r. 1819 wszystkie budynki w miastach i na wsi podlegały obowiązkowemu ubezpieczeniu od ognia do wartości 60 %, a dobrowolnemu ponad tę wartość.

W miastach prowincjonalnych bezpieczeństwo publiczne wyglądało rozmaicie. Przez kilka lat Radom słynął z nadzwyczaj częstych i zuchwałych kradzieży ulicznych i domowych. Powiadano, że policmajster Kiriczenko zawarł rodzaj " gentleman agreement " czy też " entente cordiale " z całą bandą miejscowych rzezimieszków, tak że nie było sposobu dać im rady. Aliści — przyszła kreska na Matyska! W pewne słoneczne zimowe przedpołudnie damie, idącej głównym placem przy resursie, jakiś opryszek zerwał z pleców pyszną sobolową etolę i począł — nawet niezbyt pośpiesznie — z łupem uciekać. Dama zwróciła się do dyżurującego w pobliżu stójkowego, ale ten, zamiast pobiec za złodziejem, zapytał ją :

— A wasz pasport?

Na swoje i całej miejscowej policji nieszczęście trafił na świeżo przybyłą z Moskwy małżonkę nowego prokuratora sądu okręgowego. Ten zaprzysiągł zemstę; cała konspiracja się wykryła, i p. Kiriczenko ze swą kompanią " poszedł pod sąd ".

Najbardziej jednak sensacyjne morderstwo rabunkowe, które poruszyło policję śledczą całego świata na obu półkulach, zaszło w pociągu pasażerskim kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w pewien wieczór listopadowy 1886 czy też 1887 r., pod stacją Rogów, gdzie z powodu jakiegoś zakrętu każdy pociąg zwalnia chwilowo biegu. Do znajdującej się w pobliżu tej stacji cukrowni wysyłano raz na miesiąc z Warszawy pod opieką dwóch kasjerów wielką ilość gotówki, dochodzącą niekiedy do kilkudziesięciu tysięcy rubli. Owego dnia feralnego w przedziale wagonu II klasy z drzwiczkami wprost na zewnątrz (korytarzowe kursowały tylko w kurierach) konduktor w Skierniewicach zauważył tych dwóch znanych sobie kasjerów i jeszcze dwóch jegomościów. Gdy w Rogowie nikt nie wysiadł, zajrzano i znaleziono w przedziale pomordowanych kasjerów: jednego z roztrzaskaną głową, drugiego, który snadź się bronił, zaduszonego. Wykryto po pewnym czasie, iż to była sprawka znanego bandyty Pawlaka i jego wspólnika, ale ich samych przyłapano dopiero w rok czy dwa później aż w Brazylii. Osadzeni w więzieniu w Rio de Janeiro, mieli już być wydani władzom rosyjskim, gdy niespodzianie wybuchła rewolucja, która pozbawiła tronu cesarza Don Pedro II, a że przy wybuchu rewolucji panuje zwyczaj otwierania wszystkich więzień, więc i nasze ptaszki znalazły się znowu na wolności i nie dały się po raz drugi ująć.

Z katastrof kolejowych, wynikłych wskutek nieostrożności kolejarzy,

pamiętam dwie. Z powodu złego nastawienia zwrotnicy, między Grodnem i Sokółką nastąpiło zderzenie pociągu idącego z Warszawy do Petersburga z pociągiem idącym z Petersburga do Warszawy. Wśród licznych ofiar zginął nasz znajomy, stary pan Wirion, niegdyś marszałek szlachty pow. grodzieńskiego, który za parę minut miał wysiąść na ostatniej swojej stacji Kuźnicy. Druga katastrofa zdarzyła się z pociągiem kurierskim na samym niemal wyjezdnem z Warszawy, jeszcze przed Włochami. W przedziale wagonu, który najbardziej ucierpiał, jechali redaktor Gadomski z siostrą i Władysław Reymont, już autor " Komediantki " i kilku innych powieści. Panna Gadomska zginęła na miejszu, Gadomski uległ złamaniu żeber a Reymont cięższym obrażeniom i wstrząśnieniom, tak że musiał kilka miesięcy przebywać w szpitalu. Kolej Warszawsko-Wiedeńska nie czyniła żadnych trudności przy wypłacie odszkodowania. Gadomski otrzymał 12 000 a Reymont 30 000 rb.

Ale czasami bywały ocalenia, rzekłbym, cudowne. Mój starszy kolega, prawnik Antoni Piaskowski, wypadł zaspany gdzieś pod Grodziskiem z kuriera wiedeńskiego, przychodzącego do Warszawy o 6-ej rano. Wypadł tak szczęśliwie, że odurzony i nieruchomy znalazł się pomiędzy dwoma torami i dzięki temu uniknął przejechania przez pociąg, który wkrótce przeszedł drugim torem.

STOSUNKI Z ZABOREM PRUSKIM

W początkach opisywanego okresu warunki bytu rodaków w zaborze pruskim wydawały się nam mniej uciążliwe i znośniejsze niż w zaborze rosyjskim, szczególnie gdy chodziło o udogodnienia gospodarcze i społeczne. Niebawem wynurzenia i polityka Bismarcka oraz t. zw. " Kulturkampf " wykazały bezwzględność zamierzeń germanizacyjnych, a wszelkie nadzieje złagodzenia kursu antypolskiego, pokładane w młodym cesarzu w związku z nominacją na kanclerza gen. Capriviego, rozwiały się zwłaszcza po słynnej polakoburczej mowie Wilhelma II w Malborgu w r. 1894, po której Józef Kościelski z Miłosławia i kilku wśród dawnych optymistów, a także dwaj nasi malarze - myśliwi, Wojciech Kossak i Fałat, usunęli się z otoczenia dworskiego. Potem przyszła Komisja Kolonizacyjna, katowanie dzieci szkolnych we Wrześni za odmawianie pacierza po polsku (Września spowodowała głośny protest Sienkiewicza), wóz Drzymały i t.d.

Wśród Poznańczyków, którzy osiadali w Warszawie, pamiętam przede wszystkim kilku nauczycieli języka niemieckiego. Tak się zdarzyło, iż w r. 1875/6 dawał nam na stancji dodatkowe lekcje i francuskiego i niemieckiego języka Alzatczyk Fischer, zbiegły z anektowanej przez Niemców prowincji, nader zbiedzony i schorowany. Pokazywał mi i czytał niejednokrotnie tekst swego wiersza : " Vous n'aurez pas l'Alsace

et la Lorraine et malgré à vous nous resterons Français...", który później — nie wiem z czyją muzyką — stał się bardzo popularny we Francji. Przy mnie tekst ten kreślił i poprawiał.

Latem 1896 r. miałem sposobność poznania u krewnych moich, Stefana i Julii Jundziłłów, młodego studenta Ślązaka, zaproszonego do Hrudopola (położonego między Kosowem a Baranowiczami, o 50 km od każdej z tych miejscowości) w celu ugruntowania znajomości różnych przedmiotów kursu gimnazjalnego u syna ich Antoniego. Chodziłem z nim często i jeździłem parę razy na dłuższe spacery, dyskutując o rozmaitych sprawach narodowych. Studentem tym był Wojciech Korfanty. Antoni Jundziłł, w ostatnich czasach prezes Kresowego Związku Ziemian, został wywieziony na wschód jesienią 1939 r., i ślad po nim zaginął. Matka jego, osiemdziesięcioletnia staruszka, wyrzucona ze swego domu w Iwacewiczach, zmarła tejże zimy z głodu i chłodu w sieni jakiegoś przytułku w Baranowiczach.

Z literatów i dziennikarzy, oprócz Donimirskiego i Puffkego, o których już wspominałem, do najwybitniejszych należał Jeske - Choiński, powieściopisarz i nader cięty krytyk literacki z " Kuriera Warszawskiego". W pierwszym roczniku " Życia " warszawskiego w r. 1886 drukowaliśmy jego powieść " Z popiołów", przedstawiającą powrót urzędnika poznańskiego Ruhsitzky'ego do polskości i do porzuconego przez dziadka rodowego nazwiska Różycki. Choiński ożenił się w Warszawie z panną Mikorską. Później osiedli w Warszawie: literat Maciej Wierzbiński, publicystka Iza z Moszczeńskich Rzepecka, Adam Breza (pseudonim Vieux Polonais), ożeniony z p. Izabelą Goldstandówną, współpracownik dziennika " Wiek", wydawanego przez Zalewskiego. W kilka lat potem przybył do Warszawy Władysław Rabski; wkrótce został on naczelnym felietonistą (pseudonim Kaprys) i krytykiem teatralnym " Kuriera Warszawskiego". Po wojnie posłował ze Stronnictwa Ludowo-Narodowego. Zmarł w r. 1924. Rabski ożenił się z p. Zuzanną Krausharówną, córką historyka i prawnika Kraushara. Słyszałem, że zginęła ona w czasie obecnej okupacji Warszawy przez Niemców. Pamiętam przyjęcie, jakie na kilka lat przed pierwszą wojną pod przewodnictwem Rabskiego urządziliśmy w Resursie Kupieckiej dla Wojciecha Trąmpczyńskiego, podówczas prezesa Koła Polskiego w Berlinie.

Przez kilka lat widywałem się często z Zygmuntem Jaraczewskim z Jaraczewa i z bratem jego Mścisławem, niegdyś kawalerzystą w wojsku włoskim; byli oni synami czy też siostrzeńcami popularnej w połowie XIX w. w Poznańskiem autorki Elżbiety Jaraczewskiej. Zygmunt Jaraczewski z żoną, synowicą arcybiskupa gnieźnieńskiego Floriana Stablewskiego, po wydaniu za mąż dwóch córek pod zabór rosyjski, jedną za Platera, drugą za kpt. Świnarskiego i — zdaje mi się — po sprzedaniu Jaraczewa, osiadł w Warszawie. Nieraz po trwającej do rana partyjce winta z doskonałym " boczkiem na żeberkach " na kolację, — a nikt chyba nie umiał tak wybornie przyrządzać boczku, jak pan Zygmunt

(nb. taki boczek na Litwie nazywano wereszczaką),— wyskakiwaliśmy na ulicę, żeby nie budzić stróża, przez okno parterowego mieszkania gospodarza przy ul. Kruczej 3, prawie na samym rogu dawnej ul. Pięknej. A mało jest widoków równie uroczych, zwłaszcza gdy nie spowszedniał przez częste oglądanie, jak widok po wesoło spędzonej nocy wschodzącego spoza Wisły słońca, szczególnie, kiedy się w kartach poszczęściło. Dzięki pani Jaraczewskiej, za pierwszą moją bytnością w Poznaniu miałem zaszczyt być przyjęty przez arcybiskupa Stablewskiego i wręczyć mu zapieczętowany list od Kurii Metropolitalnej Warszawskiej, który w ten sposób uniknął okólnej wędrówki urzędowej via Petersburg i naturalnie cenzury władz rosyjskich.

Przenoszeniu się Polaków, a zwłaszcza Niemców, do Królestwa rząd rosyjski się nie przeciwstawiał, owszem, daleko łatwiej pozwalał zabudowywać się kolonistom niemieckim nawet w pasach przyfortecznych, jak Dęblin i Modlin, oraz kupować t. zw. folwarki poduchowne, niż miejscowej włościańskiej ludności polskiej. Odwrotnie, władze pruskie, z wyjątkiem sezonowych robotników rolnych, udających się do Niemiec na t. zw. "saksy," po r. 1880 niechętnie pozwalały inteligencji polskiej spoza kordonu przybywać i na dłużej osiadać w Księstwie Poznańskim i na Śląsku.

Niemcy, osiadający w Królestwie, o ile działo się to przed wojną francusko-niemiecką 1870/1 r., dość rychło nawet w drugim pokoleniu polszczyli się przeważnie zupełnie szczerze, zachowując dłużej język i niektóre obyczaje, jak amatorstwo do piwa, gry w kręgle i w skata i t. p. W Warszawie mieli od dawna własne towarzystwo śpiewacze "Harmonia" w starym pałacyku przy ul. Długiej, który później wraz ze starym hotelem Drezdeńskim zajęto pod ministerstwo opieki społecznej. Po utworzeniu cesarstwa niemieckiego nastroje nowych przybyszy uległy zmianie, Prawdopodobnie większość ich przygotowywała się do spełniania, gdy pora się zdarzy, roli członków "piątej kolumny".

Obywatele rosyjscy narodowości niemieckiej byli zawsze mile widziani i promowani w Petersburgu, nawet wówczas, gdy w r. 1881 rząd niemiecki wydał tajne rozporządzenie, które chyba musiało być znane władzom rosyjskim, iż obywatele niemieccy mogą przyjmować obywatelstwo obce i wstępować na służbę obcego państwa, nie tracąc przez to obywatelstwa niemieckiego. Było to ulegalizowanie dla Niemców podwójnego poddaństwa, bardzo źle widzianego w lojalnych stosunkach międzynarodowych, a w konstytucji polskiej 1921 r. wyraźnie zabronionego. Za namiestnictwa w Królestwie Berga i następcy jego, już tylko z tytułem generał - gubernatora Kotzebuego, ważniejsze stanowiska zajmowali także Niemcy: więc gubernatorzy Medem i Mengden, kurator okręgu naukowego Witte i t. d. Mieli oni swoje gimnazjum niemieckie, swój klub i wszystkie dodatki do uposażeń na równi z Rosjanami. Lecz jeszcze nawet przed samą wojną 1914 r., kiedy np. brat czy kuzyn gubernatora wileńskiego Gradenwitza był landratem pruskim, część wyższych urzęd-

ników w Królestwie (np. oberpolicmajster Mejer, prezydent miasta Miller prokurator Herszelman i t. d.) byli to Niemcy, a połowa generałów nosiła nazwiska niemieckie, tak iż trudno się było zorientować, czytając zwięzłe depesze z pola bitew, czy to o rosyjskim czy o niemieckim korpusie mowa. W składnicy oficerskiej na Krakowskim Przedmieściu w dawnej kamienicy Zamoyskich wykryto tajny telefon i telegraf szpiegowski.

Przed wojną 1914 r. dwa razy bawiłem w Poznaniu, ale na żądanie policji za każdym razem nie dłużej nad trzy dni. Uderzyła mnie i radośnie wzruszyła atmosfera rozdziału — nazwałbym go duchowym — między ludnością polską a niemiecką. Polacy jakby nie dostrzegali Niemców i tego co niemieckie, poza nieuniknionymi stosunkami, tak jak u nas w Warszawie np. przechodnie patrzyli ale nie widzieli soboru na pl. Saskim.

Po odzyskaniu niepodległości jeździłem do Poznania urzędowo trzy razy: na otwarcie uniwersytetu, na pogrzeb arcybiskupa Edmunda Dalbora i na intronizację arcybiskupa Augustyna Hlonda. Za pierwszej bytności ówczesny prezydent Poznania Jarogniew Drwęski i prezes rady miejskiej Władysław Mieczkowski, którzy na posiedzeniach zasiadali razem, jak dwaj konsule rzymscy, umieścili mnie, jako przedstawiciela stolicy, między sobą i w serdecznych słowach uczcili Warszawę. Później poznałem Władysława Seydę, trzeciego z kolei prezesa Sądu Najwyższego, prezydenta Cyryla Ratajskiego i wojewodę Adolfa Bnińskiego. Poznałem się, gdy przyjeżdżał do Warszawy, z Ignacym Mielżyńskim, głośnym w kraju przez zabójstwo swej żony, a później dzielność w partyzantce przeciw Niemcom. Podzielał on propagowaną w swoim czasie przez Alexandre'a Dumasa syna zasadę, iż w przypadku zdrady małżeńskiej "tue — la" jest bardziej logiczne niż "tue — le". W przystępie zazdrości i obrazy honoru zastrzelił swoją żonę w jej sypialni. Sąd go uniewinnił. Poznałem też członków zasłużonej rodziny Leitgeberów.

Na wieś i do Księstwa i na Pomorze jeździłem z żoną dość często do Witolda Sariusza-Wilkoszewskiego i jego żony Wandy ze Starzyńskich, bliskich krewnych mego szwagra Lucjana Wilkoszewskiego. Przenieśli się oni z Kasiny pod Chabówką najprzód do Wapna koło Kcyni w sąsiedztwie kopalni soli a potem nabyli dobra Grabowo-Królewskie koło Wrześni. Witold Wilkoszewski, którego matka była Korytowska z domu, miał wielkie zdolności administracyjne i zaprowadził u siebie wzorowe gospodarstwo przemysłowe i rolnicze. Umarł w r. 1937, a będąc bezdzietny, większą część majątku zapisał na rzecz fundacji swego imienia, powierzając — o ile pamiętam — korzystanie z niej uniwersytetowi poznańskiemu, który — mam nadzieję — ją odzyska. W sąsiedztwie Grabowa-Królewskiego w Kołaczkowie mieszkał przez kilka lat Reymont z żoną p. Aurelią l-o voto Szawłowską; po śmierci Reymonta wyszła za mąż za adwokata Leona Czeszera. Odwiedzałem ich i namawiałem, żeby sprzedali ten już niewielki ale z piękną rezydencją i parkiem folwark Wilkoszewskiemu. Reymont się wahał, lecz ostatecznie sprzedał Kołaczkowo

długoletnim jego dzierżawcom pp. Brzeskim i powrócił do Warszawy na ul. Górnośląską.

Drugim domem, do którego często z żoną jeździłem, był Piechcin, wielka cementownia koło Pakości w pobliżu Inowrocławia. Naczelnym jej dyrektorem był Władysław Namysłowski, ożeniony z Marią Lipską, córką mego kuzyna Ignacego i siostry mojej żony, bardzo dzielną sokolicą, pysznie strzelającą do celu. Dzięki nim objeździliśmy Pomorze aż za Wejherowo, poznaliśmy przepiękną Szwajcarię Kaszubską i odwiedziliśmy kilka dalszych krewniaczek mojej żony, które powychodziły za mąż w tamte strony, pp. Wichlińską i Trzcińską, z domu Ostrowskie, Barbarę Żyliczową, z domu Cichowską, siostrę Ireny Sczanieckiej z Nawry. W sasiedztwie Nawry w Trzebcu mieszkała p. Ślaska, siostra mego przyjaciela Świackiego, ożenionego z Marią Donimirską. Jedna z jej córek, także Maria, wyszła za mąż za współwłaściciela Czorsztyna, ze wspaniałymi ruinami dawnego zamku, Jana Drohojowskiego, wójta gminy czorsztyńskiej. Odwiedzalem ich za pobytu w Szczawnicy w r. 1937. Druga panna Ślaska, Zofia, współpracowniczka kilku czasopism pomorskich, poślubiła Henryka Łubieńskiego. Syn Jan Ślaski, ożeniony z p. Horochówną, w ostatnich czasach senator, w randze kapitana wojsk polskich dotarł ze swym pułkiem w r. 1939 pod Tarnopol. Jako jeńca wojennego uprowadzono go na wschód.

Z Poznańczyków, przybyłych do Warszawy jeszcze jako poddanych niemieckich, wymienię Bohdana Huttena - Czapskiego, kuratora wznowionego uniwersytetu warszawskiego, profesora prawa rzymskiego Ignacego Koschembahra - Łyskowskiego i Olgierda Czartoryskiego, ożenionego z córką arcyksięcia Habsburga z Żywca. Delegowano go w r. 1916 w charakterze komisarza rządowego do zarządu Polskiej Macierzy Szkolnej, którego zostałem sekretarzem. Daj Boże zawsze mieć takiego komisarza obcego rządu.

Drugim Polakiem, komisarzem rządu niemieckiego, z którym się znałem, był mecenas Zygmunt Dziembowski, delegowany do rady miejskiej z obowiązkiem bywania na wszystkich posiedzeniach oraz z prawem zabierania głosu poza koleją i zgłaszania veta. Miałem z nim do czynienia jako członek komisji regulaminowo - prawnej. Wkrótce po moim wyborze na prezesa rady umarł w Poznaniu. Był to niewątpliwie znakomity prawnik i udzielał nam wielu pożytecznych wskazówek i rad. Nie lubiano go w Poznańskiem z powodu stanowiska, jakie zajął w procesie o fundację rydzyńską Sułkowskich. Mówił mi kiedyś, że jako prawnik musi stać na gruncie określonym przez obowiązujące ustawy. Co prawda, takie ścisłe trzymanie się formalnej treści prawa, nawet pomimo zmiany warunków politycznych, być może, zanadto opanowało psychikę niektórych urzędników i prawników polskich z zaboru pruskiego. Nie mogę zapomnieć niemiłego wrażenia, jakie wywołał w Warszawie w r. 1923 czy 1924 spór między poznańską izbą skarbową a gminą miasta Trzemeszno. W r. 1863 kilkunastu uczni z wyższych klas miejscowego gimnazjum za

dyrektorstwa zdolnego pedagoga i wielkiego patrioty polskiego Jakuba Meissnera, ożenionego z p. Marią Tańską z Rudek, zdołało zbiec za kordon, aby przyłączyć się do którejś bliższej partii powstańczej. Rząd pruski skazał za to miasto Trzemeszno na płacenie bez określenia terminu corocznie pewnej grzywny na rzecz skarbu państwa. Dopiero w r. 1922 gmina spostrzegła, że jest rzeczą dziwną, iż polskie miasto płaci skarbowi polskiemu grzywny za udział polskiej młodzieży w polskim powstaniu. Ale izba skarbowa, stojąc na gruncie prawa formalnego, nie chciała ustąpić i zagroziła ściąganiem przymusowym. Trzeba było interwencji ministra skarbu czy najwyższego trybunału administracyjnego, żeby przekonał fiskalną izbę, iż niekiedy "summum jus est summa injuria".

W związku ze śniercią Dziembowskiego poznałem osobiście generał-gubernatora Beselera. Poczuwając się do obowiązku pójścia na nabożeństwo żałobne za duszę Dziembowskiego, odprawiane w soborze na pl. Saskim, tusiadłem skromnie w jednym z dalszych rzędów krzeseł. Po mszy któryś ze znających mnie dygnitarzy niemieckich, Sahm czy też Lerchenfeld, podszedł do mnie, mówiąc, że generał-gubernator chce mnie poznać. Po zarekomendowaniu Beseler zapytał, dlaczego jako nowy prezes rady nie przyszedłem mu się przedstawić? Odpowiedziałem, że nie sądziłem, aby to było właściwe (de rigueur), skoro nie byłem mianowany, jak moi poprzednicy, lecz wybrany przez radnych. Odrzekł:

— Ale ja się na to zgodziłem.

Rozmawialiśmy po francusku.

Po stworzeniu Komisji Kolonizacyjnej i założeniu przez społeczeństwo polskie Banku Ziemskiego specjalnie w celu ratowania właścicieli, którym groziło wywłaszczenie za długi czy zaległości podatkowe, w Warszawie i w całym zaborze rosyjskim, rozkupiono wiele akcji tego banku, a dywidendy, dochodzące niekiedy do 4%, oddawano bankowi na powiększenie jego funduszów. Bank ten był prowadzony bez porównania umiejętniej niż istniejący w latach 1870–1880 bank prywatny "Tellus", udzielający kredytu ziemianom. Po kilku latach "Tellus" uległ likwidacji, a jego naczelny dyrektor, Stanisław Plater, ożeniony z Elżbietą Mielżyńską, przeniósł się do swego majątku Hruszniew w siedleckiem. Hruszniew sąsiadował z Mężeninem, należącym do dzieci krewnych moich po matce, Walerego Jundziłła i Zofii z Wołłowiczów. Niezależnie od wygnania w głąb Rosji nakazano Jundziłłowi pozbyć się pod groźbą konfiskaty majątku Johalin nad Szczarą i Myszanką. Zamienił go więc na ów Mężenin po lewej stronie Bugu z gen. Fanshaw, nie bez znacznego uszczerbku, i wkrótce umarł. Drugim sąsiadem Hruszniewa był Ludwik Bądzyński z Ruskowa, cioteczny brat mego przyszłego teścia Chomętowskiego; Bądzyński został opiekunem przydanym nieletnich Jundziłłów z Mężenina, powierzając prowadzenie gospodarstwa zacnemu Witoldowi Jussewiczowi z oszmiańskiego, współwygnańcowi Jundziłła. Kiedy raz podczas świąt Bożego Narodzenia pp. Bądzyńscy (ona Maria z domu Szamocianka)

przyjechali w słonimskie odwiedzić swą pupilkę Jadwigę Jundziłłównę, która poślubiła kuzyna swego Stanisława Jundziłła, wraz z córką Marią, później Ignacową Humnicką, wzięli z sobą starego kamerdynera Pawła Miedzińskiego, zapalonego myśliwego. Nie chciał on wierzyć w istnienie zajęcy - bielaków, i sam widziałem, jak takiego bielaka, gdy mu go przyniesiono, szorował niemiłosiernie, przekonany, że go ufarbowano. Synowiec Ludwika Bądzyńskiego, Stefan z Czebierak, był drugim wicemarszałkiem Tymczasowej Rady Stanu z wyboru, a później jakiś czas wojewodą. Brat jego Stanisław był profesorem uniwersytetu warszawskiego. Z córką Stanisława Platera Elżbietą ożenił się Eustachy Jelski z wołkowyskiego, syn siostry Walerowej Jundziłłowej, Cecylii z Wołłowiczów Jelskiej, i Józefa Jelskiego. Zmarł on w sile wieku, zatruwszy się grzybami, co się u nas nader rzadko zdarzało; słyszałem tylko raz o innym podobnym wypadku, który spotkał Michała Ordę z Czerwiszcza na Wołyniu, ojca mego kolegi szkolnego Iwona.

Wsród naszych działaczy z Królestwa, którzy współdziałali w latach 1890–1905 w utrzymywaniu i rozbudzaniu uczucia narodowego na Śląsku i na Warmii (Poznańskie tego nie potrzebowało), pierwsze miejsce zajmuje Antoni Osuchowski, kawaler orderu Orła Białego, słusznie nazwany przez Sienkiewicza kwestarzem narodu polskiego. Posiadał on istotnie nadzwyczajny dar zbierania pieniędzy, otwierający najszczelniej zamknięte sakiewki. Wędrował po owych stronach i znał mnóstwo miejscowych działaczy. Poznałem jego tameczne stosunki w czasie plebiscytu na Warmii, gdy współpracowałem z nim w komitecie obywatelskim, poznałem też energię i ofiarność obywateli tej ziemi, Jana Donimirskiego i Halki Sierakowskiej z Waplewa, córki Andrzeja Lubomirskiego z Przeworska, zamordowanych w tej wojnie przez Niemców. Mąż Halki Sierakowskiej Stanisław był rodzonym wujem Cecylii z domu Jaroszyńskiej, żony ambasadora Edwarda Raczyńskiego. Rząd nasz uważał, może i racjonalnie, za konieczne zachowywanie najbezwzględniejszej bezstronności i lojalności, podczas gdy Niemcy popierali ów plebiscyt per fas et nefas na swoją korzyść. Od tego czasu straciłem wszelką wiarę w zasadność plebiscytu, jako podstawy do ustalania istotnych poglądów większości mieszkańców danej dzielnicy z ludnością mieszaną. Sądzę, że Osuchowski zasłużył na osobną monografię biograficzną i historyczną.

Drugim ówczesnym budzicielem Śląska było rodzeństwo Parczewskich z Kalisza. Panna Melania, będąc w stałych stosunkach z działaczem miejscowym Karolem Miarką, dostarczała książek, broszur i pieniędzy. Mecenas Alfons Parczewski współdziałał z siostrą, zanim nie wypłynął na otwarte szlaki polityczne jako poseł do pierwszej dumy a później profesor prawa kościelnego na uniwersytetach wileńskim i warszawskim. W r. 1917 był, obok Artura Śliwińskiego, wiceprezesem warszawskiej rady miejskiej. Nie wyobrażam sobie w pamięci kochanego pana Alfonsa inaczej, niż z cygarem w ustach, tak jak Churchilla, z tą tylko różnicą, że Churchill pali chyba wonniejsze cygara.

W Katowicach byłem dwa razy: na otwarciu sejmu krajowego, gdy na przyjęciu u marszałkowstwa Konstantostwa Wolnych zobaczyłem taniec miejscowy, w którym kawaler tańczy z dwiema tancerkami, oraz na zjeździe związku miast jesienią 1924 r. Udali się tam ze mną prezydent Władysław Jabłoński, wiceprezes Czesław Brzeziński, ławnik Stanisław Kuksz, radna Budzińska - Tylicka i kilku innych członków zarządu warszawskiego oddziału Związku. W sierpniu 1919 r. miałem zaszczyt prowadzenia manifestacyjnego pochodu tysiącznych tłumów spod ratusza do zamku do premiera Paderewskiego i do Belwederu do Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego z apelem stolicy o udzielenie pomocy powstańcom śląskim. Na następnym posiedzeniu rady nadaliśmy ulicy, idącej od rogu Wiejskiej i Pięknej w dół ku Wiśle, nazwę ul. Górnośląskiej.

OKOLICE WARSZAWY — WYCIECZKI

W opisywanym okresie, zwyczaj niemal masowego przenoszenia się inteligencji latem na t. zw. "letnie mieszkania" w okolicach miasta jeszcze się nie ustalił. Powietrze w mieście było stosunkowo czyste, a wyjazd utrudniał brak dogodnej komunikacji i nieponętny wcale, zwłaszcza dla mieszczuchów, stan domostw podmiejskich i wioskowych. Ze zmianą tych warunków i zwiększeniem się dbałości o higienę, spędzanie przynajmniej części lata poza miastem, szczególnie gdy chodziło o dzieci, uznano za konieczne. W pewnej mierze przyczynił się do tego przykład urzędników rosyjskich, którzy na wzór kolegów z Petersburga i Moskwy wyszukiwali i urządzali sobie w pobliżu Warszawy t. zw. "dacze". Najwcześniej jednak zakrzątnięto się koło organizacji kolonii letnich dla dziatwy najniezamożniejszej ludności, aby choć przez parę tygodni mogła odetchnąć na świeżym powietrzu i poznać "żywą przyrodę". Rozmieszczano ją częściowo w Ciechocinku pod opieką sióstr miłosierdzia, częściowo w licznych dworach wiejskich, które chętnie udzielały pomieszczenia. Głównym inicjatorem tych kolonii letnich dla dzieci był naczelny lekarz kolei Warszawsko - Wiedeńskiej dr. Stanisław Markiewicz, który wyrobił wraz z dyr. Strasburgerem bezpłatny przejazd dzieci kolejami. Naczelną organizatorką była długi czas doktorowa Pawińska, siostra dr. Chrostowskiego, bratowa profesora, a jedną z jej najdzielniejszych pomocnic — Augusta z Broniewskich Barowa, żona mego wielkiego przyjaciela Romana Bara, w ostatnich latach notariusza w Warszawie.

Oczywiście, wiele osób wyjeżdżało na lato do krewnych na wieś, lecz głównie na kurację do wód. W Królestwie najliczniej odwiedzano Ciechocinek, a potem Busk i Solec. Do Druskienik nad Niemnem, które urządził i postawił na wysokiej stopie w latach 1840–1860 dr. Jan Pilecki, z Warszawy jeżdżono wtedy rzadko.

W dziewiątym dziesiątku lat ub. w. grupa lekarzy — Wacław Lasocki, Konrad Chmielewski, ojczym psychiatry dr. Rafała Radziwiłłowicza i Oktawii, pierwszej żony Żeromskiego, Henryk Dobrzycki, Marian Jakowski i kilku innych — utworzyła spółkę udziałową zakładu leczniczego w Nałęczowie ze wspaniałym pałacem Małachowskich jako " Kurhausem", i malowniczym parkiem. Zakład rozwinął się nader pomyślnie i zaczął ściągać nie tylko kuracjuszy lecz i zwykłych " letników". Dokoła pobudowano wiele willi prywatnych. Oprócz Żeromskiego zaczął tam przyjeżdżać prawie stale Prus. Kuracja opierała się przeważnie na hydroterapii, której moda wówczas panowała w Europie: różnych prysznicach, polewaniach, oblewaniach i t.p. Taki sam zakład, prowadzony przez Polaka dr. Czerwińskiego, istniał długo w "Fürstenhofie" na południowej stronie przełęczy semmerinskiej za Wiedniem. Stosowano się także wówczas powszechnie do wskazówek ks. Kneipa, który przewidział genialnie " witaminowe " dobrodziejstwa otręb w chlebie i był zaciętym przeciwnikiem noszenia obuwia. To też radziłem zapalonym zwolenniczkom Kneipa, aby spacerując rankiem po mokrej murawie, podśpiewywały sobie " Pieśń wieczorną " Moniuszki, ale ze zmianą słów: " Po nocnej rosie płyń dźwięczny głosie! . . . " na " Z poranną rosą biegajmy boso !" . . .

Przy taniości paszportów zagranicznych (15 rb na pół roku), które w Warszawie dostawało się w kancelarii oberpolicmajstra w ciagu 48 godzin, najłatwiej i najprzyjemniej było wyjeżdżać do polskich wód w Małopolsce. Tu prym trzymały Krynica i Szczawnica, a później nieco — dzięki radom dr. Chałubińskiego — Zakopane. O zaletach powietrza Otwocka i okolic dla chorych piersiowych nikomu się jeszcze wówczas nie śniło. Wprawdzie i na Zakopane z początku zapatrywano się sceptycznie. Pamiętam, jak Chmielowski, Antoni Sygietyński, Milicer, Dziewulski i Teodor Paprocki po tygodniowym pobycie w Zakopanem, opowiadali, że te wszystkie góry zakopiańskie to blaga! Oni przez cały tydzień nie widzieli ani jednej góry, tylko ciurkiem padający deszcz; na szczęście jest tam jakiś Płonka, gdzie można było przesiadywać, popijając wcale znośny zieleniaczek, i przegryzać go podwędzonym owczym czy kozim serem, a czasem dostać wybornych pstrągów.

Wśród wód zagranicznych najbardziej przez Polaków były uczęszczane Karlsbad, Vichy, Meran z kuracją winogronową, Kissingen, Nauheim i Wiesbaden, a z morskich kąpieli — bliskie Sopoty oraz Abbazia, Ostenda i Biarritz. Później wszedł w modę Kołobrzeg z morzem i ciepłą solanką. Wzmocnił on zdrowie moich dwóch najmłodszych synów, Kazimierza (zginął w r. 1934 w Pirenejach) i Antoniego. W każdej z tych miejscowości ordynował w sezonie jakiś lekarz Polak. W Karlsbadzie po Hassewiczu, którego już nie znałem — Czesław Stieche, Biernacki, Maleszewski, syn redaktora " Biesiady Literackiej ", a w ostatnich czasach Wassertal, rodem z Częstochowy, który po pierwszej wojnie osiadł tam na stałe. Dr Hassewicz był bardzo dowcipny. Opowiadał nam Sienkiewicz, że gdy na swojej willi umieścił nazwę " Kopernik " przez K, zarząd

miejski zwrócił się doń z uprzejmą uwagą, iż wielki astronom Kopernik, jako Niemiec, pisał się przez C, a tylko podobno jego ojciec używał litery K. Na to Hassewicz odpowiedział:

— Nie ma o co się spierać, bo ja właśnie nazwałem swoją willę na cześć jego ojca.

Lecz siedząc w mieście, i wiosną i latem robiono spacery i wycieczki po bliższych okolicach Warszawy, korzystając ze świąt i chwil wolniejszych. Kochali je warszawianie, choć oprócz wybrzeży Wisły nie odznaczają się malowniczością. Folwark świętokrzyski, gdzie później stanął szpital Dzieciątka Jezus, i ogrody na Czystem zabudowały się; wolne było zawsze Wierzbno przy Mokotowie. Najczęstszym celem dalszych wycieczek był Wilanów. Przed zbudowaniem kolejki konnej chadzano tam piechotą lub jeżdżono kałamaszką od rogatki belwederskiej za " rubelka " w jedną stronę. Powozy i dorożki kosztowały dość drogo.

Minąwszy po lewej stronie zapuszczony park sielecki, a po prawej Promenadę belwederską, trzeciorzędny ogródek z szynczkiem nad błotnistą sadzawką, gdzie — przyznaję — noga moja nigdy nie odważyła się postać, za " Marcelinem " i " Sielanką " szło się dalej bądź prosto drogą, zwaną od czasów Sobieskiego Królewską, bądź zboczywszy na lewo przez Czerniaków, okrążając mały fort, których gęsty łańcuch otaczał podówczas Warszawę. Tam dookoła były już tylko pola i łąki. Początkowa część tego szlaku od rogatki do Promenady nie odznaczała się wyborowym powietrzem. Nieraz, parodiując " Dziady," powtarzaliśmy, zatknąwszy nosy: " Quelle odeur! quelle odeur! ah, monsieur le sénateur! ". Chodziliśmy często we czwórkę: Edward Lechowicz, kolega mój z Prokuratorii Królestwa Polskiego, którego podpis, jako jednego z delegatów na konferencji ryskiej, znajduje się na traktacie pokojowym z Sowietami, oraz dwaj kuzyni mojej żony, Janusz Orłowski, reprezentujący zwykle kolej Nadwiślańską na konferencjach zarządów kolei europejskich, które dotyczyły uzgodnienia ruchu (z ostatniej w r. 1914 musiał już od Torunia powracać przez Szwecję i Finlandię) i Artur Podlodowski, wywodzący się w prostej linii od brata Hanny, żony Kochanowskiego, Jakuba, który wysłany do Turcji przez króla Stefana Batorego po zakup koni rasy wschodniej, został przez jakiegoś baszę podstępnie ujęty i uśmiercony. Artur Podlodowski miał humor godny Rzeczypospolitej Babińskiej i sypał anegdotami jak z rękawa. W ostatnich czasach mówił o sobie, że jest najdoskonalszym patriotą, bo kocha wszystko co w Polsce żyje i działa bez żadnych najmniejszych wyjątków.

— Ze łzami radosnego rozczulenia — powiadał — oglądam nawet tych naszych kochanych celników, którzy mnie o 6-ej rano w Piotrowicach czy w Dziedzicach budzą gwałtownie, żeby przetrząsnąć walizkę i oclić porządnie znoszone dwie pary rękawiczek i trzy krawaty, albo wykłócić się o świeżość kołdry podróżnej, która już kilka razy miała zaszczyt przekraczać granicę w tę i w tamtą stronę.

Niezatarte wspomnienie zostawiły mi częste przez dwa czy trzy lata

odwiedziny niedzielne u Kaliksta Buttowta-Andrzeykowicza, zarządzającego gospodarstwem rolnym Wilanowa, gdzie miał swój dom z oddzielnym ogrodem.

Ogólnym administratorem dóbr Augustowej Potockiej, która nabyła dobra wilanowskie od swego męża, był Feliks Czacki, synowiec założyciela, Liceum Krzemienieckiego, Tadeusza. Córka jego, prawie niewidoma matka Czacka, założyła i prowadziła do ostatnich czasów zakład dla ślepych nieuleczalnych w Laskach pod Warszawą. Uzupełnił on poniekąd leczniczy instytut oftalmiczny przy końcu ul. Smolnej, ufundowany przez Edwarda Lubomirskiego koło 1850 r. Najstarszy instytut dla ociemniałych i głuchoniemych powstał z inicjatywy ks. Jana Falkowskiego w r. 1818, na pl. Trzech Krzyży. Chociaż był to instytut fundacyjny, nie zależny od kuratora okręgu naukowego, jednak Apuchtin objął nad nim władzę, ażeby rusyfikować nawet głuchoniemych. Bardziej muzykalni ociemniali byli kształceni w muzyce tanecznej i jako taperzy na wieczorach i wieczorkach zarabiali na wystarczające utrzymanie. Mieli na ul. Piwnej własne biuro zamówień.

Buttowt-Andrzeykowicz, powstaniec z r. 1863, był bliskim krewnym artystki-malarki Magdaleny Andrzeykowiczówny z Hornostajewicz pod Wołkowyskiem, przyjaciółki mojej siostry i mojej żony. Jej ojciec Jarosław był powstańcem, zesłanym na Syberię, miała matkę Angielkę Ellen z domu Merrywheater.

Na te niedzielne przyjęcia kompania nasza wyjeżdżała zwykle spod rogatek belwederskich o godz. 11.30 jedną, a gdy się zdarzyło, i dwiema kałamaszkami. Oprócz moich towarzyszy obiadowych, Leona Andrzeykowicza i Romana Szwoynickiego, jeździli Antoni Pułjanowski ze Słuczyzny, w ostatnich czasach wicedyrektor Tow. Kredytowego Miejskiego; Michał Siemiradzki (brat Henryka); Władysław Słonczyński (ojciec poetki Anny Słończyńskiej); kuzyn mój adwokat Franciszek Garbowski, ożeniony z Wandą Kraszewską, krewną pisarza; Edward Orda, wszyscy niemal wielcy myśliwcy.

Edward Orda był krewnym Napoleona, twórcy cennego albumu stu przeszło dworów i miejscowości z t. zw. kresów. Rodziny Ordów, Korsaków i Platerów (Zyberków i Broelów) były bardzo liczne. O Ordach mówiono na Polesiu, że na sejmiki zjechała " orda Ordów", a o Korsakach " co krzaczek to Korsaczek". Ale choć Roch Kowalski z " Potopu " miał za żonę tylko szablę, najwięcej, bo przynajmniej z kilka tysięcy, było w Polsce Kowalskich.

Od przyjazdu do późnej nocy rznęliśmy na ganku klasycznego winta, z przerwami na obiad, przechadzkę po parku, podwieczorek i kolację. Gospodarz odsyłał nas potem wymoszczoną sianem gnojówką aż pod same rogatki. Raz jeden tylko deszcz nas zmoczył do nitki, i odtąd braliśmy zawsze parasole.

W liczniejszym gronie, z paniami, urządzano majówki całodzienne omnibusami pod Natolin lub w lasy wawerskie, te przepyszne dostarczy-

cielki ozonu Warszawie, albo też zamówionym statkiem do Bielan. Najmilsza była dla mnie osobiście Saska Kępa.

SASKA KĘPA — NA WIŚLE NOCĄ

Saska Kępa, od chwili rozpoczęcia regulacji prawego brzegu Wisły pod Warszawą, a szczególnie od zbudowania mostu Poniatowskiego, straciła zupełnie swój dawny charakter, a stała się właściwie tylko więcej zadrzewioną i niżej położoną cześcią miasta. Ale w latach 1880–1895 była ona najpierwotniejszym " dzieckiem natury". Kochałem ją niezmiernie i marzyłem, aby z niej kiedyś utworzyć coś w rodzaju wyspy św. Małgorzaty w Budapeszcie. Bo czy było coś rozkoszniejszego, niż móc w ciągu kwadransa, częściowo piechotą, częściowo łódką, przenieść się z samego środka zakurzonego miasta pod dziką wprawdzie, ale jakże przewiewną kopułę jej wierzb i topoli, z nierówną posadzką twardego piasku, obramowaną pachnącą łozą i wikliną! W sobotę i niedzielę po południu było tam pełno, lecz w pozostałe dni tygodnia prawie zupełnie pusto.

Schodziło się zazwyczaj od rogu Nowego Światu w dół al. Jerozolimskimi aż pod samą rzekę. W oczekiwaniu na zebranie się całego towarzystwa, gdy się udawano w liczniejszym gronie z paniami, jakiś śpiewak-amator, najczęściej kolega mój uniwersytecki Witold Biernacki z Kalisza — obdarzony tak pięknym barytonem, że nawet na jubileuszu Sienkiewicza w ratuszu wykonał " Pieśń rycerską " Moniuszki — intonował popularną barkarolę Troszla do słów — zdaje mi się — Mirona, młodo zmarłego poety, syna Francuza Michaux, który prowadził w Warszawie szkołę szermierki na florety.

Przestań my-yśleć o niedoli,
Porzuć ża-al i łzy!
I do czarnej siądź gondo-oli,
Co na falach drży.

Troszel był jeszcze bardziej znany z muzyki do hymnu " Veni Creator", którą odgrywano na organach lub odśpiewywano z chóru młodym parom, odchodzącym od ślubu.

Niekiedy rozlegała się piosenka Galla (ze Lwowa), przez jakiś czas nader wzięta :

Dziewczę z buzią, jak malina,
Twoje oczy gwiazdy dwie. . .

Ta piosenka stała się taką piłą, że wybrednisie muzyczni twierdzili, że przez nią nie tylko maliny i gwiazdy, ale nawet buzie im obrzydły.

Bez porównania udatniejsza była inna pieśń Galla, zdaje się do



Król Zygmunt nad swoją Stolicą.

słów Stanisława Rossowskiego — porywał nią publiczność warszawską na koncertach swym wspaniałym tenorem Aleksander Bandrowski.

Czarowna, cicha noc majowa,
Przesycona wonią bzu. . .
O pójdź, o pójdź w moje ramio-ona,
Ja pieśnią budzę cię ze snu — uu — uu.

Osobiście wolałem tę pieśń od brazylijskiej "Ajajaj", której żądano zawsze na bis od Jana Kiepury, a jeszcze bardziej — od berlińskiego sloganu " Ich küsse Ihre Hand, Madame "; podobno rozprzedano pół miliona płyt gramofonowych z tą piosenką.

Ale na nasze śpiewy czy wołania nie podpływała do brzegu żadna wenecka gondola, lecz poczciwa ciężka łódź z przesuwanymi deskami w poprzek, zamiast ławek, i z podłużnym żagielkiem z godłem łodzi, osadzonym na małym maszciku. Pamiętam trzy takie łodzie z wytworami domorosłej nadwiślańskiej sztuki malarskiej na żagielkach : z krakowiakiem w ferezji, z panem Twardowskim o sumiastym wąsie wierzchem na kogucie, i z ukochanym herbem Warszawy — syreną. Ta syrena miała ogonek rybi dość skąpy, trochę do góry zadarty, ale za to biust rozwarty i obfity, niczym u piękności na obrazach Rubensa w Luwrze!

Przewoźnikom nie płaciło się od razu, lecz dopiero gdy przyjechali pod Kępę o umówionej godzinie, by odwieźć z powrotem.

Wydobywszy się nie bez trudu z głębokiej łodzi, maszerowaliśmy nierówną i pełną dziur i wybojów od częstych wylewów Wisły ścieżką w głab Kępy, do jednego ze stojących na wzgórkach dworków-szynków : bliższego, zwanego " Pod Dębem", i odleglejszego lecz schludniejszego, o hiszpańskim mianie " Prado". Dziwiliśmy się zawsze, z jakiej racji nazwy włoskich, a szczególnie niektórych hiszpańskich miejscowości, uważane są w całej niemal Europie za pociągające publiczność : " Tivoli," " Frascati", " Herculanum", " Alhambra", " Alkazar", " Eldorado " i t.d. W wielkich miastach coś o nich słyszano, ale skąd prosty właściwie ogródek z szynkiem w takiej dziurze, jak Saska Kępa, gdzie jak świat światem żadnego Hiszpana nie widziano, otrzymał pompatyczne miano " Prado", nie mogliśmy dociec. Snadź ojcem chrzestnym był jakiś dawny legionista-weteran, co przez Samosierrę dotarł do Madrytu.

Za ogrodem " Prada", zaopatrzonym w huśtawki i w skrzypiącą karuzelę, obracaną przez wyrostka (2 gr za obrót), rozciągały się oddzielone zarośniętym rowem wilgotne łąki i pastwiska kawenczyńskie z pasącym się bydełkiem, rzekłbyś, gdzieś na głębokim Polesiu. I to stanowiło jeden z uroków! W głównej salce " Prada " stał fortepian, a kiedy się przyjeżdżało, aby potańczyć, posypywano podłogę tartą ze świecy stearyną. Bufet był zaopatrzony święcie w kwaśne mleko, w pyszny chleb i masło, w pieczeń wołową, no i naturalnie w piwo i wódkę à discrétion. Cukierki przywoziliśmy z sobą.

W zakamarkach mojaj pamięci utkwił wstęp do poematu, który zacząłem układać na cześć Saskiej Kępy, w stylu " Zofiówki " Stanisława Trembeckiego.

Co wiosny zalewana, jakby delta Nilu,
Witaj, Kępo, dawczyni przyjemności tylu!
Gdzie ochłodę przynosi cień wierzb i topoli
I gdzie zsiadłego mleka zapewnią do woli
Rozproszone po łąkach zadumane krówki,
Zaś nosy gospodarzy — zapas szpagatówki.
A chociaż cię od miasta dzieli Wisła rzeka,
Jesteś zarazem bliska i razem daleka . . .

Szpagatówką w Warszawie, a na kresach siwuchą, nazywano najgorszą, prawie nieoczyszczoną, gorzałkę.

Czasami o zmierzchu po dniu upalnym w czerwcu i lipcu dopływałem z Teodorem Paprockim i z Zakrzewskim tylko na środek Wisły do jednej z mielizn, i z niej wchodziliśmy do wody w płytszym miejscu. Zakrzewski, rodem z Ukrainy, specjalizował się w statystyce, a żona jego, Helena z Eydziatowiczów, wydała w ostatnich czasach parę udanych powieści.

Łuna zachodu, co w tej porze roku rozlewa się na północy widnokręgu, przyświecała nam, przecięta u dołu kratami mostu Kierbedzia. Przygasała ona czas jakiś płomyki zapalanych latarni, natomiast zarysowując ostrzej kontury szczytów fasady kościoła św. Jana i absydy Bernardynów i czerwieniąc jaskrawiej front z surowej cegły jednej z nielicznych nadbrzeżnych kamienic od strony Pragi; mieściła się w niej modna latem restauracja " Pod Rakiem ". Po kąpieli rzeźkim krokiem i z wilczym apetytem wracaliśmy pod górę do miasta.

Atoli najmilsze, niezapomniane dla mnie bywały po takiej majówce powroty z Kępy w te " czarowne, ciche noce " o pełni księżyca. Nie przybijaliśmy wówczas do brzegu koło Solca, ale do odleglejszej przystani u Nowego Zjazdu. Płynęliśmy powoli z wodą, ledwo niekiedy popychani wiosłem przewoźnika.

Po raz ostatni płynąłem po Wiśle w czerwcu 1939 r., zaproszony przez ministra duńskiego p. Scou z członkami zarządu Tow. Polsko-Duńskiego, którego w swoim czasie byłem pierwszym po założeniu prezesem. Wozili mnie także pędzącą szalenie motorówką o księżycu w dół i w górę rzeki, zaludnionej jak w biały dzień licznymi łódkami, kajakami i t.p. Ale urok szybkości pochłania i zaćmiewa wszystkie inne uroki . . . My wonczas płynęliśmy powoli, w olśnieniu ciszy i spokoju, rozkoszując się, jak smakosze, każdym łykiem, każdym łagodnym posunięciem się naprzód łodzi po migocącej tuż pod nami w srebrze księżyca łusce olbrzymiej rzeki, przy równie powolnym umykaniu tonących w półcieniu brzegów, ze sznurami nikłych światełek latarni.

Gdzieniegdzie mijaliśmy odpoczywające płyty i tratwy z budkami, z

których błyskał czerwony płomień rozpalonego do warzenia jadła ogniska. I mijaliśmy różne galary i berlinki, popychane i kierowane bosakami i tykami, zupełnie takie same, jak za czasów gdy Sebastian Klonowicz-Acernus pisał swojego " Flisa." Mimo woli zaczynaliśmy śpiewać — a wtórowała nam nieraz jakaś rzadka łódź sąsiednia — nie wiem kiedy i przez kogo napisaną pieśń flisaczą :

Hej! flisacza dziatwo,
Płyń do Gdańska z tratwą . . .

Ckliwa to i niewymyślna melodia, ale mój Boże! cóż bym dał za to, gdybym ją mógł znowu usłyszeć w podobnych warunkach spokoju i pogody i . . . w podobnych warunkach własnych lat, albowiem nie zapieram się i myślę, że nikt z tych, co dłużej żyją, się nie zaprze, iż niezależnie od przejść charakteru ogólnego, niezależnie od tragedii narodowej, przychodzi, bo przyjść musi, dramat własny, czysto osobisty:

Banalny dramat — lecz sprawa straszliwa
Dla tego, co go z kolei przeżywa;
Smętna commedia dell'arte ludzkości.
Odlotem, zmierzchem czy kresem młodości
Tak się ten dramat banalny nazywa.
Jedni zeń czynią niesłychane dziwa,
Większość przed sobą samym go ukrywa,
Ale u widzów nie budzi żałości
Banalny dramat.

I myślę, że każdemu, co przekroczywszy przełęcz żywota, poczyna po jej drugiej stronie zstępować ku dolinie śmierci, nie ze strachu przed śmiercią, lecz z żalu po minionym okresie wspinania się, choćby ten był najcięższy, i bez różnicy, jak też — pomyślnie czy marnie — pokierowało mu się życie, myślę, że każdemu niespodzianie w różnych chwilach prawie bezwiednie wydobywa się z głębi całej istoty westchnienie :

Młodości moja, gdzieżeś się podziała?

MIASTO ZGLISZCZ I POPIOŁÓW

Pisząc w latach 1942–1944 swe "Wspomnienia o dawnej Warszawie" miałem i mam zawsze na myśli koniec XIX w., a co najwyżej okres do pierwszej wielkiej wojny. Dziś wydaje mi się, że można nazwać dawnym już nie tylko okres sprzed 1 września 1939 r. ale nawet sprzed 1 sierpnia 1944 r. Tyle ocalałych w zawierusze wieków gmachów, większość starożytnych świątyń, pałaców, zakładów — zniszczonych. A obok nich tyle

nowych, z taką dumą i radością wznoszonych, w niepodległej znowu stolicy budowli: szkół, muzeów, bibliotek, szpitali . . . A wraz z nimi przeszło połowa prywatnych domów, których w r. 1926 — o ile pamiętam — Warszawa liczyła z górą 11 000.

Opisy kościołów i instytucji publicznych są utrwalone na piśmie, potomność więc łatwiej będzie o nich pamiętała. Ja mam na myśli zadanie skromniejsze, aby dla tych, co jeszcze teraz, zamknąwszy oczy, widzą najbliższą zamieszkiwaną przez siebie dzielnicę, zanotować jej wygląd i to co w niej było charakterystycznego i godniejszego uwagi.

Osobiście mam kilka takich dzielnic w pamięci, ale wybieram teraz tę, w której mieszkałem około lat dwudziestu i której wzrostu byłem ciągłym świadkiem. Skromna to dzielnica, bez żadnych gmachów publicznych, oprócz kościoła Zbawiciela, już we wrześniu 1939 r. częściowo zbombardowanego. Budował się on w moich oczach. Pierwszym jego proboszczem był ks. prałat Roman Rembieliński, następcą ks. Zygmunt Nowakowski, poseł na sejm z okręgu grójeckiego, później przez Niemców zamordowany.

Dzielnica, którą mam na myśli, stanowiła wydłużony ku południowi trójkąt z Marszałkowską, jako najdłuższym bokiem, a krótszymi bokami, Mokotowską (przy której stała założona przez Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga średnia szkoła techniczna) i Polną, przylegającą do pola wyścigowego.

W ósmym dziesiątku lat ub. w. — kiedym po raz pierwszy chodził Marszałkowską do rogatek Mokotowskich — aż do placu, nazwanego później pl. Unii Lubelskiej, nie widziałem wprawdzie rosnącego żyta albo pszenicy, lecz pamiętam tam kilka drewnianych dworków, ogrodów warzywnych i wprost pustych placów. Opłacały one niewielki czynsz z tytułu wieczystej dzierżawy na rzecz Księstwa Łowickiego, który można było wykupywać. Kiedy mój przyszły teść, dr Chomętowski, nabył w r. 1877 od senatora Polczyckiego najdłuższy ogród od Marszałkowskiej do zbiegu ul. Mokotowskiej z Polną — przy końcu Marszałkowskiej istniał jeden większy budynek fabryki dywanów. Chodnika jeszcze nie było, tylko żwirowana ścieżka wzdłuż głębokiego rynsztoka.

Dom Chomętowskiego, oznaczony przy regulowaniu numeracji policyjnej nr 27, o jednym piętrze, stał pośrodku ogrodu. Tam umarł Odyniec. Ja z żoną i z rodziną mieszkałem w nim do r. 1913. Potem od strony ul. Polnej zbudowano biura zakładu Ubezpieczeń Społecznych z udzieleniem sklepu od frontu filii słynnej cukierni Lardellego, rywalizującej z również słynną ze swych ciastek cukiernią Ziemiańską. W r. 1938 budynki te zniesiono, i cały dawny ogród, wraz z przylegajacym doń placem nr 29 (należącym niegdyś do znanego lekarza dr. Feliksa Sommera), który nigdy zresztą nie był zabudowany, lecz tylko służył zimą na tor ślizgawkowy, a latem dla początkujących rowerzystów — obrócono na utworzenie szerokiej ulicy od Marszałkowskiej aż do Rakowca.

Pod nr nr 31, 33 i 35 stanęły wspaniałe czteropiętrowe kamienice.

W jednej z nich mieszkał długo późniejszy rektor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i minister oświecenia Mikułowski-Pomorski z żoną Karoliną z Komorowskich (z gałęzi z okolic Kiejdan na Żmudzi). Tam też mieszkali dwaj moi szwagrowie: Ignacy Lipski, niegdyś dyrektor Banku Państwa w Rydze, i architekt Julian Wasiutyński. U Wasiutyńskich mieszkała jakiś czas p. Wanda Chełmońska, żona naszego znakomitego malarza, założycielka i redaktorka (wespół z Ludomirem Grendyszyńskim, późniejszym sekretarzem naczelnym Rady Regencyjnej) tygodnika literackiego " Kurier Niedzielny".

W jednym z tych domów mieszkał bardzo lubiany przez swych kolegów malarz Antoni Piotrowski oraz autor grywanej w teatrze Rozmaitości komedii " W gołębniku " Ignacy Nikorowicz. Ten Nikorowicz był synowcem Nikorowicza, twórcy muzyki do naszego najboleśniejszego hymnu " Z dymem pożarów". W r. 1846 u Ujejskiego na wsi, w ciągu jednej nocy gospodarz stworzył słowa a Nikorowicz muzykę. Nikorowicz ma to wspólnego z twórcą " Marsylianki " Rouget de Lisle, że obaj zaimprowizowali tylko jeden natchniony utwór i o obu właściwie zapomniano. Słyszę teraz często ten chorał przez nasze polskie radio z Londynu, lecz żałuję, że jest śpiewany solo a nie przez chór, jak była pojęta kompozycja.

Na samym rogu pl. Unii Lubelskiej pod nr 1 wzniesiono dość dawno ogromne domisko, wygladające niby postawiony sztorcem tom wpół otwartej księgi. Miał on dwa długie fronty: od Polnej z przepysznym widokiem na pl. Mokotowski i od Marszałkowskiej, ale tylko trzy okna od placu.

Postępując dalej w stronę miasta, wśród rzędu drzew, których rozrost my, stali mieszkańcy tej dzielnicy, śledziliśmy z macierzyńską niemal tkliwością, i mijając kilka masywnych domów późniejszej daty (w jednym z nich mieściła się duża drukarnia i redakcja dwóch czasopism), dochodziło się prawie naprzeciw wylotu ul. Litewskiej do dwóch a raczej do czterech wielkich kamienic (nr nr 15–21), stojących z dwóch stron pozostawionego umyślnie przez właścicieli ślepego zaułka. W jednej z nich mieszkali długo państwo Niklewiczowie, ona — córka prof. Lutosławskiego i jego pierwszej żony, Hiszpanki z domu Casanova. Później sąsiadowali oni ze mną na ul. Wiejskiej 11, aż przenieśli się na Smolną. Przez te wszystkie lata aż do śmierci miał u nich stałe, składające się z dwóch pokoi, pied-à-terre, Roman Dmowski, kiedy przebywał w Warszawie.

Pod nr 23 mieściła się bodaj od lat czterdziestu fabryka sztucznych wód mineralnych pod firmą " Motor", należąca do Franciszka Karpińskiego, głównego inicjatora utworzenia koła popierania budowy kościoła Opatrzności, uchwalonej wraz z konstytucją 3 maja 1791 r. i potwierdzonej przez sejm wskrzeszonej Rzeczypospolitej, która to sprawa, jak wiadomo, długi czas szła bardzo leniwie. Zarząd tego koła, do którego należałem, stanowili b. wojewoda warszawski Władysław Sołtan, Karpiński, ks. Fajęcki, w którego domu parafialnym przy ul. Chłodnej zwykle

się zbieraliśmy, Maria z Fragetów Światopełk-Mirska, redaktor Jan Czempiński i kilka innych osób. Zebraliśmy w ciągu dwóch lat przeszło 100 000 zł, przeważnie z samej Warszawy, i zdaje mi się, że z tego właśnie źródła opłacano nagrody za projekty konkursowe, zanim rząd zaczął nareszcie asygnować pewne kwoty.

Między " Motorem " a naszym dawnym ogrodem, w r. 1912 postawił pod nr 25 adwokat Majsterek ogromną rumszturę, wąską, długą i wysoką, z dziedzińczykami jak studnie, a tak szczelnie obudowaną że lokatorowie mieszkali w niej niby pszczoły w ulu. Chociaż znaczną część drugiej strony ulicy aż prawie do Litewskiej zajmowały oparkanione tereny naszego ministerstwa wojny, a potem, dalej — domy mieszkalne, jednak ruch, ongi minimalny, wzmógł się potem niezmiernie, zwłaszcza gdy z dwóch stron dawnych rogatek mokotowskich stanęły, dość lichej zresztą struktury, dworce kolejki Wilanowskiej i Grójeckiej.

Trudno mi teraz sobie uprzytomnić, że w tej dzielnicy nie ma nic oprócz gruzów, jak również — że nie ma ani ul. Rakowieckiej, ani Akademii Handlowej, ani Biblioteki Narodowej, ani Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, skąd po wykładzie zachodziłem często do stojącego prawie naprzeciwko nowego klasztoru jezuitów, żeby przyklęknąć przed trumienką z powróconymi do ojczyzny zwłokami św. Andrzeja Boboli i odwiedzić byłego redaktora naczelnego wychodzącego przez wiele lat w Krakowie miesięcznika literacko-społecznego " Przegląd Polski ", ojca Stanistawa Pawelskiego S.J., który mnie zaszczycał swoją przyjaźnią. Nie wiem, czy ocalał teraz przy spaleniu tego klasztoru przez Niemców i pogromie zakonników.

Kiedy w oczach stoi mi Warszawa, widzę wszystko w kolorze czerwonym, w kolorze krwi i ognia, a po jakimś czasie, jak w owych sygnałach świetlnych, regulujących ruch, kolor czerwony ustępuje miejsca zielonemu : symbolowi nadziei.

Warszawa jest od wieków ogniskiem i mózgiem Kraju. Zniosła mnóstwo ciosów, zniesie i przezwycięży ten cios straszliwy. Ale ileż potrzeba będzie wysiłków, czasu i środków, aby nadać jej znowu wspaniałą i świetną postać zewnętrzną! A bądź co bądź, będzie to postać zewnętrzna nowa, nie dawniejsza, nawet nie postać dnia wczorajszego.

I dlatego dobrze by było, aby dla przechowania w pamięci żyjących i świadomości potomnych tej Warszawy dnia wczorajszego, tej Warszawy, której nie ma, kreślono jak najwięcej opisów poszczególnych dzielnic, nie wyłączając najskromniejszych. Niech obok nowej, realnej, odbudowuje się w pamięci ta dawniejsza!

INDEKS NAZWISK

SPIS ILUSTRACJI

Ilustracje, umieszczone przed i po stronach 16, 17, 48, 49, 112, 113, 144, 145, pochodzą z wydawnictwa " Album de vues de Varsovie " J. Beglińskiego i A. Matuszkiewicza (Warszawa 1861).

SKŁADNICA KSIĘGARSKA

8 Hope Street, Edinburgh

WYDAŁA ŚWIEŻO:

W. Solski—Pociąg odchodzi o północy	9/6
B. Pomian—Ku najjaśniejszej z gwiazd (po polsku i po angielsku)	12/6
J. Pomian—Z ziemi polskiej do szkockiej	10/6
Por. Herbert (J. Meissner)—G for Geneviève	12/6
Por. Herbert (J. Meissner)—L jak Lucy	12/6
Por. Herbert (J. Meissner)—L for Lucy	12/6
H. Sienkiewicz—In Desert and Wilderness	21/-
H. Terlecka—Stepem i oceanem—poezje	3/6
S. Łaszkiewicz—Szum młodości	10/6
St. Jodłowski i W. Taszycki—Zasady pisowni polskiej . . .	6/6
Słownik " Dux "—angielsko-polski i polsko-angielski . . .	9/6
Kalendarzyk Polaka w Wielkiej Brytanii na r. 1946 . . .	6/6

W DRUKU:

M. Wańkowicz—Bitwa o Monte Cassino.

B. Arct—W pogoni za Luftwaffe.

L. Kneblewski—Nie taki Murzyn czarny.

E. Romiszewski—Od małpiego gaju do Arnhem.

Praca zbiorowa—Pomruki fal—opowiadania marynarskie.

W PRZYGOTOWANIU:

B. Prus—Faraon.

Przedstawicielstwo podręczników do nauki języka angielskiego — Eckersleya, Worralla, Fitikidesa i Wysockiej.